

4 P. 20692

NA SZLAKU KRESOWEJ



NR 10

(28)

Ref. Kult. i Prasy

**KRESOWEJ
DYW. PIECHOTY**

Włochy - Listopad - 1945

P. 20692



Na Szlaku Kresowej



Numer 10 (28)

Referat Kultury i Prasy Kresowej Dywizji Piechoty

Włochy

*

Listopad

*

1945

K 41 / 9
1985



Redaktor: *Witold Zahorski*

Adres Redakcji: C. M. F. Polish Forces 302

Tłoczono w Drukarni Polowej A.P.

Walka o Niepodległość trwa

Gdy w dniu 11 listopada 1918 r. potęga niemiecka runęła, a Józef Piłsudski z niewoli magdeburskiej powrócił do Warszawy — rozpoczął się nowy okres walki o niepodległość. Wprawdzie Rzeczypospolita organizowała się, ale nie były ustalone ani jej granice, ani stosunki z większością sąsiadów. Od wschodu nadciągała nawałnica, która w roku 1920 rozbiła się nad Wisłą. W momencie największego nasilenia inwazji miałem możliwość zetknięcia się z „krasno-armiejcami”. Szli, jak szarańcza po chleb, po zboże; mówili, wierząc ślepo, że zajmą i Warszawę i Berlin i Paryż. Pędził ich głód, jakieś zapomniane instynkty koczownicze i grabieżcze. Fala rozbiła się o mury Stolicy, odpięła, jak ongiś Tatarzy, zastęgiła u nowych granic Rzeczypospolitej.

Zaczął się okres pokoju i pracy państwowej, dla nas przeszło o dwa lata później niż dla reszty świata. Na Zachodzie traktat Wersalski i jego konsekwencje dały nam granice, które tały w sobie niebezpieczeństwo nowych konfliktów, na Wschodzie granica była wynikiem najwyższej ustępliwości wobec Rosji Sowieckiej, na jaką mogła się zdobyć polityka polska, a równocześnie — trzeba to przyznać — rezultatem kompromisu między różnymi kierunkami myśli polskiej. Rzeczypospolita krzepła, lecz z poczuciem, że ani zagadnienie zachodnie, ani łańcuch zagadnień północnych i wschodnich nie zostały należycie rozwiązane.

Tym niemniej, lojalnie, w istniejących granicach, staraliśmy się budować i umacniać naszą niepodległość. Z sąsiadami usiłowaliśmy żyć w zgodzie. Wewnątrz Państwa szukaliśmy własnego, polskiego rozwiązania dla zagadnienia silnej władzy wykonawczej, — której potrzebę czuł cały naród — przy poszanowaniu swobód obywatelskich. W tych poszukiwaniach, niejednokrotnie popełnialiśmy błędy. Przez dwadzieścia lat nie doszliśmy do właściwego rozwiązania, choć mieliśmy już jego zrab konstytycyjny. Mimo to życie polskie — czy to w mechanizmie państwowym, czy poza nim — rozwijało się twórczo i bujnie. Kto tak jak ja przyjeżdżał z obczyzny do Polski przeciętnie raz na rok, ten widział trudniej dostrzegalny może dla obywateli stale mieszkających w kraju stopniowy postęp materialny i duchowy oraz dojrzewanie społeczeństwa, które prędzej czy później znalazłoby napewno wyraz w coraz doskonalszych formach polityczno-społecznych.

Przyszła katastrofa wrześniowa 1939 r. Nad polskimi ziemiami zapanował wróg. I w nowym okresie walki o niepodległość społeczeństwo wykazało, jak niezmiernie zasoby twórczej, państwowej energii zdołało nagromadzić w sobie przez lat dwadzieścia. A jak na stolicę przystało, prymat ujęła Warszawa.

Już w roku 1939 obrona Warszawy pozwoliła nam podnieść przed światem czoło, pochylone w obliczu klęski. A potem Warszawa stanęła na czele kraju, zorganizowała życie podziemne, kulturalne, polityczne, wojskowe — w formach nowych, najczęściej imitowanych, a tak doskonałych, że Niemcy nie zdołali ująć w swe ryzy nawet powierzchni życia polskiego. 300-tysięczna zakonspirowana armia nie przestawała walczyć, czekając dnia ostatecznego porachunku z wrogiem.

Radości tryumfu nowego dnia 11 listopada nie dane jej było doczekać. W miarę jak siły niemieckie się kruszyły, ze wschodu nadciągała nowa obca potęga. W tych warunkach wybuchło Powstanie, czy raczej Bitwa Warszawska 1944 r. 63 dni walki, poryw całej stolicy, która legła w gruzy, ale jako miasto wolne. Ostatni bastion wolności na wschodzie Europy. Warszawa nie dała pokryć popiołem zapomnienia naszej Sprawy, choć sama legła w popiołach.

Gdyby krew polską rozlaną w tej wojnie po przestrzeniach ziemskich zebrać w jakąś olbrzymią czarę, byłby to wymiar naszego wkładu w wielkie misterium odrodzenia świata. Krew to czysta, ofiara bezinteresowna. Nikt jej tak dobrowolnie nie dawał, jak Polska. A jednak... jednak jesteśmy w niewoli. Walka o Niepodległość trwa

W każdym zmaganiu są chwile, czy nawet okresy, kiedy wszystko zdaje się zastygać w bezruchu. A jednak walka trwa, w najwyższym napięciu sił psychicznych. Nie wolno zawahać się, nie wolno osłabnąć na chwilę, by nie dać przewagi mocy przeciwnej. My, na przymusowym wygnaniu, takie właśnie przeżywamy momenty, czy to w wojsku, czy przy warsztatach pracy, czy wreszcie w obozach uchodźczych, gdzie trwać jest najciężej i najciężej pojąć, że samo istnienie w tych warunkach jest już protestem przeciwko temu, co się w Polsce dzieje. Protestem i oczekiwaniem na godzinę czynu.

W Polsce społeczeństwo nie mogło zastygnąć w pozornym choćby bezruchu. Walka tam trwa we wszystkich dziedzinach życia, walka defenzywna najczęściej, lecz nieustająca. Z obecnym stanem rzeczy w Kraju nie pogodził się nikt, prócz garstki odszczepieńców.

I gdy zaczynałem życie publiczne 40 lat temu (strajk szkolny 1905 r.), niepodległościowców w społeczeństwie była garstka znikoma, uważana przez ogół za dość niebezpiecznych marzycieli. Dziś myśl państwowa przeniknęła wszystkich i stwarza z nas tę wielkość zbiorową, która jest podłożem ciągłości naszych władz państwowych i naszego wojska. Dzięki tej zbiorowej wielkości nazwano nas natchnieniem narodów. Byliśmy nim i pozostaniemy.

Nie jesteśmy bowiem sami. I inne narody na północ, wschód i południe od nas, w męce i zmaganiu, czekają na wolność. Z większością z nich żyliśmy w zgodzie, z innymi wiedliśmy spory, walki nawet. Dziś wspólna dola nas jednoczy. Narody te wiedzą, że bez Wolnej Polski nie będzie i dla nich wolności. My mamy świadomość, że bez nich nie ma dla nas bezpieczeństwa. Walka toczy się w gruncie rzeczy o to, czy ludom Międzymorza dane będzie należeć do rodziny narodów Zachodu — do których z natury należą — czy też pochłonie je obcy, na wpół koczowniczy Wschód. Dla tych narodów chcemy być braćmi w walce, zwycięstwie i pokoju. Za waszą i naszą wolność walka o niepodległość trwa!

W tej wielkiej walce nie zdołał przykryć naszej Rzeczypospolitej parawan ołudy i zdrady nasunięty ze Wschodu na nasze skrwawione ziemie.

Rzeczypospolita żyje, żyje w sercach swych wiernych obywateli i żyje w swym wojsku, żyje w swym rządzie.

(Przemówienie na obchodzie Święta Niepodległości 1945 roku w Rzymie, wygłoszone przez P. Stanisława Janikowskiego, Ministra Pełnomocnego Rzeczypospolitej Polskiej przy Kwirynale).

Do Polaków

O POLSKO UMĘCZONA, o dzielni Polacy!
 Narodzie wielkoduszny i o sercach czystych,
 Narodzie wierszy i pieśni i katedr strzelistych,
 I odwagi i piękna, honoru i pracy,
 I historii, co tyle kart szlachetnych liczy,
 O tragiczny Narodzie, smutny, tajemniczy,
 W którego dziejach ileż ciemnych godzin płynię!
 Oto w tej najciemniejszej ze wszystkich godzinie,
 Gdy Hunn, żądzą krwi wściekły, zgrozę wokół szary
 I kwiat Twojej młodzieży połamany leży —
 Wśród ruin i wśród zgłiszczy, wtedy Ty, walczący, —
 Wzniosłeś sobie ogromny monument płonący
 Dla duszy nieugiętej i Twej myśli chwały.
 I oto ten monument rozbito w kawały,
 Ołtarze Twojej wiary potrzaskano wszędzie
 I wróg szaleje na nich w bezbożnym obrzędzie.
 Gdzie Bóg jeszcze własnymi mówił wczoraj usty,
 Tam teraz biegną wściekłe rydwany rozpusty,
 Gdzie Kościoły pamiętne, gdzie krzyż zawsze tkwił,
 Tam wiatry obojętne szary miotą pył.

To wyście pierwsi nieugiętym wzrokiem
 Patrzyli w kłamstwo. To waszym wyrokiem
 Najpierw są jego osądzone zbrodnie,
 Wyście wołali o nich z całej mocy
 Gdy się paliła Polska jak pochodnie,
 Warszawa w łunach stała dniem i w nocy.

Dni dziewiętnaście jako piekło gorze
 I już Warszawa bronić się nie może,
 Nowy porządek leże sobie ściele
 I w tę płonącą wchodzi cytadelę.
 Z podziemi, z piwnic, lud wypelza błądy,
 Z dziur rytych bombą i zza barykady,
 Ten się staniając o ścianę opiera,
 Tamtemu z oczu szaleństwo wyziera,
 Pomyśl: pięćdziesiąt tysięcy zabito!
 A trzy dni dano, by krew po nich zmyto.
 Zwał końskich trupów wieje dech zatruty,
 Przestrach nad głową i piekło pod Tobą
 I o ulice pokryte żałobą
 W marszu zwycięskim ciężkie wałą buty.
 I gdy po domach grabież się zaczyna
 Chleb wasz zjełczały wróg dawać rozpocznie,
 Co będzie zaraz zdejmował do kina
 I wszędzie walce rozbrzmiewają skocznie.

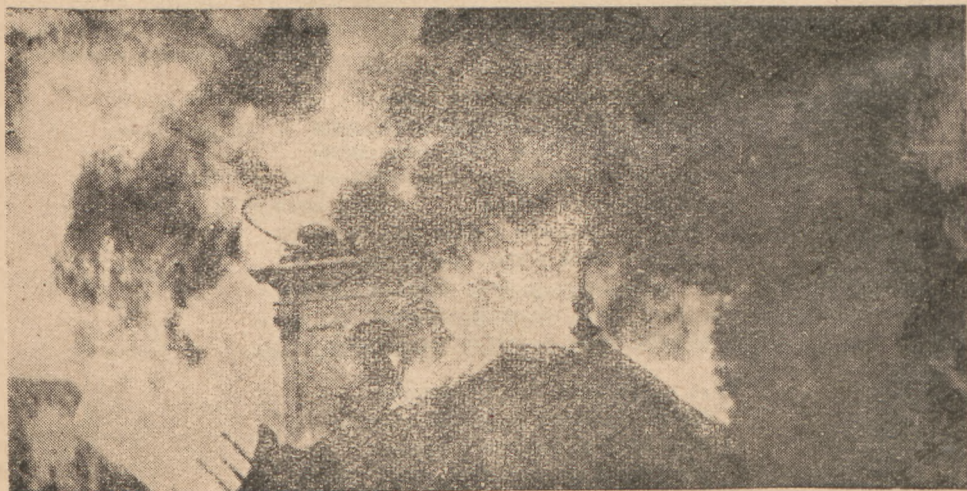
Fuehrera przecież rozczuła muzyka
 I dźwięk przeciągły jego ucho głaszcze
 A więc Chopina zwalono z pomnika
 I wiano metal w szwabskich armat paszcze,
 Co wciąż żelazo muszą nowe pić.
 Zapisz to sobie i wciąż naprzód idź.

*Zapisz ten cały potworny inwentarz
 Mordów i kaźni, zbrodni i grabieży,
 Każdy ich szczegół, póki je pamiętasz,
 Bo może przyszłość już w nie nie uwierzy.
 Każdego domu złupione pokoje,
 Wszystkich bibliotek i każdej wszechnicy,
 Wszystkie kościoły, wszystkie książki Twoje,
 Pojcieł co leży w błocie na ulicy,
 I ciężkie wozy dudniące o bruk,
 I trupy wszędzie, trupy krwią zbluzgane,
 I krew co chlusta strumieniem na ścianę,
 I przeraźliwy nocą do drzwi stuk.
 Zapisz te rzeźnie, tych co padli razem
 w już wykopany przez nich grób gotowy,
 Zabitych prądem i zatrutych gazem,
 I zastrzelonych podle z tyłu głowy.
 Wspomnij ginących jako pies bezpański
 I krzyk szanbionych kobiet przeraźliwy
 I niebывały cały plan szatański
 By żaden Polak nie pozostał żywy.*

*Pamiętamy to wszystko, o Polski Narodzie!
 I wkrótce głos z daleka dźwięki potężnymi
 Do najdalszych zakątków dotrze Twojej ziemi,
 Za stalową zasłoną, gdzie trwasz w głodzie, chłodzie,
 Wśród ciężkiej grozy śmierci, okrutnego losu,
 My, czając się, Twojego nastuchujem głosu
 I choć wciąż nowych ofiar słyszycie nazwisko
 Słuchajcie! Już idziemy! Już jesteśmy blisko!
 Słychać śpiew wojsk w bojowej idących kolumnie!
 I przez miłość Jadwigi, przez Jagiełły męstwo,
 Przez to, co Paderewski w snach swych marzył dumnie
 I co wielki Piłsudski widział poprzez mrok,
 Oto już się zbliżają, Wolność i Zwycięstwo —
 I słychać już ich krok!*

Józef Auslander

(Tłumaczył z angielskiego Jan Lechoń).



Warszawa, sierpień 1944. Kościół Św. Krzyża.

Perfidna umowa

Bogate, a tak smutne doświadczenie ostatnich sześciu lat nauczyło nas przyjmować z lękiem i obawą wszystkie nowe wiadomości, dotyczące załatwienia spraw polskich przez „naszych możnych opiekunów”, i to wówczas nawet gdy, pozornie, na pierwszy rzut oka, wydają się one dla nas pomyślne i pożądane. Nauczyliśmy się już dobrze odróżniać potiemkinowskie fasady od rzeczywistej prawdy, zazwyczaj gorzkiej i godzącej raz po raz w najbardziej istotne interesy narodu i państwa polskiego.

Któż z nas nie bolał serdecznie, przez lata, nad losem nieszczęsnym tysięcznych rzesz Rodaków z Ziemi Wschodnich R.P., wywiezionych przez zaborców sowieckich w głąb Azji — któż nie domagał się głośno i stale ich powrotu do Ojczyzny, jako pierwszego dowodu życzliwości Związku Radzieckiego do Polski? Wiadomość ta, tak przez każdego z nas z tęsknotą oczekiwana, nadeszła w połowie lipca r.b., kiedy radio moskiewskie i warszawskie doniosło, że na podstawie umowy, zawartej przez „ Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej ” ze Związkiem Sowieckim, nastąpi niezwłoczna repatriacja Polaków z Rosji.

Cieszyliśmy się prawdziwie tą wiadomością, jakkolwiek w głębi duszy tliła nieufność, która nakazywała nam zachować nadal ostrożność i przestrzegała przed zbytnią radością.

Dzisiaj okazuje się, niestety, że to intuicyjne przeczucie uzasadnione było w całej pełni. Tekst umowy, zawartej dn. 6 lipca 1945 r. w Moskwie przez obywat. Modzelewskiego z tow. Wyszyńskim usuwa wszelkie złudzenia i okazuje wyraźnie i jaskrawo bizantyńską obłudę „partnera sowieckiego”, któremu ślepo a posłusznie wtóruje „satelita warszawski”.

Według możliwie starannych obliczeń opartych na danych, zebranych przez Ambasadę R.P. w Kujbyszewie, oraz na statystykach i wypowiedziach sowieckich, — władze sowieckie wywiozły z Ziemi Wschodnich R. P., w okresie od 28. IX. 1939 r. do czerwca 1941 r. ogół-

em 1.450.000 osób; do tego należy doliczyć jeszcze 242.000 jeńców wojskowych, łącznie więc znalazło się przymusowo na terenach przedwojennej Rosji Sowieckiej — 1.692.000 obywateli Rzeczypospolitej.

Z powyższej liczby przypadało na mieszkańców:

a) rejonu Białegostoku, Łidy, Grodna i Wilna około 30%;

b) z Polesia i Nowogródziny około 20%;

c) z Wołynia około 15%;

d) z Małopolski Wschodniej około 35%;

Wśród deportowanych mężczyźni stanowili 56%, kobiety 22%, zaś dzieci nieletnie około 22% t. j. ponad 380.000. Stosunek procentowy narodowości wśród zesłańców przedstawiał się następująco: Polacy — 58%, Żydzi — 20%, Ukraińcy i Białorusi — 21%, Litwini i Rosjanie — 1%.

Według zawodów przypadało na: a) duchowieństwo wszelkich wyznań — 0.5 %, b) urzędników i pracowników państwowych, policję i straż graniczną — 9.8 %, c) zawodowych wojskowych — 8 %, d) profesorów szkół wyższych, docentów i naukowców — 0.6 %, e) nauczycieli szkół średnich i powszechnych — 4 %, f) urzędników prywatnych — 3.2 %, g) lekarzy — 3.1 %, h) inne zawody wolne — 7.2 %, i) kupców — 4.4 %, j) rzemieślników — 24.6 %, k) robotników — 7 %, l) rolników — 27.6 %. Jak widać z powyższego — żaden stan, żaden zawód, nie został pominięty — przy czym rolnicy, robotnicy i rzemieślnicy, oraz ich rodziny, stanowili niemal 60 % ogólnej liczby zesłańców.

Zmarło w Rosji przed przywróceniem wolności 19% zesłańców, po przywróceniu wolności — 6%, zaginęło lub zmarło śmiercią gwałtowną — 26%. Do Iranu ewakuowanych zostało w marcu i sierpniu 1942 r. — 114.500 osób (w tym 77.200 wojskowych i 37.300 członków

rodzin wojskowych). *Pozostało więc w ZSSR jeszcze 39% zesłańców i jeńców, czyli 660.000 osób.*

Umowa z 6 lipca 1945 r. przyjmuje natomiast, że na terenie Rosji Sowieckiej znajdowało się w tym czasie załedwie około 400.000 Polaków. Wynika z tego, że ostatnio zmarło w Rosji dalszych 260.000 Polaków.

Należało się spodziewać, że ta 400-tyśięczna rzesza Polaków, która przetrwała pięć lat ciężkiego zesłania, zostanie teraz w całości i jak najprędzej repatriowana do Kraju. Otóż nie. Umowa nie przewiduje bynajmniej automatycznej repatriacji wszystkich zesłańców, lecz uzależnia ich powrót od całego szeregu skomplikowanych postanowień i zastrzeżeń.

Umowa mówi: „Rząd Socjalistycznych Republik Radzieckich zgadza się przyznać osobom narodowości polskiej i żydowskiej, które posiadały do dnia 17 września 1939 r. obywatelstwo polskie zamieszkałym na terytorium ZSRR, prawo zmiany obywatelstwa ZSRR, zgodnie z wyrażonym przez nie życzeniem i zezwolić im na przesiedlenie się na terytorium Polski”. Umowa stwierdza więc, że zesłańcy uważani są za obywateli sowieckich i jedynie uprawnieni są obecnie do przyjęcia obywatelstwa polskiego, oraz w tym wypadku, do powrotu do Polski. Kto zna stosunki sowieckie, ten wie doskonale, na jakie trudności natrafią zesłańcy, których powrotu nie będą sobie życzyły, dla jakiegokolwiek powodu, władze sowieckie, szczególnie zaś N.K.W.D. Wskazuje na to zresztą niedwuznacznie formalistyka, przyjęta dla opcji na rzecz Polski: „Osoby, które zamierzają optować na rzecz Polski, muszą przedstawić dokumenty, stwierdzające, że przed 17. września 1939 r. były istotnie posiadaczami obywatelstwa polskiego. Dokumenty te, to 1) paszport zagraniczny, 2) dowód osobisty, 3) zaświadczenie Starostwa. Dokumentem obywatelstwa nie jest książeczka wojskowa.” Ponieważ dokumentów tych prawie nikt z zesłańców dziś już nie posiada, umowa przewiduje zastąpienie ich „stwierdzeniem obywatelstwa przez dwóch wiarygodnych świad-

ków, których zeznania każdorazowo rozpatrzy komisja mieszana”; przetłumaczone na język potoczny oznacza to, że powróci do Polski ten, którego powrót nie będzie w niczym kwestionowany przez władze sowieckie.

Nie licząc jednakże wyłącznie na „sprawność” swojej administracji i NKWD, Związek Sowiecki w samej już umowie uczynił szereg wymownych zastrzeżeń: „wszyscy studenci oraz osoby zawodów specjalnych, w stosunku do których Rząd Polski będzie uważał za celowe (sic!), a rząd ZSRR wyrazi zgodę, aby kontynuowali studia na uczelniach radzieckich, lub też pracę w przedsiębiorstwach radzieckich dla udoskonalenia swoich kwalifikacji, winni otrzymać paszporty polskie i mogą pozostać na dotychczasowych miejscach zamieszkania, na ogólnych zasadach, regulujących pobyt cudzoziemców w ZSRR.” Aby nie było jednakże żadnych niedomówień, czynniki warszawskie dają następujące wyjaśnienie: „Nie chcąc dezorganizować przemysłu, bądź poszczególnych warsztatów pracy, w których Polacy są zatrudnieni władze sowieckie zaproponowały, aby repatriację rozłożyć i zsynchronizować z sowieckimi planami przedstawienia poszczególnych gałęzi przemysłu sowieckiego z produkcji wojennej na pokojową.” Tu już nie ma mowy o szybkiej repatriacji.

Umowa przewiduje zresztą pewną kolejność w repatriacji: najpierw mają wrócić do Polski rodziny wojskowych (starsze kobiety i dzieci), dalej chłopci, potem specjaliści i robotnicy wykwalifikowani, a na samym końcu „inni”, tj. inteligencja.

Charakterystyczne są postanowienia, dotyczące repatriacji dzieci: „Szkoły, dziecińce i inne zakłady, do których należą osoby, mające być przesiedlone do Polski, zostaną ewakuowane w sposób zorganizowany i pod odpowiednią opieką.” Cóż za niesłychana dbałość o dzieci polskie! „Polska delegacja” do Komisji Mieszanej w Moskwie wyraziła zgodę na to, aby: „dzieci nie rozdzielać z ich dotychczasowymi wysoko kwalifikowanymi wychowawcami, którzy w Polsce będą kontynuowali swą pracę.” Nie do-

żyć więc, że w Rosji dzieci polskie były kształcone w duchu sowieckim, pod „staranną opieką” aparatu NKWD — obecnie cały ten aparat „wychowawczy” zostanie przeniesiony do Polski.

Propaganda sowiecka wyzyskuje zrzeczenie umowę w sprawie repatriacji Polaków z Rosji, wykazując, że jeden z podstawowych postulatów polskich został załatwiony; znowu nasłuchamy się pochwalnych relacji o „wspaniałomyśl-

ności sowieckiej” (przy czym nikt nawet nie wspomni tych kilkuset tysięcy zesłańców, którzy marnie zmarli za Uralem), — w rzeczywistości zaś Sowiety, dzięki umowie z 6. lipca 1945 r. nie tylko będą mogły dowolnie dysponować nadal Palakami, będącymi na zesłaniu, ale równocześnie za zgodą swych „waszawskich wasalów” bezkarnie przeszczepią na teren polski sowiecki system wychowawczy.

List otwarty

do członkiń rządu Wielkiej Brytanii i posłanek w Izbie Gmin z Labour Party

Szanowne Panie!

Zwracam się do Was, które w liczbie 21 weszłyście do Angielskiej Izby Gmin z Labour Party, a z których dwie zasiadają w Rządzie. Nie jest to zbyt duża cyfra, ale wcale też nie jest tak mała, żeby głos Wasz nie mógł zaważyć. Jako pisarka, mam pewien tytuł występowania publicznie i to tłumaczy, że pozwalam sobie skierować do Was ten „List otwarty”. Może nawet wystarczyłoby to, że należę do narodu polskiego, który z nadanej mu roli „natchnienia świata”, został zdeprecjonowany do roli „kłopotu świata”. A może wcale nie jest ważne, kto do Was pisze, skoro Wy same jesteście w tej chwili tą wartością, na którą zwrócone są oczy wielu milionów kobiet, należących do narodów pozbawionych wolności — mimo zwycięstwa. Nie wątpię, że jako grupa posłanek i członkiń Rządu posiadacie świadomość tego, że reprezentujecie nie tylko program swojej partii, ale i opinię narodu angielskiego, który w ostatnich wyborach Stronnictwu Pracy powierzył wewnętrzne i zewnętrzne interesy Imperium. Powierzył je w momencie kończącej się wojny, więc w szczególności trudnym.

Ten „List otwarty” nie będzie jednak poruszał całokształtu zagadnień, które dziś tak wyłącznie zajmują umysły anglosaskich mężów stanu, napędzając ich troską o przyszły ład i pokój świata.

1a. List mój skierowuję do kobiet, toteż treścią jego są sprawy, które wchodząc w skład całości, posiadają jednak swoją odrębność. Sprawy te powinny zatem obchodzić Was, kobiety, należące do narodów naprawdę wolnych i naprawdę demokratycznych, co daje Wam możliwość zarówno wpływu jak i współpracy w każdej dziedzinie.

Muszę tu cofnąć się do tamtych dziesięcioleci między jedną a drugą wojną światową. W tamtym bowiem okresie kobiety niemal całego świata wypracowywały wspólne poglądy na zagadnienia społeczne i etyczne. Były to wspaniałe programy, do których urzeczywistnienia dążyłyśmy w swoich środowiskach narodowych i państwowych. Dążenia te szły w dwóch kierunkach:

1. Osiągnięcie materialnych zdobyczy w formie równouprawnienia politycznego, a w związku z tym uzyskanie sprawiedliwości społecznej przez dostęp kobiet do każdej pracy, przez równą płacę za równą pracę, oraz zastosowanie takiej ochrony pracy, jaka należy się kobiecie-matce. Poruszam tu tylko najważniejsze punkty tej części naszego programu, w której domagałyśmy się realizacji równouprawnienia, istniejącego wprawdzie w teorii, lecz nie stosowanego całkowicie w żadnym z państw.

2. Zasadą naszego programu, dającą nam szerokie możliwości pracy nad

podniesieniem etycznego poziomu ludzkości, było również propagowanie praw moralnych, wywodzących się z humanitaryzmu, z cywilizacji chrześcijańskiej, z głębokiego poczucia odpowiedzialności za przyszłe pokolenia. Była to nasza, kobiet, ideologia pełna wiary w postęp ludzkości, której szczytowymi osiągnięciami są — wolność, równość, sprawiedliwość, poszanowanie umów i traktatów. I tu wymieniam tylko podstawowe prawa i pojęcia, które powinny regulować współżycie państw i narodów bez względu na to, jaki jest ich obszar i jaka liczba, bez względu nawet na różnice w ich dorobku kulturalnym i cywilizacyjnym.

Warto tu przypomnieć, że w tej swojej walce o prawa i idee, ruch kobiecy popierany był przez socjalizm, więc przez zorganizowany „Świat pracy”, który w swoim programie umieścił postulaty, domagające się równouprawnienia kobiet i zwalczania przesądów społecznych.

Druga wojna światowa przerwała tę pracę kobiet zorganizowanych w związki międzynarodowe, narodowe i społeczne. Nie trudno jednak było w początkach tej wojny dostrzec, że demokracje Zachodu toczą ją w imię tych właśnie zasad i haseł, które głosiliśmy. Ale wraz ze zmiennymi kolejami tej wojny, zasady ideologiczne zatraciły się zupełnie na rzecz gry politycznej. Odstępstwo to było zbyt jaskrawe, żeby mogło ująć czyjejkolwiek uwagi, zatem i uwagi kobiet. Tego sprzeniewierzenia się ideałom nie zdołały chyba przesłonić sukcesy kobiet w innej dziedzinie. Stało się bowiem, że podczas toczącej się wojny kobiety uzyskiwały niezrealizowane dotąd prawa do pracy, więc owo materialne zrównanie z mężczyznami. Uzyskiwały te prawa szybciej i niemal bez sprzeciwu na skutek warunków, spowodowanych długotrwałą i ciężką wojną. Należałoby się jednak nieco zastanowić, czy powinnymy się tak bardzo cieszyć tymi osiągnięciami, skoro źródłem ich jest — wojna. Przyznano przecież te prawa nie dlatego, że nam się słusznie należą, ale pod nacis-

kiem faktów, niosących nieszczęście i śmierć. Zbyt to wysoka i okrutna cena.

Jeżeli kobiety nie ponoszą tu winy, to jednak przyznać się muszą do dużych zaniedbań w sprawach, które nazwać należy ideologią tej wojny. Wiemy, że po jednej i po drugiej stronie walczących zdobyły sobie kobiety mocne pozycje w służbie dla wojny. Mimo to, stwierdzić należy, że kobiety nie odegrały wybitnej roli w tych wszystkich nadrzędnych sprawach, które były przyczyną i są skutkiem ostatniej wojny. Zarówno w obozie totalistyczno-faszystowskim jak i w demokratycznym szły kobiety po linii wyznaczonej przez przywódców-mężczyzn. Jeżeli w ustrojach totalistycznych Niemiec, Włoch i Rosji Sowieckiej trzeba wykluczyć jakąkolwiek możliwość wpływu kobiet na zamierzenia i metody wykonawcze (nie mają tam przecież takiego jak w państwach demokratycznych prawa zrzeszania się), to jednak zadziwić musi, że kobiety państw demokratycznych (mam tu na myśli przede wszystkim państwa anglosaskie) zachowały się biernie w kwestiach, które nie tak dawno propagowały w programach ruchu kobiecego, zajmując w nim czołowe miejsce.

Możecie wprowadzić na swoją obronę wysunąć argument, że podczas wojny nie chciałyście utrudniać politycznej taktyki swoich rządów. Odrzuć jednak podważa ten argument te, nieliczne wprowadzić, głosy opozycji w Izbie Gmin, w Izbie Lordów, w Kongresie Stanów Zjednoczonych A. P., które na zawsze pozostaną w historii Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych jako wyraz sumienia i poczucia krzywdy, wyrządzanej słabszym przez silnych. Nie słyszało się natomiast o wystąpieniach Waszych, tak licznych i liczebnych organizacyj kobiecych przeciw odstępowi ideologicznemu państw demokratycznych w Teheranie czy w Jalcie. Gorzej — prawie nie było gromadnych protestów kobiet przeciw barbarzyństwu, stosowanemu przez Niemców w krajach podbitych, nie było ani zgromadzeń, ani odezów piętnujących te metody (mordowanie Polaków i Żydów),

które pchnęły ludzkosć wstecz. Kobiety anglosaskie nie poczuwały się do obowiązku mówić o tym głośno i śmiało. Milczały, pozwalając się zagłuszyć okrucieństwu, wojnie i taktyce politycznej.

Dzisiaj, gdy odniesiono zwycięstwo nad agresorem niemieckim i japońskim, nadszedł moment, kiedy kobiety Zachodu nie mogą już żadnymi argumentami wytłumaczyć swojego milczenia, swojej powściągliwości, czy też obojętności. Odbływały się już przecież „decydujące” narady w San Francisco, w Poczdamie, w Londynie. Zwycięzcy zabrali się bowiem pilnie do urządzania świata i może nawet wierzą, że uda im się spacyfikować kontynenty. Masy ludzkie, zamieszkujące kraje dotknięte straszliwymi wojnami i długotrwałymi okupacjami, nasłuchują więc uważnie i interpretują każde słowo, każde orzeczenie wielkich trójek, czwórek i piątek, chcąc się dopatrzyć i dosłuchać urzeczywistnienia swoich słusznym pragnień. Masy ludzkie słuchają, czytają — i popadają w coraz większe zwątpienie, w depresję, w rozpacz.

Niech mi wolno będzie wywołać z tej masy ludzkiej i na pierwszym planie postawić kobiety. Należy im się to nie z tytułu owych pięknych form, które kiedyś istniały w przedwojennym świecie, i nawet nie dlatego im się to należy, że są komendantkami, ponieważ tak gremialnie uczestniczyły w wojnie — ale należy im się to właśnie dlatego, że kobiety w krajach, przez które przebiegała wojna, ucierpiały najwięcej. Wszędzie tam, kąd przeszły wojska niemieckie i sowieckie, były kobiety traktowane jak rzecz, jak zdobycz wojenna. Doznały wszystkich pohańbień ludzkiej godności. Przeszły przez wszystkie kazińskie więzień, obozów, tortur i śmierci — w tym już całkowicie równouprawnione z mężczyznami.

Od krajów nadbałtyckich poprzez Europę Środkową aż do krajów bałkańskich — istnieją dziś miliony kobiet, które przeżyły i nadal przeżywają wszystko najgorsze i nieludzkie. Nie słyszane i nie słuchane przez Was, wołają one — o prawo bezpieczeństwa, o prawo do spokojnego domu, o prawo

do własnych dzieci. Nie pragną niczego innego nad to, co im się należy, a co Wy, kobiety Wielkiej Brytanii, posiadacie jako coś najbardziej naturalnego na świecie. Kobiety litewskie, ukraińskie, białoruskie, polskie, węgierskie, rumuńskie, bułgarskie, jugosłowiańskie itd. — są równouprawnione z Wami do wolnego i bezpiecznego bytowania.

Głos kobiet, gdy jest masowym krzykiem rozpacz, nie brzmi przyjemnie. Mężowie stanu zatykają więc szczelnie uszy przed tym rozdrażniającym „wrzaskiem”. Sądzę jednak, że Wy jako kobiety zdobędziecie się na wsłuchanie się w wielojęzyczne wołanie tych, które obecna sytuacja doprowadziła do kresu rozpacz. Jestem w tym „Liście” niejako tłumaczem tych niezrozumiałych obcych wyrazów. Znaczą one w każdym języku to samo, mimo, że nie ustalono brzmienia tych postulatów i protestów na „wspólnym międzynarodowym zjeździe” — jak to było zwyczajem w tamtych, przedwojennych, wolnych czasach. Znaczą: — „Chcemy wolności narodowej i państwowej, aby móc rządzić się u siebie w kraju i w domu bez nadzoru obcych; nie chcemy, aby plugawiono naszą kobiecą godność, aby nasze dzieci wychowywano na denuncjantów, wsteczników i zbrodniarzy, aby nasze ubóstwo do reszty rozgrabiano, aby nas, od wieków osiadłych, zamieniono na wędrownych tułaczy”. — Być może, że kobiety te wołają także bardziej rozpaczliwie: — Ratujcie nas, zanim popadniemy w barbarzyństwo, albo ulegniemy zagładzie!”

Dochodzą do Was wiadomości, wprawdzie skąpe, ale wiarygodne o tym, co się dzieje za murem, obstawionym przez czerwoną armię i osławione N. K. W. D. W więzieniu sowieckim i w łagrze, a potem na wolności w Z. S. R. R. widziałam, jak żyją „ich” kobiety. Widziałam tam nieludzką, w praktyce żadną ustawą nie chronioną pracę tych kobiet, ich odczłowieczenie, ich zatajony bunt i ich bezwolność. Warunki, w których z trudem wytrzymuje mężczyzna, sprawiają, że kobiety sowieckie starzeją się

przedwcześnie, że ich dążenia i pragnienia dotyczą jedynie zaspokojenia głodu, obleczenia czymkolwiek ciała, przechytrzenia tych, których się bezustannie lękają. Aby to pojąć mogli ludzie Zachodu, trzeba tego doznać, trzeba przynajmniej to zobaczyć. Nie tak, jak pani Churchill jako gość rządu sowieckiego i nie tak, jak delegaci związków zawodowych, albo dziennikarze, oprowadzani przez zamaskowanych enkawudzystów. Pani Churchill i ci inni mogli widzieć tylko to, co im chciano pokazać. Bluffowanie pokazowymi urzędzeniami, nawet pokazowymi łagrami i więzieniami, jest specjalnością Rosji Sowieckiej. Tak, jak specjalnością jest bolszewicki system „wychowywania” tych wszystkich podbitych i wziętych we władanie narodów. Łamiąc charakter, niszcząc opornych wraz z ich rodzinami, wypleniając do gruntu, przesiedlając w głąb azjatyckiej Rosji — usiłują wpajać swoją ideologię, już dawno spaczoną i zakłamana przez ambicje imperialne. Wtedy, kiedy byłam więźniem sowieckim (1939—41 r.), ponad 20 milionów obywateli sowieckich odsiadywało karę w więzieniach i obozach pracy. Z więzień i łagrów nikt nigdy nie wraca już do swoich rodzin, zwłaszcza polityczni więźniowie, których jest olbrzymi procent. Miliony kobiet, obwinionych tylko o to, że są matkami, żonami, córkami tych, którym „udowodniono” przestępstwa natury politycznej — odsiadywują długoletnie więzienie i pracują ponad ludzkie siły w obozach, kopalniach, lasach, fabrykach według tak zwanej normy, wyznaczanej porówni kobietom i mężczyznom. Rodziny tych więźniów politycznych rozbito nie tylko przez wyaresztowanie wszystkich, ale i przez wpajanie, przez nakazywanie wzajemnej nienawiści. Widziałam w więzieniu matki, których dzieci wyrzekły się z lęku przed partią i przed N.K.W.D. Placząc, wyznawały te matki swój gorzki żal, ale nie potępiały swoich dzieci, bo przecież — „nie mogą się narażać, chcą jakoś żyć”.

Taka oto, a chyba jeszcze gorsza jest przyszłość matek należących do narodów, oddanych lekką ręką pod władzę

i pod wpływ sowiecki. Kłamstwo o demokracji sowieckiej ciągle jednak hypnotyzuje świat i zagraża mu zupełnym uspieniem wobec wyrzeczenia się przez świat demokratyczny własnych zasad ideologicznych. Do Was, kobiety Zachodu, należy ten trud budzenia z letargu, póki jeszcze nie za późno. Nie można zresztą mieć czystego sumienia, gdy głosząc piękne hasła o uspokojeniu świata, oddaje się te „małe” narody, posiadające kulturę zachodnią, lub bardzo do niej zbliżoną, kochające wolność i niezależność — na pastwę przemocy, nie znającej granic. Nie można mieć czystego sumienia, mimo, że nie własną ręką, tylko cudzą rozstrzeliwuje się, skazuje na powolne konanie w więzieniach i sybirskich katorgach, na sponiewieranie, znikczemnienie, spodlenie człowieka. Nie, nie można mieć czystego sumienia, nawet jeżeli się to robi w imię racjonalnej polityki własnego państwa, w imię zasady: „bliższa koszula ciału”.

Jeżeli anglosascy przywódcy polityczni biorą ten stan rzeczy, mimo wszystko, na swoje sumienie, nie wolno tego czynić Wam, kobiety wolnego narodu. Uczestnicząc jako posłanki i członkinie Rządu czynnie w tych historycznych wydarzeniach, możecie i powinniście zająć odmiennie stanowisko, odpowiadające kobiecej trosce o jutro świata. Powtarzam: — miliony kobiet żyje w upodleniu niewoli, miliony kobiet broni się jeszcze przed zatraceniem człowieczeństwa, wierząc w Waszą pomoc. Liczą one na te dawne związki wspólnych pojęć i idei, na „międzynarodówkę kobiecą”. Przecież delegatki tych kobiet, dziś ujarzmionych i pozbawionych prawa zrzeszenia się, razem z delegatkami Waszych kobiecych organizacji obradowały na międzynarodowych zjazdach i konferencjach nad ulepszeniem materialnego bytu kobiet i duchowego postępu ludzkości. Były to niejednokrotnie mądre, wykształcone, szlachetne kobiety, zgodne z Wami w tych wszystkich sprawach, o które warto walczyć i za które warto zginąć. Wiele z tych kobiet — o Polkach wiem to z pewnością, wiem z imienia i naz-

wiska — zginęło z rąk obu okupantów. Zapewne, piękna i sławna to śmierć — w obozach niemieckich czy na Sybirze — ale teraz, gdy my jesteśmy bezradne, od Was zależy, czy te ofiary mają pozostać daremne. Od Was zależy, czy jeszcze i jeszcze mają ginąć szlachetne kobiety z dalekich narodów, aby ich protest i rozpacz niczego nie dokonały. Nie naruszyły nawet spokoju Waszych sumień.

Szanowne Panie! — miejcie przynajmniej odwagę powiedzieć to Waszym mężczyznom, którzy wierzą w zabezpieczenie siebie i Was i Waszych domów na długie lata. Może będą skłonni wysłuchać Waszych spokojnych głosów, gdy nie chcą słyszeć nieprzyjemnego krzyku mas kobiecych.

Wcale nam tu jednak nie chodzi o współczucie, czy o litość. Nie UNRRA to ma być, nie zbiórka odzieży, nie mydło i konserwy. Wzywamy Was do wypełnienia dawnych zobowiązań wzajemnej pomocy i do solidarności. Nosi-

łyśmy kiedyś dumną nazwę, ogarniającą setki milionów kobiet, określającą najpiękniejsze idee ludzkości: „Świat kobiecy”. Trzeba w tym zasięgu pozostać, trzeba znowu mieć odwagę walczyć o to, co ten „Świat kobiecy” reprezentował.

Kończę mój „List otwarty” z najgłębszym przeświadczeniem, że nie trafi w próżnię. Będziemy nasłuchiwać Waszych oświadczeń w Izbie Gmin. Będziemy z niecierpliwością oczekiwać Waszych publicznych wystąpień na masowych zgromadzeniach, Waszych protestacyjnych uchwał. Jeżeli się zawieziemy na Was, posłanki Labour Party i członkinie socjalistycznego Rządu zwycięskiej W. Brytanii, wierzę nam — że wówczas nie tylko „Świat kobiecy” przestanie istnieć w swojej wolnej, wspaniałej i twórczej formie, ale i cały wielki świat popadnie w znikczemnienie.

dr Herminia Naglerowa

Krym, w październiku 1945 r.

Ja jestem tutaj obcy

*Ja jestem tutaj obcy, ja jestem tutaj inny,
Ziemio wybrzeży zwiewnych i parujących winnic.*

*Patrzę na hardy ślad, rzucony na perystylach,
A tu Leopardi gości, tutaj dumala Sylwia;*

*Na grobie białej Julii, a może gdzieś w Tryjeście,
Chodzą zbłąkani ludzie po obojętnym mieście;*

*A tedy bitewna śmierć rozdartym przeszła polem —
Może ci inną pieśń zanuci nocą gondolier,*

*Może z nad rzymskich ścian, spod sklepień Zamku Anioła,
Słowe gołębie snu nad grobem zatoczą koła;*

*Może floretów błysk w wiekowej wyśniesz winiarni,
Może ci nów w Orvieto, może ci wrak na Arno;*

*Może nad Adrią zmierzch w poszumie ściemniałych godzin
Wpłynie w srebrzystość ciszy na masztach antycznej łodzi?*

*Ja jestem tutaj obcy, bardzo odległy przybysz;
Staję przed mrocznym oknem, patrzę przez grube szyby*

*I tylko porą, kiedy niebo pożarem płonie
Gdzieś na poświatłej kartce, kończę jedyny sonet.*

Artur Międzyrzecki

Rozmowa w wagonie

Na dworcu wschodnim w Warszawie, na godzinę przez odjazdem wsiadłam do pociągu lubelskiego. W wagonach było tłoczno. Osowiali ludzie cisnели się na ławkach, lub na tobołkach między ławkami, stali na korytarzach i zaliczali siebie do wybrańców losu. Mniej szczęśliwi od nas musieli włązić na dach, lub czepiać się stopni wagonów. Czekaliśmy cierpliwie na odjazd. Między podróżnymi co chwila wybuchały awantury, likwidowane nie dającym się zbić argumentem: „Uspokój się pan do pioruna, każdy chce jechać”.

Byłam w tym przedziale specjalnie wysoko usytuowaną arystokracją: miałam miejsce koło okna.

Tuż koło mnie, z dużą paczką na kolanach siedziała młoda dziewczyna w białej, perkalowej chustce na głowie. Uderzyły mnie jej jasno-niebieskie oczy, tak jasne, że prawie popielate i usta małe, ściągnięte w podkówkę, jak usta dziecka, które wstrzymuje płacz. Zaga-dałam przyjaźnie do tej dziewczyny i nagle ciepła fala podniosła mi się w sercu: dziewczyna mówiła miękkim, śpiewnym głosem i jak złoto czystym akcentem wileńskim. Odwróciła się ku mnie i wtedy w obramowaniu białej chustki ujrzałam niewysłowiony wdzięk twarzy: czki bardzo młodej, uśmiechającej się przez łzy. „Paniezka! Oto jak dziwnie zrobiło się, pani z Wilna, a ja z Miadzioła. W Miadziole byłam rodziwszy się i ja i moja matka i mój ojciec. Tam był nasz dom, na prawo, w bok od szosy, co idzie aż do Naroczy. Dom stał na górze w sadzie”. Zaczęła się opowieść, jedna z tych wojennych kresowych tragedij, której na imię milion. Bezdomna włóczęga, rozbięcie rodziny, deportacje do Rosji, beznadziejne poszukiwanie najbliższych. Opowiadała prostymi słowami, uradowana i podniecona, że znalazła ważną słuchaczkę, kogoś „swojego”, do kogo poczuła zaufanie, kogo może się poradzić. Jej miły, ciągnący z „wileńska” głos uspokoił rozgwar wybuchających co chwila kłótni między pasażerami.

Cały przedział zaczął słuchać opowieści dziewczynskiej.

Otóż zaczęło się od tego domu, który stał „na prawo, w bok od szosy” i przy którym był sad. Dwie siostry, dwaj bracia, rodzice, dziadkowie. Dzieci chodziły do szkoły w Miadziole. „Najstarszy brat to nawet bardzo dobrze uczył się. Nauczyciel mówił: musisz do Wilna jechać, znaczy się gimnazjum miał kończyć, chciał na doktora uczyć się”. Słowem wszystko było. Teraz nie ma nic. Tenże najstarszy brat „poszedł do lasu”. Nie wie gdzie jest teraz. Sąsiad Stasiak Radziusz mówił że „był w ułanach”, że jeszcze na Boże Ciało w 44 roku żył. „Potem ktoś powiedział, że wywieźli jego do Rosji. Czasem sobie myślę, że chyba tam zginął”. Dziewczyna przestała mówić. Tak, o tym bracie istotnie był koniec opowieści. Twardy, bardzo mazurski głos odezwał się z końca przedziału: „Jak wywieźli do Rosji, to pewne że na śmierć, nie na wesele, psia ich mać”. Jasny wzrok pobiegł z łękiem w tamtą stronę, z której przyszedł ów wyrok, dziecinne usta wygięły się jeszcze mocniej w podkówkę i cichutkim echem przytwardziły „zwileńska”. „Bożesz Ty mój, — pewno, że nie na wesele”. Teraz już cały przedział słuchał. Przysadziste baby spod Pilawy i żyłaste mazurskie chłopcy i zadzierzyste „szmuglerki” warszawskie! Z dalszych pytań i odpowiedzi wynikało jasno, że młodszy brat uciekł, poszedł „do Polski”, bo już ziemia miadziolska zaczęła mu się palić pod nogami. Poszedł na jesieni 44 roku, „tak jakoś koło Wszystkich Świętych”, a do rodziny dotarła wiadomość, że go ktoś, kiedyś widział w Zamościu. W zimie 45 roku obie dziewczyny wraz z matką przeniosły się do Wilna do krewnych, bo koło Miadzioła zaczęły grasować bandy sowieckie. Grabili, zabijali, palili, „strach mówić, co wyrabiali”. Nie można było żyć. „W Wilnie zapisali się my na wyjazd do Polski, bo Ruskie mówili, że Wilno to nie Polska już, a znaczy się

Sowiety. Bały my się, że jak nie zapiszemy się do Polski, to nas pociągną na Sybir". Zaczęła się wędrówka przez Grodno, Białystok. Jechały olbrzymim pociągiem. Sami swoi. Wieźli trochę dobytku. Cierpieli głód. Nie wiedziały co ich czeka. Nie wiedziały gdzie jest ojciec. Czy został w Miadziole, czy też pojechał do Polski. W Łodzi, do której dotarły po wielu trudach, dostały kartkę, że mają jechać pod Lignię. Pojechały. Nie miały pieniędzy. Najpierw przydzielono im jakiś dom i ogródek. Potem wyrzucono, powiedziano im, „żeby jechać dalej na niemiecką ziemię, aż pod Wrocław. Na co nam ona ta ziemia, znowu dadzą i znów odbiorą, — co nam robić: jedna matka i nas dwie — pewno, że nam dadzą co tylko jak najgorzej". Więc „wzięła i pojechała" do Zamościa szukać brata, może znajdzie się jakości". Bilet jako „repatriantka" ma bezpłatny, a kolejarze opiekują się — jeden oddaje drugiemu — „wiadomo, dobrzy ludzie". I tak jedzie szukać. Bez brata albo ojca rady nie dadzą. Siedziała z drobnymi, chudymi rękami złożonymi na małym tobołku, bezradna wobec wielkiego świata, jakaś dziwnie zagubiona w obczyźnie, z dala od tego domu na górce z sadem i od ciszy wsi wileńskiej, gdzie się rodziły takie przecudne jasno — popielate oczy. Wszyscy byli po jej stronie, przedział, wszystkie te proste serca mazurskie dygotały ze wzburzenia, ze wstępu dla tej ohydy, dla tej niesprawiedliwości, żeby „taki spokojny naród po świecie ganiać gorzej jak psy", „żeby na ludziach przyzwolonych mścić się nie wiedzieć za co", i żeby jeszcze „człowiek musiał tego słuchać i nie prac w mordę choćby temy gołymi rękami i nie dusić za

gardło takie syny". Już bardzo gorąco zaczęło się robić w przedziale. Dzieweczka na te mazurskie ostre przekleństwa zaczęła na dobre pochlipywać i ciągać nosem.

Na szczęście pociąg ruszył.

Zostawiliśmy za sobą popalone budynki kolejowe Pragi. Błękitne niebo zaczęło płynąć za oknami wagonów. Zboże za Wawrem stało jeszcze nie żęte, ciężkie od kłosów. Z cichych pochlipowań wypłynęły niespodziewanie cichym szeptem wymówione słowa: „Ciekawość wiedzieć czy nasza ziemia też zasiana, ci tak już zupełnie a zupełnie opuszczona".

Och! wielce szanowny panie Putramencie i ty wielce szanowny panie Stachelski i Petrusewicz, panie Jędrzychowski i pani mecenasie Zaszoft-Sukiennicka, — wy pięknoduchy, którzy w Wilnie tak górnolotnie mówiliście o „socjalistycznym budowaniu" współ z ZSRR — zrodziła was ta sama ziemia wileńska! Nie wiem jakie teraz piastujecie wysokie urzędy ministrów, ambasadorów, szefów departamentów, czy dyrektorów P.U.R.'u. Jakże żałowałam, że zamiast siedzieć w fotelach wyszabrowanych ze spalonej Warszawy nie jechaliście razem ze mną w natłoczonym przedziale, dusznym od ludzkiego potu i gorącym od ludzkich serc. Może sprawa oderwania od Polski Kresów Wschodnich nie wydałaby się wam taka prosta, a „repatriacyjna polityka" nabrałaby może innego aspektu niż ten, który znacie z usługowych raportów, pisanych pod dyktando inspiracji moskiewskich.

Wanda Heblewska



*To rozpięwany kwiat na strunach
trącanych smyczkiem naszych dni
skrzypkowi w wizje rósł psalmisty
i widł na żaglach mórz obłoki
i kruchą wolność chwil szczęśliwych*

*— u moich palców smuga włosów
nikła, jak rano pochód gwiazd.*

Włodzimierz Szarbachowski

Stronnictwa polityczne we Włoszech

Zagraniczny obserwator, który chciałby się zorientować wśród naszych stronnictw politycznych istniejących dziś we Włoszech, może łatwo popaść w błąd na skutek podobieństwa nazw, które noszą różne partie, często zupełnie sobie przeciwne np. Partia Chrześcijańsko-Demokratyczna i Partia Chrześcijańskiej Lewicy, albo Włoska Partia Komunistyczna i Ruch Komunistyczny Włoch). Poza tym może on sądzić, że panuje pewna jednolitość wśród różnych stronnictw, zważywszy, że — bez wyjątku — wszystkie lubią nazywać się same „demokratycznymi” lub „antyfaszystowskimi”. W rzeczywistości jednak ta jednolitość jest tylko pozorna i najbardziej rozbieżne kierunki — od liberalizmu lewicy do skrajnego komunizmu — ozdabiają się wspólną etykietą demokratyczną, dziś bardzo modną. Natomiast uderzający jest zanik określania stronnictw przymiotnikiem „narodowy”, który jak się zdaje stracił wzięcie.

Rzut oka wstecz

Przed podaniem czytelnikowi panoramy życia politycznego we Włoszech w roku 1945 wydaje się pożyteczne rzucić okiem wstecz, w dzieje włoskich stronnictw politycznych od ustanowienia królestwa (w roku 1861) po dzień dzisiejszy. Oba kierunki polityczne, które uzyskały przewagę w okresie szerzenia się idei Jedności Włoch — kierunek liberalny, przychylny monarchii i kierunek tzw. „Mazziniego”, skłaniający się ku republice — przetrwały w okresie nowego królestwa, dając początek dwu ugrupowaniom parlamentarnym, prawicy i lewicy. W pierwszym ugrupowaniu obok liberałów zbrali się wszyscy ci, którzy ze względu na swój opór wobec nowych doktryn politycznych zasługują na nazwę „konserwatystów”, gdy natomiast w drugim ugrupowaniu do republikanów wywodzących się od Mazziniego przyłączyli się szybko demokraci, radykałowie i socjaliści. Dopiero w wiele lat po ogłoszeniu królestwa wyłoniło się nowe stronnictwo skrajnie prawicowe, partia nacjonalistyczna, z programem rewindykacji terytorialnych i ekspansji kolonialnej, gdy zaś katolicy — którzy się jeszcze nie zorganizowali w stronnictwo — starali się udzielić swego poparcia partii liberalnej.

Należy przyznać, że ze wszystkich tych stronnictw na początku pierwszej wojny światowej jedynie dobrze zorganizowana była partia socjalistyczna, silna licznymi zastępami członków z „bojówkami” i poparta potężną „generalną konfederacją pracy”. Była też jedyną partią, która rozbudowała wówczas organizację krajową na całym Półwyspie Apenińskim (— z federacjami prowincjonalnymi, sekcjami lokalnymi, kołami regionalnymi), kierowaną przez organy

centralne (kierownictwo partii), na której potem wzorowały się partie powojenne, zaczynając od faszystowskiej. Do socjalizmu przyłączyły się wówczas w całych Włoszech liczne młode elementy inteligencji, zwabione żywotnością stronnictwa, gdy w tzw. stronnictwach „burżuazyjnych” (mieszczańskich), w których rękach spoczywała władza, ale które były zdeorganizowane lub źle zorganizowane, wygasła wszelka działalność poza okresami wyborów.

Pierwsza wojna światowa spowodowała wyraźne rozluźnienie między partiami „interwencjonistów” i „neutralnych”. Za neutralnością opowiedzieli się socjaliści, z wyjątkiem rozłamowego ugrupowania „bissolatystów” (od nazwiska przywódcy Bissolatiego) i inne ugrupowania, prowadzone przez Mussoliniego, który w tym czasie opuścił partię socjalistyczną, w której prowadził czynną działalność przez dobre 10 lat. Natomiast za interwencją (w wojnie światowej) opowiedziały się — z większym lub mniejszym entuzjazmem — inne partie od nacjonalistów aż po liberałów.

Okres powojenny był z jednej strony świadkiem szybkiego wzrostu liczby członków partii socjalistycznej, z drugiej zaś stopniowego rozpadania się samej partii na różne kierunki (socjaliści unitaryści, maksymaliści, reformiści, secesjoniści różnych odcieni); uniemożliwiło to partii zajęcie naczelnego stanowiska, które miała ona zająć we włoskim życiu politycznym. Najbardziej skrajne elementy opuszczały partię socjalistyczną, przyłączając się do ruchu komunistycznego, inne zaś bardziej umiarkowane — a zwłaszcza intelektualni, którzy byli nerwem socjalizmu przedwojennego — nie podzielały stanowiska, które on zajmował w sprawie wojny i które wydawało się z wielu względów przeciwnie interesom narodowym.

Gdy zarysował się w ten sposób kryzys włoskiego socjalizmu, w pierwszym roku po wojnie powstały dwa nowe stronnictwa: Partia Ludowa, która skupiła siły katolickie dotychczas nie zrzeszone w jednym stronnictwie i „Włoskie różgi bojowe”, które potem przyjęło nazwę Narodowej Partii Faszystowskiej pod przewodnictwem byłego socjalisty — Benito Mussoliniego. W tym samym czasie radykałowie i demokraci zeszli praktycznie biorąc z areny politycznej wchłonięci przez nowe stronnictwo lewicowe; republikanie tracili grunt prawie wszędzie, zmuszeni do ograniczenia wówczas swej działalności politycznej do kilku kręgów wyborczych Romagnii. Głównymi włoskimi stronnictwami politycznymi pozostałymi na widowni w burzliwym okresie powojennym były, licząc od prawicy do lewicy — następujące: faszystowskie, nacjonalistyczne, liberalne, ludowe.

socjalistów reformistów, socjalistów unitarystów, maksymalistów i komunistów.

Walka o władzę trwała ponad 3 lata. Socjaliści i komuniści zapowiadali rewolucję socjalną, na wzór rosyjskiej, ale nie mieli siły materialnej i moralnej dla urzeczywistnienia swych projektów. Udało im się jednak — przy pomocy dwóch sloganów: „rewolucji społecznej” i „dyktatury proletariatu” — oniśmiewać klasy mieszczańskie tak iż stronnictwa umiarkowane, a w szczególności liberalne i ludowe, udzieliły mniej lub bardziej wydajnej pomocy nowemu stronnictwu skrajnej prawicy — faszystowskiemu. Partia ta zaś zjednała sobie na początku więcej głosów poparcia z powodu odważnego przeciwstawiania się czerwonym ruchom przewrotowym, aniżeli ze względu na swój program polityczny, który w tym czasie był nieokreślony i chwiejny.

W ten sposób doszło do tego, że w końcu października 1922 r. po szeregu starć, nieporządków, okresie bezrobocia, okupowaniu fabryk przez załogi, lock-outów, napaści na urzędy publiczne i innych aktach gwałtu, które rząd koalicyjny kierowany przez liberałów nie był w stanie opanować, partia faszystowska doszła do władzy z programem przywrócenia porządku i usunięcia tzw. walki klas.

Stronnictwa w okresie faszyzmu (1922 — 1943)

Partia faszystowska doszła do władzy w sposób jeśli nie antykonstytucyjny, to przynajmniej antyparlamentarny. Mussolini — jakkolwiek faszystom rozporządzał tylko 34 miejscami w Izbie Posłów na 535 — rzucił rządowi wyzwanie, domagając się jego usunięcia i przekazania władzy faszystom. Jednocześnie zmobilizował w całych Włoszech faszystowskie „oddziały czarnych koszul” (*squadre d'azione*), dając im rozkaz marszu na Rzym celem objęcia władzy siłą. Król skierował wówczas sprawę na tory konstytucyjne, powierzając Mussolinemu misję utworzenia nowego rządu. Nie był to zresztą rząd faszystowski lecz koalicyjny narodowej; włączono do rządu — obok ministrów faszystowskich — liberałów i ludowców, którzy kierowali większością resortów.

Celem sprowadzenia całej sprawy również na grunt parlamentarny — o czym pomyślał już sam parlament — izby w 15 dni po dojściu faszystów do władzy uchwaliły nowemu rządowi votum zaufania. Przez pewien czas faszystom mógł liczyć na głosy liberałów i większości ludowców; partia nacjonalistyczna weszła *en bloc* do partii faszystowskiej, zlewając się z nią całkowicie. W opozycji pozostali socjaliści i komuniści, którzy znaleźli się w mniejszości wobec bloku prawicy i centrum.

W ten sposób faszystom rządził konstytucyjnie krajem przez niemal dwa lata. Ale w roku 1924, wobec zaakcentowania się w polityce faszystowskiej różnych tendencji antydemokratycznych i antyliberalnych, większość liberałów i ludowców cofnęła swe poparcie rządowi Mussoliniego. Faszysty — po pewnym wahaniu — wpro-

wadzili zarządzenia wyjątkowej wagi przeciwko opozycji, rozpoczynając z początkiem 1925 r. politykę represji przeciwko wszelkim formom krytyki i opozycji wobec rządu. Polityka ta zaostrzała się coraz bardziej i z końcem tegoż roku doprowadziła do rozwiązania wszystkich stronnictw politycznych, z wyjątkiem partii faszystowskiej.

Różne ugrupowania parlamentarne rozmaicie zareagowały na dekret o rozwiązaniu stronnictw. Spośród liberałów wielu wybitnych ludzi, jak Croce, Orlando i Giolitti nie zmieniło swego opozycyjnego stanowiska; zwykli członkowie stronnictw natomiast zaprzestali wszelkiej działalności politycznej, bądź też wręcz przystąpili do ruchu faszystowskiego, co miało miejsce w wielu wypadkach. Wśród ludowców przeważały wypadki ogłoszenia trwałej opozycji (Don Sturzo, De Gasperi), zwłaszcza we frakcji lewicowej, która nigdy nie udzieliła poparcia faszystom; w każdym razie jednak partia ludowa — tak jak i liberalna — przestała praktycznie istnieć i również w jej łonie liczne były wypadki nawrócenia się członków na faszystów. Szczególnie znamienne było stanowisko jednej grupy byłych ludowców (Martire, Mattei-Gentili itd.), którzy mogli kontynuować swą działalność polityczną, nawet po rozwiązaniu stronnictw dzięki zgłoszeniu swego poparcia faszystom. Oni utworzyli w r. 1928 stowarzyszenie polityczne pod nazwą „Centrum narodowe”, które uzyskało 4 miejsca w izbie posłów i jeden fotel podsekretarza stanu w rządzie i utrzymało się przy życiu kilka lat, jak gdyby przełamując jedność polityczną stworzoną przez system jednopartyjny.

Socjaliści i komuniści byli tymi, przeciwko którym oczywiście skierowane zostały przede wszystkim zarządzenia represyjne wydane przez rząd faszystowski w latach 1925 — 1926. Wybitniejsi przedstawiciele tych partii (posłowie, syndycy w wielkich ośrodkach, dyrektorzy i redaktorzy dzienników), o ile nie schronili się zawczasu za granicą, zostali z reguły zesłani na wyspy na Morzu Tyrreńskim. Stąd wielu udało się zbiec, to też powstały w różnych miastach zagranicznych (w Paryżu, Marsylii, Genewie) liczne kolonie emigrantów włoskich, przeważnie socjalistów, którzy wkrótce stworzyli własny organ koordynacyjny w postaci tzw. „Zjednoczenia Antyfaszystowskiego” w Paryżu.

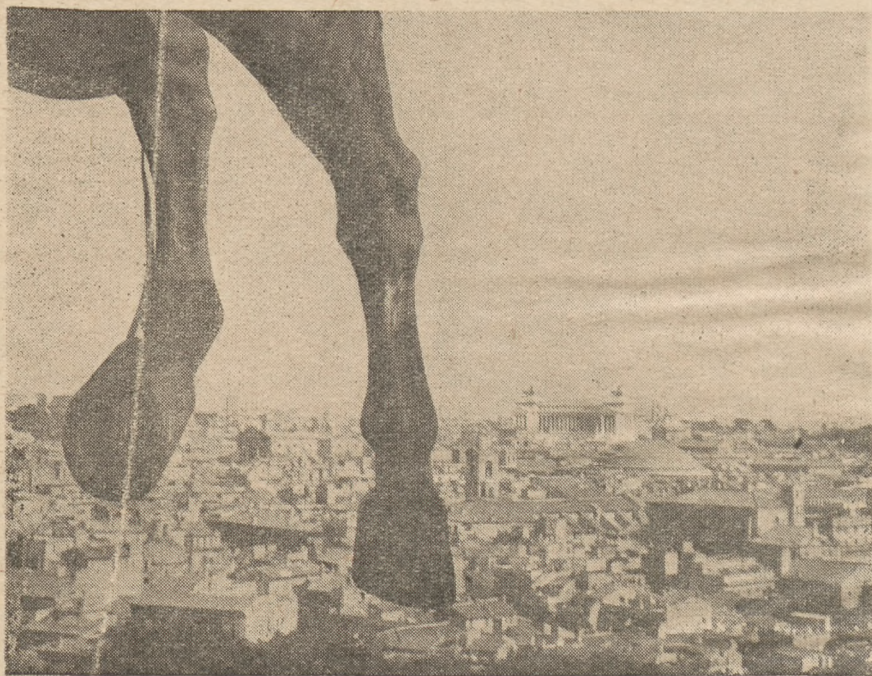
Jeśli jednak przywódcy socjalistyczni na emigracji we Francji nie zdołali wiele uczynić dla udzielenia pomocy swym mniej wybitnym towarzyszom partyjnym pozostałym we Włoszech, ani też dla utworzenia na terytorium królestwa włoskiego nielegalnej partii socjalistycznej, to komuniści, którzy schronili się do Z.S.R.R. — nieliczni, ale bardzo wspomagani przez Komintern — potrafili utrzymać nieprzerwane kontakty z nielicznymi rodakami — komunistami pozostałymi we Włoszech. Można zatem stwierdzić, że również we Włoszech — jak i w wielu innych krajach, w których życie polityczne zostało oparte na systemie jednopartyjnym — rozwiązanie partii opozycyjnych doprowadziło

do zupełnego zaniku tzw. stronnictw mieszczańskich (burżuazyjnych), pozostawiając jednak przy życiu — jakkolwiek w formie nielegalnej — partię komunistyczną.

Ten przegląd stronnictw we Włoszech pod rządami Mussoliniego nie byłby zupełny, gdyby nie wspomnieć o jedynej partii politycznej, która pozostała przy życiu, mianowicie Narodowej Partii Faszystowskiej. Po ustaniu jej współzawodnictwa z przeciwnymi stronnictwami straciła ona swe pierwotne oblicze „zrzeszenia politycznego członków”, stając się — jak we wszystkich innych krajach o systemie monopartyjnym — rodzajem uprzywilejowanej kasty, do której było wygodnie i pożyteczne

dokumentem stanu cywilnego, jak świadectwo urodzenia lub w ogóle istnienia. Tak w ciągu 18 lat, które upłynęły od r. 1925 do 1943, liczba członków partii dosięgła miliona, a później kilku milionów. Ale im więcej partia miała członków, tym bardziej wiotką stawała się jej treść ideowa, gdyż zawsze więcej było oportunistów niż głęboko przekonanych o „słuszności” swych haseł, faszystów.

Niemniej partia faszystowska rozwijała pozytywną działalność w różnych dziedzinach, jak opieka nad dzieckiem, nad pracownikami, nad inwalidami, przejmując od wypadku do wypadku zadania różnych innych instytucji. W tych wypadkach partia funkcjonowała jak



(Fot. Z. Haar)

Rzym widziany z Pałacu Sprawiedliwości

należać. Przywabieni przywilejami (jak pierwszeństwo w instytucjach prawa publicznego, przy obsadzaniu stanowisk, uzyskiwaniu koncesji i td.) liczni ludzie, którzy w niczym się nie przyczynili do dojścia do władzy faszyzmu, a również wielu z tych, którzy otwarcie go popędzali, zapisało się teraz do partii faszystowskiej, a zastępy młodzieży, zwłaszcza urodzonej po r. 1908, zaczęły masowo wstępować do partii. Przynależność do organizacji młodzieżowych była właściwie obowiązująca w praktyce. Z biegiem czasu zapisanie się do partii faszystowskiej stało się konieczne dla zrobienia jakiegokolwiek kariery życiowej, tak, iż wszyscy — chcąc nie chcąc — w końcu zaczęli wyrabiać sobie legitymację członkowską, która stała się

prawdziwe ministerstwo opieki społecznej, a nie jako „stowarzyszenie polityczne członków”, jakim była z początku.

Stronnictwa nielegalne i schyłek faszyzmu

Już w ostatnich miesiącach panowania ustroju faszystowskiego, a według wersji nie dających się skontrolować — nawet w ostatnich latach, zaczęło się tworzenie stronnictw nielegalnych w różnych miastach włoskich. Różne momenty sprzyjały rozbudowie czynnej akcji antyfaszystowskiej: szerzące się niezadowolenie z powodu niepomysłnego przebiegu działań wojennych, niepopularność sojuszu z Niemcami

mi, zręczna i skuteczna propaganda Zjednoczonych Narodów, zmierzająca do osłabienia włoskiego wysiłku wojennego przez wywołanie kryzysu politycznego w przełomowym momencie konfliktu. Przy takim stanie nastrojów i umysłów zimą 1942 — 43 łatwy grunt znalazła propaganda partii nielegalnych. Które z tych stronnictw były rzeczywiście czynne w tym okresie i do jakiego punktu doszło napięcie tej działalności — trudno dziś powiedzieć, gdyż jest jeszcze rzeczą zbyt trudną dla okresu tak świeżego zestawić obiektywną kronikę, nie tendencyjną i nie przepełnioną propagandą. W każdym razie wydaje się, że szczególnie ożywiona była działalność partii komunistycznej, popieranej materialnie i moralnie przez ZSRR. Sowiety z jednej strony popierały komunizm we Włoszech, jak i w różnych innych krajach, z drugiej strony wykorzystywały pośrednio dla sprawy komunizmu rozgłos swych zwycięstw wojskowych, które powierzchownie obserwatorzy przypisywali bolszewizmowi tak jak narodowemu socjalizmowi przypisywano zwycięstwa niemieckie w latach 1939 — 1941.

Obok partii komunistycznej odrodziły się wówczas: partia socjalistyczna (posiadająca radykalniejsze dążenia od tych, którym dawniej hołdowała), i stronnictwo republikańskie, (wzmocnione rosnącą niepopularnością monarchii, obciążoną odpowiedzialnością za wynik wojny), stronnictwo liberalne (zawsze wierne swym tradycjom, dziś już odwiecznym, ale z nastawieniem bardziej zdecydowanym w kierunku doktryn demokratycznych). Pod różnymi nazwami odrodziła się też partia ludowa, znana dziś właściwie jako „Partia Demokracji Chrześcijańskiej”, gdy natomiast dawni przedstawiciele socjalizmu reformistycznego stworzyli „Demokratyczne Stronnictwo Pracy”. Nie odrodziło się zupełnie stronnictwo nacjonalistyczne, które straciło wzięcie z powodu swego połączenia się z faszyzmem w roku 1923, jak również z powodu załamania się włoskiej polityki ekspansji terytorialnej.

W każdym razie różne zarodki i tendencje doktryny nacjonalistycznej odnalażyły się w nowej „Włoskiej Partii Demokratycznej”, która różni się od innych stronnictw swym programem monarchistycznym. Wśród nowych partii godnych wzmianki ze względu na poparcie, jakie znalazły w kołach intelektualnych, należy wymienić przynajmniej „Partię Czynu”, która wywodzi się w prostej linii od ruchu „Sprawiedliwość i wolność”, utworzonego przez emigrantów włoskich we Francji przed 10 laty.

Te i inne pomniejsze stronnictwa, po mniej lub bardziej długim okresie czasu i mniej lub bardziej intensywnej działalności nielegalnej wyszły oficjalnie na światło dzienne 26 lipca 1943 r., nazajutrz po upadku faszyzmu. Nastąpił potem okres 45 dni chaotycznego i niespokojnego życia politycznego, które miało dwuznaczne podłoże: wojny, która toczyła się dalej, choć była niemal otwarcie potępiona przez wszystkie stronnictwa, a jednocześnie życia o charakterystycznym kontraście pomiędzy cierpieniami narodu spowodowanymi przez znisz-

czenia i bolesną żałobę z jednej strony, a euforią, błogostanem, w jakim żyli politycy z powodu „odzyskania wolności”. Począwszy od 8 września 1943 roku, po rozejmie zawartym ze Zjednoczonymi Narodami i okupowaniu przez Niemcy 3/4 Włoch — stronnictwa antyfaszystowskie skryły się znów w cieniach życia nielegalnego w okręgach północnych i środkowych Półwyspu Apenińskiego, gdzie powstało w tym samym czasie efemeryczne krótkotrwałe republikańskie stronnictwo faszystowskie z programem reform społecznych i socjalizacji przemysłu, bardzo różniące się i o wiele bardziej zwrócone na lewo od dawnej narodowej partii faszystowskiej.

Od września 1943 roku do kwietnia 1945 roku Włochy były podzielone na dwie strefy: jedną — południową, gdzie partie antyfaszystowskie zapoczątkowały nieprzejednaną politykę w stosunku do byłych faszystów, politykę, która swe hasło znalazła w formule — tak drogiej już antysemityzmowi — „oczyszczenia” uważanego za nieodzowny katarsis (oczyszczający wstrząs) narodowy; druga strefa — północna, w której republikańska partia faszystowska znalazła bardzo skromną liczbę zwolenników, gdyż równocześnie partie nielegalne organizowały się na wielką skalę, tworząc uzbrojone oddziały bojowe, wdrożone do walki podjazdowej i do sabotażów na szkodę niemieckich wojsk okupacyjnych. Linia podziału tych dwóch stref, ustalizowana zimą 1943 — 1944 roku nad rzekami Garigliano i Sangro, (trzonem było Monte Cassino) — posunęła się na północ latem 1944 r. mijając Rzym i Florencję i zatrzymując się znów zimą 1945 - 46 r. między Spezia i Ravenną, nieco na południe od Bolonii. Ten burzliwy okres — obfitujący w sławne wydarzenia dla walecznych armii, był jednocześnie aż nazbyt obfity w epizody zemsty i gwałtu w obu obozach włoskiego życia politycznego — zamknięty został ostatecznie z końcem kwietnia 1945 roku pogromem Niemiec i dokonanym zjednoczeniem Włoch.

Dzisiejsze stronnictwa włoskie

Dziś, po ośmiu miesiącach od zjednoczenia się kraju, życie polityczne Włoch jest jeszcze dalekie od normalnego. Stronnictwa odczuwają jeszcze skutki swych nielegalnych początków i długotrwałej niemożności utrzymywania stosunków pomiędzy różnymi dzielnicami kraju: ludzie, którzy zimą 1942 - 1943 r. zbierali się w Mediolanie, aby utworzyć tę czy inną partię, mieli często inne przekonania, od tych, którzy latem następnego roku tworzyli partię o tej samej nazwie w Neapolu lub Cagliari. To tłumaczy małą spójność, jaka charakteryzuje dziś życie nie tylko nowych stronnictw, jak Demokratyczna Partia Pracy, lub Partia Czynu, ale także i stronnictw mających za sobą starsze tradycje jak np. Partia Socjalistyczna.

Jest więc dziś dla beznamietnego obserwatora rzeczą niemożliwą dać definicję włoskich stronnictw politycznych, skoro nawet niektóre z nich nie są jeszcze zdolne same się zdefinio-

wał, określić. Największe z nich — licząc od lewicy — są:

1) Włoska Partia Komunistyczna, silna, o zwartej dyscyplinie partyjnej przypominającej pod pewnymi względami Narodową Partię Faszystowską, a pod innymi rosyjską partię komunistyczną. Ma uznanego przywódcę w osobie Palmiro Togliatti'ego, obecnie ministra sprawiedliwości, który swego czasu emigrował do Rosji. Pod jego kierownictwem partia komunistyczna zrzekła się, przynajmniej pozornie, swego charakteru międzynarodowego, co sprawiło, że przeciwnicy sprzed 20 lat nazywali ją partią „antynarodową”. Przeciwnie, idąc za przykładem Tita, również i przywódca włoskiego komunizmu zwraca się wielokrotnie z apelami do patriotyzmu włoskiego swoich zwolenników, nie zaniebując przy tym sposobności do płacenia Rosji Sowieckiej należnego hołdu za pomoc materialną i moralną, udzielaną przez nią ruchom komunistycznym we wszystkich krajach europejskich.

2) Włoska Partia Socjalistyczna, uważając za wzór doskonałości politycznej obecną konstytucję rosyjską, jest dziś bardzo zbliżona do partii komunistycznej, z którą niektórzy przywódcy socjalistyczni chcą się złąć zupełnie. Również i partia socjalistyczna posłuszna jest jednemu przywódcy, Pietro Nenni, który jednak od pewnego czasu napotyka na opozycję i krytykę w łonie swego stronnictwa. (Sarragat, Gilone, Modigliani, Zamboni). Zwłaszcza zawziętej krytyce poddawana jest zamierzona fuzja z partią komunistyczną, która to fuzja odcięłaby włoskiej partii socjalistycznej moralną pomoc brytyjskich laburzystów i francuskiego socjalizmu (Blum). W ostatnich dniach Nenni, równocześnie wysoki komisarz do spraw czystki, zadenuncjowany został przed głównym prokuratorem Włoch o współdziałanie z faszyzmem i pomoc Mussoliniemu w dojściu do władzy.

3) Ruch komunistyczny Włoch, utworzony przez przedstawicieli dawnego stronnictwa maksymalistów (Bordiga), ma na celu urzeczywistnienie we Włoszech „czystego” ustroju komunistycznego. Komuniści ci są zwani przez partię komunistyczną Togliatti'ego, „zdrajcami trockistowskimi”.

4) Partia Lewicy Chrześcijańskiej, która początkowo zwała się Katolicką Partią Komunistyczną, a potem zmieniła nazwę z powodu nieprzychylnego stanowiska Watykanu do tego ugrupowania. Watykan bowiem uważa pojęcia „katolik” i „komunista” za przeciwstawne. W każdym razie wydaje się, że pewna liczba księży należy do tej partii.

5) Partia Jedności Proletariackiej powstała mając program raczej mętny, w którym z jednej strony wychwala się demokrację liberalistyczną, a z drugiej pieje hymny na cześć Rosji Sowieckiej. Obecnie stronnictwo to przechodzi wielki kryzys z powodu aresztowania i skazania jego przywódcy, Salvarezza, oskarżonego o kradzież, wymuszenie i ciągłe oszustwa.

Dokonując dalej przeglądu stronnictw lewicy, obok partii marksistowskich spotyka się dwa stronnictwa wywodzące się z socjalizmu, które jednak, wydaje się, odrzuciły doktrynę materializmu dziejowego: Partia Czynu (Parri, Lussu, Cianca, De Ruggiero) i Demokratyczna Partia Pracy (Meini); pierwsza — bardziej radykalna, zwłaszcza w swej kampanii przeciwko monarchii, druga — bardziej umiarkowana. Ciągłe na lewicy, lecz wyraźnie poza zasięgiem marksizmu, znajdują się Włoska Partia Republikańska, dziedziczka tradycji Mazziniego i nieubłagana przeciwniczka dynastii sabaudzkiej.

Partią centrową *par excellence* jest Partia Chrześcijańska — Demokratyczna, która głosi, że jest oddaną strażniczką wolności obywatelskiej i odrzuca zdecydowanie marksistowską teorię dyktatury proletariatu. Członkowie partii demokratyczno-chrześcijańskiej — jakkolwiek uznają jedynego przywódcę w osobie obecnego ministra spraw zagranicznych, De Gaspari, są jednak rozbiici na dwa przeciwstawne ugrupowania: jednych — przychylnych republice, drugich — monarchii. Również w innych sprawach bieżącej polityki zdania członków partii są podzielone, np. w sprawie stosunku do stronnictw skrajnej lewicy; niektórzy demochrześcijanie są skłonni do serdecznej z nią współpracy, gdy natomiast inni są tej współpracy wrogami.

Niektórzy wyrażają wątpliwości, czy w obecnym życiu politycznym Włoch istnieje w ogóle jakaś prawica, uważając że Partia Liberalna, Włoska Partia Demokratyczna i Zjednoczenie Demokratyczno-Liberalne nie są dość wyraźnie zwrócone ku prawicy. Rzeczywiście Partia Liberalna (Croce, Brosio, Caltani, Arangio Ruiz) zarzuciła do pewnego stopnia swą tradycję konserwatywną i to tłumaczy nieobecność w niej starego liberała Orlando, jedynego, który dożył z „Wielkiej Czwórki” z pierwszej wojny światowej, po śmierci Wilsona, Clemenceau i Lloyd George'a. Ale że wśród liberałów zauważyć można i inne tendencje, to też można mówić o „liberałach prawicowych, centrowych i lewicowych”, jakby o różnych stronnictwach, o odmiennych poglądach na różne zagadnienia, a zwłaszcza na utrzymanie lub obalenie monarchii.

Zdecydowanymi monarchistami są natomiast — Włoska Partia Demokratyczna (Selvaggi, Lucifero), u których stwierdziliśmy już punkty styczne z dawną partią nacjonalistyczną i Zjednoczeniem Demokratyczno-Liberalnym (Bera-mini). Pierwsza wystąpiła szczególnie dobitnie podczas namiętnej obrony włoskiego charakteru Triestu, Wenecji Giulii, Górnej Adygi i doliny d'Aosta, jak również podczas gwałtownego demaskowania nowych tendencji imperialistycznych spod znaku komunistycznego, którymi z Moskwy i z Białogrodu czynione są próby ostatecznego skompromitowania pokoju europejskiego.

Przeciwko tym partiom prawicowym lubi zwracać się propaganda partii lewicowych, uważając, że łatwo będzie napędzić je mianem faszystów, gdy nie będą chciały przyłączyć się

„całym sercem” do doktryn socjal-komunistycznych. W rzeczywistości byłych faszystów spotyka się równie często w partiach prawicowych, jak i skrajnie lewicowych, a faszyzm — jeśli istnieje jeszcze — stanowi jakieś stronnictwo nielegalne, prawdopodobnie bardzo nieliczne, którego prawdziwi czy rzekomi członkowie bywają od czasu do czasu aresztowani.

Dokonany przegląd nie rości sobie pretensji do zupełności: dla krótkości pominięto partie o charakterze regionalnym (Sycylijskie Stronnictwo Separatystyczne, Sardyńska Partia Czynu) i te, które mają nieznaczny zasięg działania (Republikańska Partia Pracy i tp.). Natomiast jest obiektywny i właśnie dzięki temu kryterium obiektywności nie uwzględniono świadomie podziału na stronnictwa reprezentowane w Komitecie Wyzwolenia Narodowego (komuniści, socjaliści, członkowie „Partii Czynu”, demo-laburzyści, demo-chrześcijanie, liberałowie) i na stronnictwa z tego komitetu wyłączone. To rozróżnienie bowiem, które stworzyło uprzywilejowaną pozycję dla niektórych stronnictw kosztem pozostałych, wydaje się nam zupełnie dowolne, arbitralne, tym bardziej, że komitety wyzwolenia narodowego w dużej części Włoch usurpują sobie prawa i funkcje. Powstały one po wyzwoleniu Włoch i z elementów nie mających nic wspólnego z walką o wolność.

Pozostaje teraz zdać sobie sprawę z tego, jakie jest taktyczne znaczenie i siła realna tych

stronnictw, które wyliczyliśmy. Niektóre z nich same kwalifikują się jako „stronnictwa mas” (komuniści, socjaliści, demo-chrześcijanie) i od czasu do czasu wydają komunikaty, w których podają liczby swych członków, sięgające setek tysięcy. Jednak nie można uzyskać żadnej dokładnej cyfry w tym względzie przed przyszłymi wyborami. Znamienne mogą być tylko dane dotyczące nakładów organów prasowych poszczególnym partii dla wyrobienia sobie pewnego sądu w tej sprawie. Wszystkie pisma partyjne jednak mają nakłady bardzo skromne w porównaniu do „dzienników informacyjnych, stojących poza partiami, co potwierdzałoby wnioski oparte i na innych przesłankach, że większość narodu włoskiego pozostaje dziś poza walkami partii politycznych.

Czasopismem najbardziej rozpowszechnionym dziś we Włoszech jest tygodnik pod tytułem „L'Uomo qualunque” („Szary człowiek”), który prowadzi zaciętą walkę z zawodowym politykizmem i tyranią partii, odmawiając im prawa rządzenia Włochami. Dokoła tego pisma, które bije ponad pół miliona egzemplarzy, tworzy się „Front szarego człowieka”, którego rzeczywistą wartość jest za wcześnie dziś oceniać, ale wiele wskazuje na to, że wywrze on niepośledni wpływ na przyszłe życie polityczne we Włoszech.

Arnaldo Bascone

W KRAJACH MIĘDZYMORZA

Dzisiejsze Węgry

Węgry do niedawna były jednym z nielicznych państw Europy Środkowej, które pomimo pozostawiania w sferze wpływów sowieckich cieszyły się względnymi swobodami i były uważane za kraj, gdzie polityka sowiecka zachowywała co najmniej pozory, że nie posiada swego przemożnego wpływu na rozwój stosunków wewnętrznych.

Sytuacja polityczna, która się rozwinęła na Węgrzech i w Czechosłowacji, wykazała wyraźnie, że Kosia posiada inne plany na najbliższą przyszłość wobec tych dwóch sąsiadujących ze sobą państw. Ustrój „demokratyczny”, który został tam wprowadzony, rzeczywiście wydał się być bardziej bliskim ustrojom państw zachodnich, aniżeli np. ustrojom Jugosławii, Rumunii, Bułgarii czy też Polski. Rządy w tych krajach zostały istotnie oparte na zasadach legalnych, z uznaniem wolności, a poszanowaniem praw mniejszości.

Taki jednak stan „względnej wolności” — jeżeli się weźmie pod uwagę metody polityki sowieckiej, — nie mógł trwać zbyt długo. Powodem smutnego końca budzącej się do życia demokracji węgierskiej był niespodzie-

wany wynik wyborów samorządowych, zapewniający nieznaczną większość koalicji socjalistyczno-komunistycznej w radzie miejskiej Budapesztu. Nie to było jednak główną przyczyną rozkazu marszałka Woroszyłowa, „węgierskiego wielkorządcy” ażeby wszystkie partie przystąpiły do wyborów z jedną wspólną listą. Powody tego tkwią o wiele głębiej. Po prostu po okresie przygotowawczym, ściśle związanym z sytuacją międzynarodową, sytuacja polityczna, rozpoczął się drugi okres okupacji sowieckiej, polegający na procesie wchłaniania państwa węgierskiego do „wielkiej rodziny niezależnych narodów” Związku Sowieckiego.

Proces, który zachod i obecnie na Węgrzech stanowi tylko część i to spóźnioną ogólnego procesu bolszewizacji Międzymorza, przy zastosowaniu takiej polityki wobec mocarstw zachodnich, ażeby upełnić je z jednej strony, że kraje naddunajskie nie są odgradzone nieprzeniknionym murem od Zachodu, a z drugiej, ażeby stworzyć takie warunki, któreby uniemożliwiły wielkim demokratom Zachodu wpływać w jakikolwiek bądź sposób na rozwój sytuacji polityczno-gospodarczej nad Dunajem.

Jak już wspomniałem, przyspieszenie tego procesu „wchłaniania” niewątpliwie było związane z sytuacją międzynarodową, która zaistniała po rozbiegu konferencji londyńskiej, gdzie zarysowały się ostatecznie zasadnicze różnice w poglądach na pojęcie demokracji między Wielką Brytanią i Stanami Zjednoczonymi z jednej strony, a Rosją Sowiecką z drugiej.

W swej słynnej mowie skierowanej przeciw państwowośćom o ustrojach nie-demokratycznych, brytyjski minister spraw zagranicznych Bevin do rządów niedemokratycznych zaliczył obok rządów bułgarskiego i rumuńskiego także rząd węgierski. Identyczne stanowisko zajął i Byrnes. Ale już w trakcie konferencji londyńskiej Anglia i Stany Zjednoczone wyraziły skłonność do uznania rządu węgierskiego pod warunkiem, że zostaną tam przeprowadzone wolne wybory.

Jakie były przyczyny tak nagłej zmiany poglądów obu mocarstw?

Zdanie o powodzie takiego właśnie kroku wielkich demokracji zachodnich są dotychczas podzielone. Jedni utrzymują, że w ten sposób Anglia i Stany Zjednoczone chciały pomóc miejscowym siłom demokratycznym do większego usamodzielnienia się — inni zaś komentatorzy, jak np. autor interesującego artykułu zamieszczonego w londyńskim piśmie „Whitehall News” przypisywali to zwrotom w akcji dyplomatycznej Sowieców, które jakoby wzamian za niewykonanie umowy gospodarczej węgiersko-rosyjskiej chciały otrzymać uznanie dla rządu węgierskiego. Po ogłoszeniu deklaracji angielsko-amerykańskiej o możliwości nawiązania stosunków dyplomatycznych z Węgrami, Budapeszt odpowiedział na to przyspieszeniem wyborów administracyjnych w kraju. Co wpłynęło na tak szybką zmianę decyzji rządu węgierskiego? Aby na to odpowiedzieć, należy rozpatrzyć dokładnie sytuację polityczną i gospodarczą, powstałą w tym kraju po wejściu do niego armii czerwonej.

W skład obecnego rządu węgierskiego, na czele którego stoi generał Miklos, wchodzi przedstawiciele 5 partii istniejących obecnie na Węgrzech. Należy zaznaczyć, że spośród socjal-demokratów, partii drobnych właścicieli ziemskich, partii chłopskiej i liberalno-demokratycznej, komuniści, jako partia ciesząca się silnym poparciem ze strony władz okupacyjnych, są najsłabsi liczebnie. W rządzie na ogół na ilość 12 tek ministerialnych — komuniści posiadają tylko trzy miejsca. Posiadanie przez nich takiej pozycji, która w oczach właścicieli panów kraju mogłaby się wydawać w pewnym stopniu anachronizmem — się rzecz nie mogło trwać przez czas dłuższy, zwłaszcza, że nie było żadnych widoków na zdobycie przez komunistów większej popularności w narodzie węgierskim, doświadczonym już eksperymentami Beli Kuna. Taktyka biernego oporu, którą zastosowało miejscowe społeczeństwo wobec zakusów partii komunistycznej i władz sowieckich, dała jak dotychczas doskonałe wyniki. Wpływy komu-

nistyczne zaczęły maleć w sposób tak szybki, że już przy wyborach samorządowych komuniści musieli wystąpić ze wspólną listą wyborczą z partią socjal-demokratyczną, która także nie cieszy się zbytnim powodzeniem. Najbardziej masowymi partiami na Węgrzech są obecnie: partia drobnych właścicieli ziemskich oraz partia chłopska. Pierwsza z nich grupuje przeważnie elementy mieszczańskie oraz klas średnich, druga zaś — większość chłopów węgierskich. Penetracja komunistyczna w tych dwóch partiach napotykała na poważne trudności: w pierwszej — ze względu na tradycyjnie nieprzejednane stanowisko tych warstw społecznych wobec totalizmu, w drugiej zaś z tego powodu, że najważniejszy czynnik w propagandzie komunistycznej, jakim jest rozdział ziemi, stracił w tym kraju na swej aktualności, pomimo istnienia jeszcze wielkiej własności ziemskiej. Zjawisko to tłumaczy się brakiem zaufania chłopów węgierskiego do obecnego sposobu nadawania mu ziemi, której nie chce przyjmować z rąk cudzoziemców.

Poza tymi wyżej wymienionymi partiami powstały ostatnio jeszcze inne, ale już o mniejszym znaczeniu. Wszystkie je, za wyjątkiem komunistycznej, cechuje negatywna postawa w stosunku do okupacji sowieckiej. Nawet socjal-demokraci, którzy w ostatniej chwili poszli do wyborów razem z komunistami, wykazują w wielu wypadkach taką postawę. Rezultat wyborów miejskich w Budapeszcie zaskoczył komunistów i ich rosyjskich protektorów. Korespondent budapesztański „Manchester Guardian” charakteryzując sytuację powstałą po wyborach, pisał: „Rząd, utworzony przez komunistów, a mając poparcie socjalistów, przygotowuje się o wiele poważniej do przyszłych wyborów (politycznych), posługując się środkami niezupełnie dozwolonymi.” Bliższe oświetlenie „tych środków niezupełnie dozwolonych” daje wyślanik specjalny „News Chronicle”, który zaznacza, „że gwałtowne manifestacje komunistyczne miały miejsce w głównych dzielnicach miasta pod ochroną sowieckich oddziałów.” Po takim przygotowaniu, przeprowadzonym przez komunistów, wieczorem w dniu 16 października radio budapesztańskie ogłosiło, że zostaje wprowadzony stan oblężenia w całym kraju, motywując to wzrostem bandytyzmu i anarchii. Natomiast korespondenci zagraniczni, przebywający na Węgrzech twierdzą wręcz coś przeciwnego, że spokój panuje na obszarze całego państwa. Dalsze wypadki nie dały na siebie długo czekać. Po oficjalnym oświadczeniu ministra odbudowy narodowej, że „Węgry dzisiejsze pod względem politycznym są najbardziej zdrowym krajem na kontynencie i gdyby obecny rząd miał ustąpić, a reakcyjniści doszliby do władzy, wówczas nieporządek, który powstanie, przeszkodziłby odbudowie naszego państwa” — marszałek Woroszyłow wydał rozkaz do wszystkich partii politycznych, ażeby do przyszłych wyborów, których termin został wyznaczony na dzień 4 listopada, wystąpiły ze wspólną listą.

Ten krótki przegląd wydarzeń, które nastąpiły po fiasku wyborczym komunistów, rzuca jaskrawe światło na metody i cele polityki sowieckiej, nie tylko w państwach naddunajskich, ale w całej Europie Środkowej i na Bałkanach. Nadzieja, że Węgry mogą stanowić wyjątek w systemie „bloku sowieckiego”, oraz, że wybory powszechne odbędą się w klimacie wolności i w sposób naprawdę demokratyczny — rozwiały się zupełnie. Wprowadzenie jednolitej listy oznaczałoby w praktyce zredukowanie wyborów do „plebiscytu”, o którym wiemy wszyscy, co oznacza w rękach sowieckich. Lotwa, Litwa, Estonia oraz niektóre prowincje rumuńskie, po przeprowadzeniu tam wyborów „same prosily” o włączenie do ZSRR.

Jednak widocznie sprawa „wchłaniania” Węgier w organizm polityczno-ustrojowy Związku Sowieckiego jeszcze nie dojrzała, gdyż według ostatnich wiadomości rząd węgierski, a ściślej mówiąc — władze sowieckie, odstąpiły od swego zamiaru upodobnienia wyborów w tym kraju do wyborów w ZSRR, pozwalając wystąpić partiom węgierskim ze swoimi własnymi listami wyborczymi. Przyчина takiego rozwiązania kryzysu wyborczego na Węgrzech tkwi niewątpliwie w tym, że rząd brytyjski i Stanów Zjednoczonych wyraziły zastrzeżenie co do swego projektu uznania rządu węgierskiego, na którym to uznaniu tak bardzo zależy Rosji. Bylibyśmy jednak w błędzie, gdybyśmy sądzili, że polityka sowiecka zrezygnowała ze swoich celów w tym kraju. Jest to tylko ponowne odroczenie sprawy na pewien czas, ażeby później, przy odpowiedniej sytuacji międzynarodowej i wewnętrznej przeprowadzić sowietyzację z jeszcze większą konsekwencją i stanowczością.

Obok procesu wchłaniania politycznego następuje równoległy proces gospodarczego upodabniania tego obszaru do sowieckiego systemu ekonomicznego. Pierwszym etapem te-

go „upodabniania” była rabunkowa gospodarka armii czerwonej, polegająca na wywożeniu do Rosji produktów rolnych, wyrobów fabrycznych, maszyn i t.p. Po tym okresie nastąpił okres drugi, polegający na oddaniu 70 proc. przemysłu węgierskiego do dyspozycji Rosji, zgodnie z oficjalnie zawartą umową między rządami węgierskim i sowieckim. Praktycznie umowa ta umożliwia kompletną kontrolę nad całą gospodarką węgierską. Według opinii korespondenta „Sunday Observer” układ ten zawiera także klauzule tajne i w wypadku ratyfikacji tej umowy Rosja uzyskalaby tak obszerną możliwość interwencji w sprawy wewnętrzne węgierskie, że suwerenność Węgier byłaby tylko formalna. Przemysł węgierski, własność państwowa i miejska, centrale elektryczne, kopalnie węgla, wszystko to ma być podporządkowane Rosji.

Nic też dziwnego, że z chwilą ujawnienia tego paktu, wielkie zaniepokojenie powstało w brytyjskich i amerykańskich kołach politycznych. Obydwa rządy złożyły energiczny protest w Moskwie z powodu nie powiadomienia ich o tym kroku, do czego Rosja zobowiązała się w umowach zawartych w Poczdamie.

Z tego krótkiego rysu obecnej sytuacji węgierskiej możemy wyciągnąć wniosek, że na całym olbrzymim obszarze Międzymorza, zaniepokojeniem przez 110 milionów ludności, odbywa się proces stopniowego wchłaniania tych ziem przez Związek Sowiecki. Zachowanie zaś pozorów względnej wolności i niezależności niektórych państw Międzymorza jest tylko przejściowe i stanowi przejaw metod polityki sowieckiej.

Niezrozumienie przez Zachód tego procesu stanowi groźbę nie tylko dla tych krajów, które już ten proces przechodzą, nie tylko dla pozostałej Europy, ale i dla całego świata.

Tytus Gordon

Zdobycze gospodarcze niepodległej Litwy

Każdemu, kto się interesuje sprawami gospodarczymi i zna życie ekonomiczne państw bałtyckich w okresie międzywojennym, wiadome jest, że kraje te, między nimi Litwa, mogą być postawione za swego rodzaju wzór w rozwiązywaniu zagadnień społecznych, w szczególności zaś sprawy rolnej.

Dla każdego, kto uznaje bezsporne prawo do wolności wszystkich narodów niezależnie od ich wielkości terytorialnej czy liczebnej jasne jest, iż państwa bałtyckie dały wspinałe dowody tego, że w wolności żyć potrafią i że tylko niepodległość może gwarantować ich prawdziwy rozwój.

W tym krótkim artykule chcę pobieżnie zorientować czytelników „Na szlaku Kresowej” w osiągnięciach gospodarczych

Litwy. Uważam, że mówiąc o prawie do wolności narodu litewskiego, najbardziej przekonującym argumentem będzie oddanie głosu tym faktom i cyfrom a niedalekiej przeszłości.

Spułczyna carska

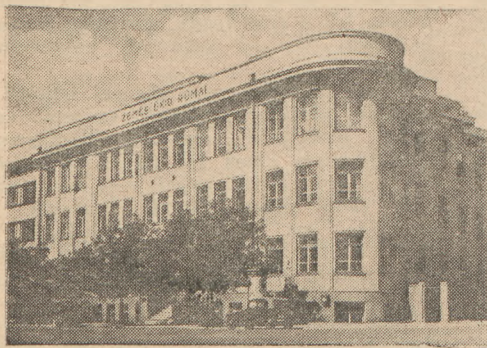
Ziemia rolna i biedna, bez poważniejszych bogactw naturalnych. Ziemia upośledzona, porostawiona samej sobie i skazana przez ciemieźców na nędzną wegetację i wyniszczenie. Gospodarka prymitywna i ekstensywna. Eksport — żyto, len, konie. Włościanstwo spauperyzowane i przymierające głodem. Kultura rolna żadna, zupełny brak specjalistów oraz mądrego i planowego kierownictwa. Obok karłowatych gospodarstw

chłopskich — majątki deficytowe, również chylące się ku ruinie.

Taki obraz przedstawiała sobą ziemia litewska za czasów niewoli rosyjskiej.

Co stworzył wolny naród

Reforma rolna. Przed pierwszą wojną światową gospodarka rolna na ziemiach litewskich wyglądała dziwacznie i nie normalnie. Np. w b. kowieńskiej gubernii przeszło 50 procent ziemi uprawnej było w rękach obszarniczych. Podczas wojny liczni ziemianie porzucili swoje majątki i zbiegli w głąb Rosji. Po powrocie, zrujnowani, nie byli w stanie swoich gospodarstw postawić na nogi i stały one ugięte. Dlatego Litwini przystąpili do przeprowadzenia radykalnej reformy rolnej, tym bardziej, że małorolne i bezrolne włościanstwo przymierało głodem. Za ziemię rozdawaną chłopom



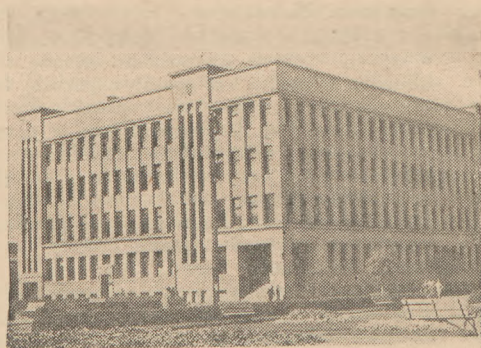
Izba Gospodarstwa Rolnego w Kownie

zostało ustalone odszkodowanie, spłacenie którego zostało ukończone w r. 1938. Reforma dotyczyła wszystkich byłych „ziemi państwowych”, ziem nabytych za rządów carskich „w sposób uprzywilejowany” oraz prywatnych ziem obszarników, którym pozostawiono po 150 ha wraz z zabudowaniami, inwentarzem itp. Była to „norma nienaruszalna”.

W wyniku tak przeprowadzonej reformy rolnej powstało 34.925 nowych gospodarstw, 25.576 działek dodano małorolnym, 3.370 działek dano miastom i miasteczkom na ich poszerzenie, wielką ilość działek przeznaczono na budowę nowych szkół, różnym kulturalnym oraz dobroczynnym organizacjom itp. Reforma rolna podniosła produktywność rolnictwa, unormowała sosunki społeczne na wsi, wzrósł dobrobyt ludności.

Kolonizacja.*) Sami włościanie wystąpili z projektem wyodrębnienia gospodarstw na tzw. kolonie. Rząd przyszedł im z pomocą, udzielając kredytów. Mimo, że proces ten trwał dość długo i prace szły powoli, ba w tym samym czasie realizowany

był podział ziem obszarniczych, od r. 1919 do 1937 skolonizowano 1.500.000 ha. Odbywało się to stopniowo, lecz z uporem i systematycznie.



Ecik Rolny w Kownie

Melioracja. Carat na ziemiach litewskich żadnych poważniejszych robót melioracyjnych nie prowadził, mimo, że potrzeba ich była bardzo wielka. Jak twierdzą specjaliści — trzy czwarte ziem litewskich takiej melioracji wymagało. Od r. 1920 do r. 1937 wykopano 17.000 km rowów głównych (magistrali) o objętości 33.000.000 metrów sześciennych**), co pozwoliło zużytkować 400.000 ha obszarów dotychczas nieuprawnych. Oprócz tego osuszono tzw. drenażem 10.000 ha mokradeł.

Kultura i organizacja rolna. Młode państwo odczuwało wielki brak specjalistów na wszystkich szczeblach i we wszystkich dziedzinach. Brak było kierow-



Litewskie typy ludowe

ników budowy nowego życia. Dlatego z miejsca położono wielki nacisk na oświatę i wykształcenie kadr wyspecjalizowanej inteligencji.

*) Pod tym terminem rozumiano na Litwie wyodrębnianie gospodarstw — nie zawsze połączone z komasacją.

**) Wszystkie te dane zaczerpnięte są z pracy zbiorowej „Lietuva 1918 — 1938” pod red. Kemežysa — Kaumas 1918 r.

aji. Młoda i zdolna młodzież chłopska kształciła się na uniwersytecie kowieńskim, gdzie założono m. in. wydział weterynaryjny. Wielu na koszt państwa kształciło się za granicą. W r. 1924 założono w miejscowości Dotnuva Akademię Rolniczą, a prócz tego całą sieć różnych szkół rolniczych (leśne, ogrodnicze, mleczarskie itp.). Pod auspicjami Państwowej Izby Rolniczej wyrosły młodo-włościańskie kółka, tj. organizacja młodzieży wiejskiej, której zadaniem było kształcenie się, nabywanie wiedzy rolniczej i podnoszenie poziomu gospodarczego i kulturalnego wsi.

Proces wzrastania uświadomienia i oświaty na wsi litewskiej był wprost imponujący. Analfabetyzm zmikł prawie doszczętnie. Ilustrują to m. in. doskonale chociażby nakłady niektórych pism chłopskich. Tygodnik

borowe produkty mleczarskie. „Maistas” słynął z produkcji wyrobów mięsnych. W terenie posiadał liczne nowoczesne rzeźnie, wyposażone w doskonały sprzęt techniczny. Zarówno wyroby mleczne jak i mięsne na skutek ich wysokiej jakości stanowiły poważną pozycję w eksporcie litewskim. Głównym zadaniem „Lietukisu” było zaopatrywanie wsi w maszyny rolnicze, nawozy sztuczne, materiały budowlane, pędne itd. przeważnie sprowadzane z zagranicy.

Eksport. Jednym ze sprawdzianów żywotności gospodarczej kraju jest jego zdolność eksportowa. Oto kilka cyfr, dotyczących eksportu litewskiego. W r. 1924 eksport masła wynosił 524 tony, w r. 1932 — 9,926 ton, a w r. 1937 — 15,658 ton. Świń żywych w roku 1924 eksportowano 43,537 szt., w r. 1932 —



Dziewczęta litewskie na święcie dożynek

„Ukininko patarejas” w r. 1937 liczył 90.000 stałych prenumeratorów. „Musu Rysojus” osiągnął rekordowy nakład, jeżeli chodzi o kraje bałtyckie, bo przekroczył 100.000 egz. Cały szereg innych pism wiejskich jak „Jaunasis Ukininkis”, „Seimininkas”, „Zemes ukis”, „Lietuvos ukininkas” itd. — również rozchodziły się w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy. W Litwie nie było obywatela, któryby nie prenumerował wgl. nie czytał gazety. W r. 1937 wychodziło w Litwie 157 pism, w tym 19 dzienników, 38 tygodników i 100 miesięczników i innych pism periodycznych. Łączny nakład przekraczał 1.000.000 egzemplarzy.

Wielką rolę w litewskim życiu gospodarczym odegrały organizacje rolne — „Pienocentras”, „Maistas”, „Lietukis”. Zorganizowane one były na zasadach spółdzielczych, a udziałowcami byli chłopci. „Pienocentras” (Centrum mleczarskie) zorganizował świetną i gęstą sieć mleczarni, wyrabiających wy-

33.669 szt., a w r. 1937 — 137,674 sztuk. Bekonów w r. 1937 wywieziono 10.518 ton. Jaj 4.228,1 ton, drobiu 150,645 sztuk. Eksport zboża wynosił rocznie przeciętnie 170.000 ton.

Reasumując ten krótki opis litewskich osiągnięć gospodarczych w okresie dwudziestoletniej niepodległości należy stwierdzić że naród litewski wykazał niemałe zdolności w organizowaniu swego życia ekonomicznego. W ciągu kilkunastu lat odbudował on straty powstałe w czasie niewoli i wojny, gospodarka z racofanej przeistoczyła się w nowoczesną, wieś osiągnęła dobrobyt. Wszystko to było uwarunkowane niepodległym bytem narodu. Niepodległość była fundamentem osiągnięć, zarówno gospodarczych jak i kulturalnych i jedynie niepodległość będzie mogła zagwarantować odbudowę wszystkich zniszczeń, powstałych w tej wojnie i zapewnić narodowi dalszy jego rozwój i dobrobyt.

B. Vasaris

C i e n i e

*Jak więzień patrzyłem w niebo ogromne,
czarnego w nim cienia nie mogłem zapomnieć.*

*Do nóg mi się kładły cienie pochyle,
ziemię i niebo mi sobą zakryły.*

*Miliony gwiazd gości i błądły w swym chłodzie,
w pieśni organów święt wstawał o wschodzie.*

*Zorzą jedwabną dotknięte klawisze
sonat słonecznych graniem zabłysły.*

*Modliła się ziemia, modliła się ona
za grzechy człowieka i serca szalone.*

*Modlitwa do nieba płynęła wciąż wyżej,
nad drogą stał krzyż i cienie za krzyżem.*

Bernardas Brazdžionis *)

tłum. z litewskiego J. Adamowicz

*) Bernardas Brazdžionis — jeden z najwybitniejszych liryków litewskich młodego pokolenia. Poezję jego cechuje charakterystyczny litewski smutek i zamyślenie nad zagadką bytu ludzkiego oraz głęboko religijny stosunek do otaczającej go rzeczywistości.



Litewskie krzyże cmentarne

U progu nowej epoki

Jeszcze nie przebrzmiały zachwyty ludzi nad cudownym wynalazkiem, jakim była bomba atomowa, kiedy czynnik kompetentnie ogłosiły istnienie drugiego wynalazku — radaru. Radar był już stosowany od początku tej wojny. Jest to specjalny przyrząd, który „widzi” zarówno dobrze w ciemności jak i w świetle dziennym.

Jeśli chodzi o zastosowanie wojskowe, to radar jest obecnie tak samo opanowanym sprzętem, jak na przykład karabin. To właśnie radar umożliwił amerykańskiemu okrętowi wojennemu zbombardowanie okrętu francuskiego „Jean Bart”, znajdującego się w porcie, w Oranie i pozostającego na służbie niemieckiej. Dokonano tego jedną salwą, oddaną z dział okrętowych, z odległości wielu kilometrów. Ogień niemieckiej artylerii, kierowany radarem, zatopił brytyjski krążownik „Hood”, a Brytyjczycy mszcząc się za to i również posługując się radarem posłali na dno niemiecki okręt wojenny „Bismarck”. W dniu 7 grudnia 1941 roku operator radarowej instalacji w Pearl Harbour dał sygnał ostrzegający o zbliżaniu się samolotów japońskich. Sygnał ten został zignorowany i miało to tragiczne skutki, których Amerykanie nie zapomną nigdy. Unieszkodliwienie niemieckich łodzi podwodnych i min akustycznych było jedynie zasługą radaru.

Według zdania lotników brytyjskich, radar i 300 pilotów RAF-u wygrali bitwę o Wielką Brytanię. Radar był żywotną pomocą dla lotników i wojsk spadochronowych w czasie inwazji na Normandię, co miało miejsce w bardzo pochmurny dzień. Dla marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych radar był wielką pomocą w jej walce z flotą japońską.

Dla wszystkich tych celów i dla niezliczonej ilości innych została wyprodukowana zdumiewająca ilość odmian radaru. Są radary ostrzegawcze, które odnajdują samolot w odległości do 200 km, a przytem pokazują z jaką szybkością i w jakim kierunku on leci. Są radary kierujące automatycznie ogniem karabinów maszynowych albo działek przeciwlotniczych i trzeba przyznać, że robią to bardziej precyzyjnie, niż człowiek. Są radary dające pilotom możliwość widzenia w nocy, prowadzą one samoloty do ślepego lądowania i mają zdolność wykrywania balonów zaporowych. Są inne, które mogą wykryć burzę i określić stan pogody, jaka w danej chwili panuje w stratosferze.

W praktyce radar, tak jak każda inna broń, napotyka na środki, które go unieszkodliwiają, a przynajmniej utrudniają mu zadanie. Jednym z takich środków jest stosowanie fal radiowych, które, wysyłane na tej samej długości co fale nieprzyjaciela, powodują, że obraz na ekranie staje się niedokładny i zamglony. Ale najbardziej skutecznym środkiem przeciw naziemnej obronie radarowej jest używanie śmieci. Śmieci to składają się z długich wąskich pasków

ciemnego papieru, pomieszanego z cynfolią. Zostały one użyte po raz pierwszy przez RAF w czasie operacji nad Hamburgiem w czerwcu 1943 roku. Niemieckie załogi radarowe zostały całkowicie zdezorientowane i bombardowanie odbyło się bez strat. Polegało to na tym, że radarowe instrumenty pochwyciły opadające kawałki papieru i zaczęły oddawać ich obrazy zamiast właściwych obrazów samolotów. Fruwające w powietrzu masy śmieci zamglily zupełnie ekrany i unicestwiły całkowicie obronę nieprzyjaciela. Kiedy Niemcy zorientowali się — lotnicy alianccy zaczęli stosować inne fortele.

Jednym z najbardziej ciężkich, a zarazem najbardziej fascynujących problemów radarowych, jeśli chodzi o zastosowanie w czasie wojny, była możliwość orzeczenia — czy samolot lub okręt, którego obraz jest widoczny na ekranie, jest własny, czy należy do nieprzyjaciela. Zagadnienie to zostało rozwiązane przez wspaniałe pomyślany instrument, tak zwany I.F.F. (Identifikation Friend or Foe, co oznacza: Utożsamienie — Przyjaciel, czy Nieprzyjaciel). Kiedy wyposażony w taki instrument samolot zostaje uderzony promieniem radarowym wysłanym z samolotu zaprzyjaźnionego — instrument automatycznie zapala kodowy znak identyczności.

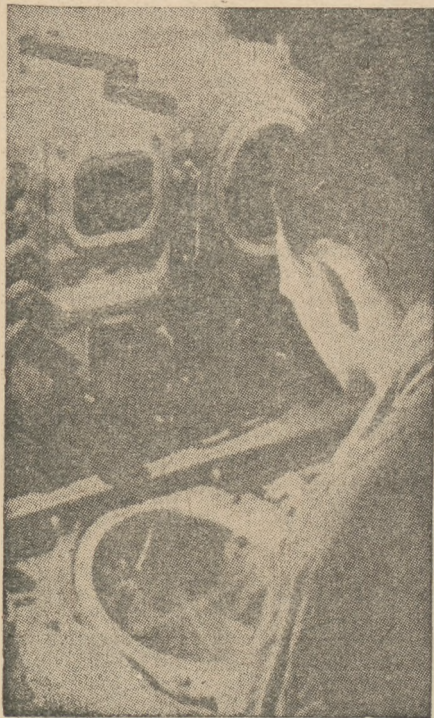
Podstawową tajemnicą radaru jest zjawisko polegające na tym, że fale radiowe zachowują się w podobny sposób jak fale świetlne. Fale te są do siebie bardzo podobne, ale różnią się długością, bowiem fale świetlne są o wiele krótsze, niż radiowe. Ultra-krótkie fale radiowe, używane w radarze, mogą być skupione w snop promieni w identyczny sposób, jak to się robi z falami świetlnymi. Fale radiowe mają tę samą szybkość co światło i tę samą zdolność odbijania się od powierzchni stałej i płynnej. Ale jeśli chodzi o „widzenie” oddalonych przedmiotów, fale radiowe mają tę wyższość nad świetlnymi, że posiadają zdolność przenikania przez mgłę, chmury i dym, a ponadto sięgają daleko poza obręb widzialności oka ludzkiego. W przeciwieństwie do światła długość fal radiowych może być łatwo regulowana, a to jest konieczne dla otrzymania dokładnej odległości wykrywanego przedmiotu.

Wielkim zadaniem w radarze było uzyskanie energii o olbrzymim natężeniu, które wystarczałoby do otrzymania wykrywalnego echa z bardzo oddalonych punktów. Z energii, wysyłanej w radarowym snopie fal, badającym na przykład niebo, jedynie mały ułamek dociera do celu (np. samolotu) i o wiele mniejsze echo otrzymujemy z powrotem. Według porównania, uczynionego przez inżynierów amerykańskich, gdyby wychodząca energia była wyobrażona jako piasek na wybrzeżu morskim, po-

wracające echo byłoby, jeśli chodzi o stosunek procentowy, jednym ziarnem piasku z tego wybrzeża.

Wyprodukowanie odpowiednio małego instrumentu, który mógłby być umieszczony na samolocie, a jednocześnie mógłby rozporządzać wielką mocą, jaka tu jest konieczna (o wiele przewyższająca tę, jaką posiada najpotężniejsza radiostacja), wymagała ewolucji w dziedzinie radia.

Można powiedzieć, że rewolucja ta zaczęła się w 1940 roku, kiedy do Stanów Zjednoczo-



Operator przy radarze

nych przybył brytyjski inżynier, przywoząc ze sobą wzory i model oscylacyjnej tuby taw. „magnetronu”.

Magnetron, za pomocą wirujących z wielką szybkością w magnetyzowanym cylindrze elektronów, wytwarzał nadzwyczaj krótkie fale radiowe, które jednocześnie były obdarzone wielką mocą. Jego zasada nie była nowością, ale Brytyjczykowi udało się rozwinąć w nim bardzo wielką moc, a amerykańscy inżynierowie zutilizowali jego udoskonaloną formę w radarze.

Z pomocą magnetronu inżynierowie amerykańscy zbadali mało znaną część widma radiowego — mikrofalę. Miało to wielkie znaczenie dla radaru, ponieważ względnie długie fale radiowe (półtora metra), jakie były używane w nim z początkiem wojny, miały bardzo wielkie wady:

- 1) Dawały one bardzo zniekształcone echo;
- 2) Ekran był pokryty ciemnymi plamami;
- 3) Wymagały olbrzymiej anteny.

Zbadanie mikrofal rozwiązywało wszystkie te problemy jednym zamachem. Dzisiaj wszystkie te niedociągnięcia zostały usunięte i radar jest instrumentem prawie doskonałym.

W opisie najprostszym możemy powiedzieć, że aparat radarowy wystrzeliwuje fale radiowe na dany cel, następnie chwytą odbite echo, odmienna czas trwania całej podróży tam i z powrotem, dzieli przez dwa i wobec tego, że szybkość fal radiowych jest znana, uwidaczniające się na fosforyzującym ekranie cele pokazują odległość, a także swoje położenie.

W rzeczywistości radar jest bardziej skomplikowany. Zwykły transformator bowiem, wysyłający falę radiową, nie mógłby otrzymać takich wyników. Tłumaczy się to zjawiskiem identycznym, jakie powstaje — gdy człowiek wrzeszczy bez przerwy do ściany. Otrzymuje on wtedy z powrotem jedynie bezładny hałas i żeby otrzymać czyste, miarowe echo, musi wydawać szereg krótkich, ostrych okrzyków. I to właśnie robi radar — wysyła on staccato „drgania” energii elektrycznej w ilości 1000 drgań na sekundę. Każde z tych drgań trwa mniej niż jedna milionowa część sekundy. Drgania te są rozmieszczone w czasie w ten sposób, że każde z nich ma czas odbyć drogę tam i z powrotem (do danego celu) i zanotować swoją wiadomość bez zderzenia się z drganiem następnym.

Bardzo trafne było określenie radaru, użyte przez pewnego oficera brytyjskiego, który powiedział: „Jeżeli człowiek rzuca piłkę do drugiego człowieka i ten odrzuca ją z powrotem — to jest radio-komunikacja. Jeżeli człowiek rzuca piłkę o mur i ta zostaje odbita z powrotem — to jest radar.”

Jeśli chodzi o radar — jako sprzęt wojskowy, jest to specjalny przyrząd, który wyrzuca z siebie snop fal radiowych i te, uderzając na dany obiekt, wracają jako echo, uwidaczniające się na radarowym ekranie w postaci obrazu świetlnego. Radar może pokazać lot pocisku artyleryjskiego, wybuch w bombardowanym celu, moment spadania trafionego samolotu i to wszystko na odległość kilkuset kilometrów.

Z powietrza, w nocy i w dzień, nawet przez najbardziej gęstą powłokę chmur, radar pozwala widzieć tereny, znajdujące się na dole. Tereny te przedstawiają się na ekranie radarowym jak mapa, na której uwidocznione są okryty, porty, mola portowe, góry, jeziora, rzeki i tp. Z mniejszej odległości można rozpoznać bulwary, ulice, a nawet poszczególne zabudowania. Normalnie ekran radarowy pokazuje wielkość, ale nie pokazuje dokładnego kształtu wykrytego przedmiotu. W wyjątkowych tylko wypadkach można otrzymać prawie fotograficzną ostrość, (ekran jest oparty na efekcie światło-cieni).

Główne części radaru są następujące:

- 1) Źródło energii;
- 2) Antena, która promieniuje wychodzące fale radiowe i chwytą echo;
- 3) Odbiornik, w skład którego wchodzi rura oscylacyjna, której zadaniem jest przemia-



Zdjęcie radarowe z bombowca

na echa fal krótkich na niższą częstotliwość radiową, aby mogło być ono uwydatnione na ekranie;

4) Ekran radarowy identyczny z telewizyjnym.

Zdolność radaru donoszenia tego, co on „widzi”, zależy od siły odbijania jaką posiada dany cel. Metal jest doskonałym odbijaczem, woda dobrym, ziemia średnim.

Znaczenie radaru dla wojska było bardzo duże. Zużytkowanie atomowych sił potencjalnych w czasie pokoju jest dotychczas tylko nadzieją. Niemniej jednak możemy powiedzieć, że radar jest zapoczątkowaniem nowej ery w nauce. Dla uczonych otwierają się obecnie szerokie możliwości spowodowane dokładnym zbadaniem mikrofal. Najbardziej interesująca dla uczonych jest nadzwyczajna precyzja, z jaką radar mierzy czas. Czas można obliczać w milionowych częściach sekundy i choćby dlatego tylko — uczeni są pewni, że teraz nastąpi cały szereg bardzo ważnych odkryć w różnych dziedzinach.

Z wad radaru należy na pierwszym miejscu postawić możliwość działania jedynie na liniach prostych. Następnie nie może on przenikać przez wodę, ani przez większe przeszkody stałe.

To ostatnie nie można nazwać wadą; jest to bowiem gwarancja, że radar będzie mógł wnikać w życie prywatne, zamykające się w czterech ścianach.

Radar miał wielu wynalazców, ale największe prawo do odkrycia zasad działania radaru ma niemiecki fizyk Heinrich Hertz, który w 1887 roku wydobyl falę radiową z odpowiedniego nadajnika i uchwycił jej echo na specjalnie zbudowanym rezonatorze.

Badania nad radarem czynione w Stanach Zjednoczonych szły równolegle z badaniami grupy uczonych brytyjskich, pracujących pod kierownictwem Roberta Wadson-Watt'a. Brytyjczycy początkowo nazywali ten wynalazek „Radio Location”, później zaczęto powszechnie używać określenia amerykańskiego — radar. Słowo „radar” bierze nazwę od pierwszych liter — Radio Detection Ranging.

Obecnie w dalszym ciągu robione są doświadczenia w tej dziedzinie w laboratoriach fizycznych, radiowych i przemysłowych — całego świata. Możemy się spodziewać, że o rezultacie tych prób dowiemy się w niedługim czasie.

J. Moran

Atom — narzędzie zagłady czy błogostawieństwo?

W poprzednim numerze „Na szlaku Kresowej” starałem się (w artykule „Atom — nowe źródło energii”) przedstawić historię wynalazku bomby atomowej. Opowiadanie doprowadziłem do momentu uwięźnienia ciężkich badań naukowych odkryciem zastosowania uśpionej w atomie energii dla celów — na razie — wojny.

Artykuł obecny — jakkolwiek jest uzupełnieniem poprzedniego — stanowi niezależną całość. Dla tych Czytelników, którzy nie mieli sposobności przeczytania historii odkrycia bomby atomowej, pozwalam sobie przytoczyć garść danych, stanowiących — w dużym skrócie — streszczenie poprzedniego artykułu.

Atom, jedna z najmniejszych cząstek materii jest potężnym ładunkiem energii elektrycznej. Rozbicie atomu jest równoznaczne z jej wyzwoleniem. Wzmożenie energii uzyskuje się przez spowodowanie „reakcji łańcuchowej”, czyli pochodne rozbicie szeregu atomów. W praktyce najlepiej do tego celu nadają się pierwiastki radioaktywne, jak np. uran (szczególnie jego odmiana — izotop — U235) i jego pierwiastek pochodny, pluton. W okresie wojny uczeni całego świata pracowali w Stanach Zjednoczonych A.P. nad wynalezieniem sposobu wykorzystania energii śródatomowej dla celów wojny, t.j. nad skonstruowaniem bomby atomowej. Udało im się to w roku 1945.

I. Parująca stal.

Błysk nad Hiroszimą

LUDZIE. Historię odkrycia bomby atomowej oraz dane dotyczące zawartego w niej potencjału energii poznajemy z oficjalnego wydawnictwa amerykańskiego ministerstwa wojny *A General Account of the Development of Using Energy for Military Purposes*. Autor tego sprawozdania dr Henry De Wolf Smyth podkreśla, że trudności prac uczonych polegały na 2 problemach:

- 1) zebrać dostateczną ilość rzadko występującego w przyrodzie U235,
- 2) skonstruować odpowiednią bombę.

Jak już wspomnieliśmy, dzięki wysiłkom uczonych całego świata, trudności te udało się pokonać. Należy tu podkreślić, że główną zasługę w organizacji odkrycia przypisać trzeba Stanom Zjednoczonym, które wybudowały trzy zakłady poświęcone produkcji bomby atomowej: *Oak Ridge*, 19 mil na zachód od Knoxville w stanie Tennessee, *Pasco* (Hanford), 150 mil na pld. zachód od Seattle w stanie Waszyngton i *Los Alamos*, 30 mil na ptn. zachód od Santa Fe w Nowym Meksyku.

Z produkcją bomby najściślej związani byli z ramienia Stanów Zjednoczonych czterej ludzie: dr *Vannevar Bush*, dyrektor Urzędu Badań Naukowych, dr *James B. Conant*, rektor uniwersytetu w Harvard, *George L. Harrison*, szef bezpieczeństwa (prezes komitetu doradczego dla spraw wewnętrznej i międzynarodowej kontroli nad bombą atomową), oraz gen. bryg. *Leslie Groves*, kierownik — wykonawca projektu bomby atomowej. Ich nazwiska, a zwłaszcza gen. *Leslie Groves*'a powtarzają się bardzo często w sprawozdaniach prasowych na temat ożywionej po krachu konferencji londyńskiej dyskusji „atomowej”, dlatego uważaliśmy za stosowne zwrócić na nie uwagę.

Ludzie ci kierowali pracą naukowców, dążących do wyzwolenia i użytkowania potężnych zasobów energii śródatomowej. Tak potężnych, iż rozmiar ich trudno objąć wyobraźnią, a cyfry porównawcze w stosunku do znanych dotychczas wymiarów są wprost zawrotne.

CYFRY. Uważa się np., że jeden funt U235 kryje w sobie energię równą energii 5 milionów funtów węgla, lub czterech milionów galonów benzyny, albo też 15 tysięcy funtów trotylu. Trotyl zawiera zaledwie podwójną ilość energii, jaką ma proch strzelniczy, odkryty 6 wieków temu. Bomba atomowa ma 12000 razy więcej energii niż najlepszy produkt trotylu. 123 samolotów, wiozących po jednej bombie atomowej kryje w sobie tyle niszczycielskiej siły, ile zużyto w czasie tej wojny na rozbić europejskiej twierdzy Hitlera, t. j. 2.453.595 ton bomb.

Z tych rozmiarów zdawano sobie sprawę nie tylko w Ameryce. Nie należy zapominać, że badania nad rozbić atomu prowadzone były zarówno w krajach uczestniczących w wojnie, jak

i w neutralnych. Osiągnięcia uczonych na tym polu nie były również obce Papieskiej Akademii Nauk. Z okazji jej otwarcia w dniu 21 marca 1943 Papież Pius XII powiedział:

„Na podstawie specjalnych obliczeń ustalono, że tą drogą (bombardowanie atomu uranu przez neutrony) w czasie krótszym niż 1/100 sekundy uzyskać można energię wystarczającą do podniesienia na wysokość 27 km ciężaru równego miliardowi ton; energię mogącą zastąpić na przeciąg wielu lat działalność wszystkich na świecie zakadów energetycznych”.

Dwa lata temu praktyczne możliwości zgromadzenia i użytkowania odpowiedniego materiału były prawie żadne. W obfitujących w potrzebne surowce i sprzęt Stanach Zjednoczonych produkcja materiału wybuchowego (U 235 lub pluton) do bomby atomowej wymagała wielu prób i cierpliwości. Gdy w roku 1941 ilość wyprodukowanego materiału mierzono w setnych mikrograma, wielu uczonych było zdania, że do zgromadzenia praktycznej jego ilości potrzeba będzie wielu lat intensywnej pracy. Lecz już w r. 1941 poczęto posługiwać się gramem, jako jednostką pomiarową uzyskiwanego materiału. Dnia 12 lipca 1945 uczeni byli przygotowani do dokonania pierwszej próby.

PIERWSZA PRÓBA. Na pustyni w Nowym Meksyku (Stany Zjednoczone) wybudowano wieżę stalową, pierwszy przedmiot, który miał być poddany niszczycielskiemu działaniu energii śródatomowej. Bombę umieszczono wewnątrz obwieszoną skomplikowanymi instrumentami wieży. Instrumenty miały służyć do pomiarów siły wybuchu.

O świcie dnia 16 lipca 1945 decydowały się losy wynalazku. Niecierpliwi się uczeni, oczekujący hasła odpalenia. Podano je przez radio: „Za 15 minut, za 14 minut, za 13 minut... za minutę, za 45 sekund...”

W tym momencie zaczął działać mechanizm — robot. O godz. 5.30 nastąpiła eksplozja.

Oddaleni o 10 mil i zaopatrzeni w specjalne okulary obserwatorzy (uczni i eksperci wojskowi) uirzeli w pierw oślepiającą kulę światła „wielokrotnie jaśniejszą i większą od słońca w południe”, następnie olbrzymią chmurę gęstego dymu, sięgającą stratosfery (13 km). W 40 sek. po błysku dosięgnął ich pierwszy odgłos eksplozji.

Wieża stalowa „wyparowała” całkowicie. Na jej miejscu powstał olbrzymi krater. Czarna masa dymu unosząca się nad nim w kształcie olbrzymiej zdeformowanej kuli osiągnęła stratosferę w ciągu 5 minut. Krater dymił jeszcze przez dłuższy czas, jak komin fabryczny. Wreszcie wiatry rozprędziły pył i dym.

Przy wybuchu nastąpiły objawy wstrząsu, jak przy trzęsieniu ziemi. Odczuto je w promieniu 250 mil. Dwaj ludzie znajdujący się w odległości 5 mil od miejsca eksplozji zostali rzućeni na ziemię.

Gdy dzienniki amerykańskie doniosły o tajemniczym blasku, widzianym w promieniu 300

mil od miejsca wybuchu, inne zaś o trzęsieniu ziemi odczutym o świcie 16 lipca, wojskowe władze wyjaśniły, że przyczyną owych zjawisk był przypadkowy wybuch wielkiego składu amunicji.

HIROSZIMA. Dnia 5 sierpnia 1945 padła na japońskie miasto portowe, liczące 344.000 mieszkańców, Hiroszima, pierwsza bomba atomowa. Została zrzucona na spadochronie. Zapalnik ude-



(A. P. — Newsweek)

Czołg „Sherman” z umieszczonymi nań instrumentami pomiar wymi, służącymi do zbadania skutków wybuchu próbnej bomby atomowej na pustyni w Nowym Meksyku.

rzeniowy, połączony z innym silnym materiałem wybuchowym, powodował zupełne jej zniszczenie w razie niewypału właściwego materiału „atomowego”. Urządzenie to zapewniało zupełną tajemnicę konstrukcji.

Wstrząs powietrza spowodowany wybuchem bomby, zrzuconej z super-fortecy latającej, dosięgnął samolotu w chwili, gdy ten znajdował się w odległości 10 mil od miejsca wybuchu. Wstrząs aparatu był tak silny, jakby w bezpośredniej jego bliskości rozerwał się pocisk p-łot.

Płk. Paul W. Tibbets w tych słowach opisuje eksplozję:

„Pod nami wyrósł, unosząc się gwałtownie w górę, potężny czarny słup dymu. Tam, gdzie przed chwilą widzieliśmy dokładnie miasto, jego ulice i budynki, wyrzute morskie i łamacze fal, rozpostarła się teraz nieprzenikniona dla oka zasłona.

Nastąpiło to tak szybko, że nie mogliśmy nie zobaczyć. Odczuliśmy tylko żar i wstrząs wybuchu. Samolot doznał kilku

krótkich uderzeń, jakby od pocisków p-łot. Zwróciłem się do załogi, lecz wszyscy byli zdrowi.

Chociaż był to jasny dzień i znajdowaliśmy się siedem mil od miejsca wybuchu, doznaliśmy szoku wzrokowego, na skutek przeraźliwego blasku światła. Był to pierwszy znak, że rzuciliśmy bombę. Zwołaliśmy wszyscy: „Mój Boże!” To, co było Hiroszimą, unosiło się teraz w powietrzu w kształcie olbrzymiej góry dymu...”

W trzy dni później — gdy rząd japoński wahał się w decyzji dalszego prowadzenia wojny, czy poddania się — padła na dwustutysięczne miasto Nagasaki druga bomba atomowa.

Jeden z korespondentów amerykańskich, który odbył lot obserwacyjny nad tym obszarem w kilka godzin po bombardowaniu, opisuje następująco „piekło”, które widział.

Już z odległości stu mil widać było na horyzoncie jasną linię, podobną do blasku wczesnego świtu. W miarę zbliżania się owe jasne pasmo czerwieniało i ożywiało się. Olbrzymie jezory czerwonego i pomarańczowego ognia darły się ku górze, tonąc w białym całunie zawieszonym nad nimi zasłony. Rozciągała się ona na obszarze co najmniej 10 mil kwadratowych. Całość robiła wrażenie upiornego wulkanu, wyrzucającego ze wściekłością płonącą lawę”.

SKUTKI BOMBARDOWANIA. Według radia Tokio, bomba atomowa pozbawiła życia wszystkie istoty żyjące, ludzi i zwierzęta. Zabitych nie można po prostu zliczyć. Nie jest możliwe odróżnić wśród trupów mężczyzn od kobiet. Siły zniszczenia bomby atomowej nie da się opisać.

Ludzie znajdujący się w chwili wybuchu na zewnątrz mieszkań „wyparowali” najwzyczajniej na skutek wysokiej temperatury; ci którzy byli w krytycznym momencie w budynkach, zmarli w wyniku niesłychanego ciśnienia i gorąca...

Pewien kapral japoński, ocalały w bombardowaniu Hiroszimy, w ten sposób skreślił obraz zniszczenia:

„Wszyscy wokół, to zabici lub ranni. Niektórzy opuchnięci i oparzeni — wyglądali okropnie; ich ciała odarte z ubrań, opalone i pokryte olbrzymimi pęcherzami.

Zamarła cała przyroda, nawet trawa i drzewa. Był to najbardziej odstraszający z widoków, jakich kiedykolwiek byłem świadkiem”.

Doniesienia japońskie okazały się słuszne. Ujawniono później cyfrę pozostałych przy życiu w Hiroszimie: 6.000 (słownie: sześć tysięcy). Fakt ten ma tragiczną wymowę. W przyszłej wojnie atomowej nie będziemy pytać o ilość zabitych. Komunikaty wojenne będą podawały, czy i ilu mieszkańców milionowych miast pozostało przy życiu.

A przecież nad Hiroszimą wyzwoliła się tylko część możliwej energii. Bomba wybuchła

nad ziemią, a to w celu skierowania części potężnej energii oraz elementów radioaktywnych w przestrzeń powietrza.

Już sam błysk wybuchu oślepia, a może również pozbawia wzroku...

Jeden z pilotów zdjął okulary ochronne i został oślepiony, jakkolwiek nie patrzył bezpośrednio na blask eksplozji. Slepota minęła po pewnym czasie, lecz następstwa nierozważnego kroku okazały się przykre, gdyż pilot cierpi na trwałą wadę wzroku.

Czy można się dziwić, że skutki bomb rzuconych na Hiroszima i Nagasaki zaniepokoiły poważnie mieszkańców okolic Oak Ridge, w stanie Tennessee, gdzie produkuje się U235? Odpowiednie władze amerykańskie zmuszone były wydać oświadczenie zapewniające, iż „niebezpieczeństwo eksplozji w zakładach produkujących bomby atomowe jest bezwzględnie wykluczone”.

Skuteczność bomby atomowej na morzu miała być wypróbowana na pancerniku japońskim „Nagato” — 32.700 ton. Miał on być wyprawiony na odległość 500 mil od brzegu i poddany bombardowaniu. Do chwili, gdy piszę te słowa, nie spotkałem w prasie żadnej wzmianki o wynikach próby.

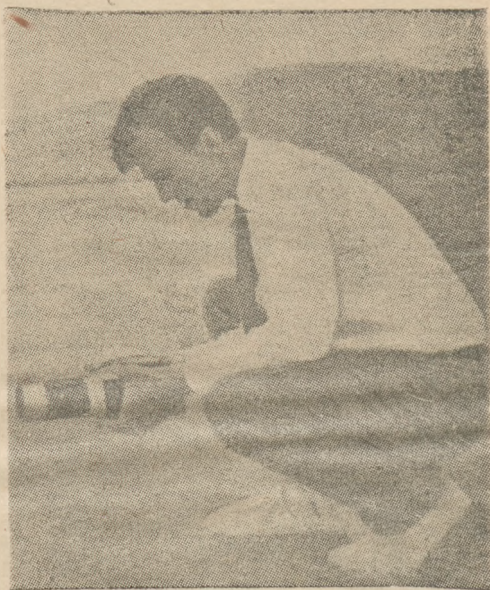
„RESIDUAL RADIOACTIVITY”. W osiem tygodni po wybuchu pierwszej bomby atomowej na pustyni w Nowym Meksyku, udała się tam wycieczka 31 dziennikarzy amerykańskich.

Większość terenu należała niegdyś do farmera, nazwiskiem Mac Donald. Jego rancho było pierwszym domem mieszkalnym zburzonym przez bombę atomową. W odległości 10 km od miejsca wybuchu bomby zostały się potężnej sile dwie niskie budowle z ciężkiego drzewa, zabezpieczone solidnym wałem ziemnym. Mieściły się w nich instrumenty obserwacyjne i urządzenie do odpalenia bomby. Obok dwa pomalowane na biało „Shermany”, zamknięte hermetycznie, obłożone szczelnie płytami z ołowiu i obwieszane dziwnymi instrumentami, o których charakterze dziennikarze amerykańscy nic się nie mogli dowiedzieć od ostrożnych ekspertów wojskowych. „Shermany” to były użyte do zbadania terenu bezpośrednio po eksplozji. Ich hermetyczne zamknięcie oraz płyty ołowiane miały chronić załogę przed zgubnymi skutkami radioaktywnych promieni.

Samo miejsce wybuchu wygląda z lotu ptaka jak zielone jezioro na pustyni, z małą wyspą pośrodku. Utworzyły się tam trzy koła współśrodkowe. Wewnętrzne, około 100 m. średnicy, to sam krater, czyli miejsce, gdzie stała wieża stalowa. Pozostały z niej szczątki czterech filarów, pokręcone dziwacznie i spłaszczone. Reszta wieży „ulotniła” się. Krater ma około 5 m głębokości. Siła wybuchu wyrzuciła na boki i w górę dwumetrową warstwę ziemi, a resztę wtłoczyła na głębokość 3 m. Następne koło o średnicy 800 m, to obszar owego zielonego jeziora, czyli piasku stopionego na szkło o kolorze szmaragdu. „Szmaragdy” powstały w chwili wybuchu z wyrzuczonych w powietrze grudek ziemi, odpadłych szerokim

wachlarzem dokoła „krateru”. Zewnętrzny pierścień, okalający „szmaragdowe pole”, to półmilowy pas wypalanej doszczętnie skąpej roślinności pustynnej.

Rzeczoznawcy wojskowi wyjaśnili, że bomba próbna w Nowym Meksyku eksplodowała na wysokości 35 m, podczas gdy następne dwie rzucone na Hiroszimę i Nagasaki — „o wiele wyżej”. Stąd miejsce wybuchu bomby próbnej



(A. P. — Newsweek)
Pomiary „residual radioactivity” na pustyni w Nowym Meksyku. Przyrząd pomiarowy, Roentgenometr, sygnalizuje obecność zabójczych promieni. Zwróć uwagę na ochronę stóp człowieka dokonującego pomiarów.

stało się niebezpieczne przez dłuższy okres czasu ze względu na obecność radioaktywnych elementów, jakie „zagnieździły się” w terenie (residual radioactivity). Odpowiednie aparaty wykryły obecność radioaktywnych elementów w „szmaragdach”, wziętych przez niektórych dziennikarzy na pamiątkę. Nie trzeba chyba dodawać, że amatorzy „pamiątek” szybko wyróżnili kieszenie z tych drogocennych kamieni.

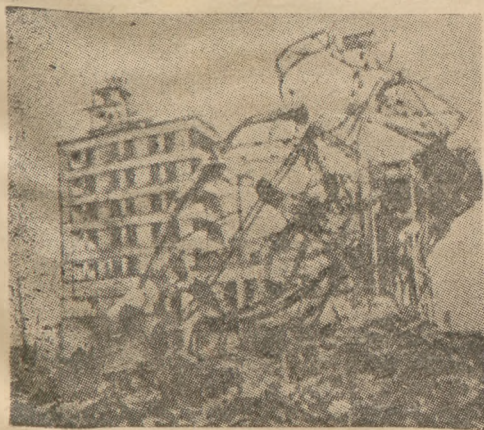
Wiedzieli już oni o skutkach radioaktywności „zagnieźdzonej” (nie wiem, czy jest to właściwy termin na określenie residual radioactivity) w obszarze Hiroszimy, gdzie śmierć zbierała swe żniwo nie tylko w momencie wybuchu, ale wiele dni po nim.

Według wiadomości agencji Domei mieszkańcy Hiroszimy, porażeni radioaktywnymi promieniami uranu, wymierali stopniowo. Zewnętrznym objawem porażenia było zaczerwienienie skóry, nie powodujące bólu. Po kilku godzinach tworzyły się duże pęcherze wodne. Badania wykazały, że śmierć następowała na skutek

gwałtownego spadku ilości białych ciałek krwi. Tak np. w siedem dni po bombardowaniu Hiroszimy udała się tam grupa żołnierzy japońskich. Zostali oni porażeni radioaktywnymi promieniami uranu. Badania krwi wykazały przeciętną obecność 2150 ciałek białych na 3.065.000 ciałek czerwonych, zamiast normalnego stosunku 7 — 8 tysięcy ciałek białych na 4 — 3 milionów czerwonych.

Pewien uczony amerykański, biorący udział w pracach nad bombą atomową, oświadczył, że obszar bombardowany staje się martwym na okres 75 lat. Amerykańskie ministerstwo wojny zaprzeczyło tej wiadomości. Trudno jest dziś stwierdzić ostatecznie, jak długo trwa zabójcze działanie promieni uranu. Niektóre oświadczenia amerykańskie podają, że teren bombardowany jest niebezpieczny przez okres 11 dni, lecz jest to raczej hipoteza, gdyż jak z innych sprawozdań prasowych wynika, dziennikarze przywiezieni na miejsce wybuchu pierwszej bomby atomowej w Nowym Meksyku zostali ostrzeżeni, by nie zbliżali się do pewnych miejsc, gdzie stwierdzono obecność śmiertelnych promieni, a w terenie, po którym dozwolono im poruszać się, musieli odziać specjalne obuwie ochronne.

Residual radioactivity stała się przyczyną śmierci wielu robotników japońskich, pracujących przy oczyszczaniu terenu wokół Hiroszimy. Ci, którzy przebywali w promieniu 3 — 4 mil ulegli poparzeniom promieniami ultrafioletowymi. Przedśmiertne objawy choroby: pęcherze przechodzące w wodną puchlinę.



(ewswweek
Hiroszima — skutki bomby atomowej

Bardziej odporne na radioaktywność okazały się mrówki. W czasie wycieczki dziennikarzy na miejsce wybuchu próbnej bomby atomowej, jeden z korespondentów odkrył w odległości 400 m od krateru pełne ożywionej pracy mrówisko.

Pierwsze miarodajne oświadczenie na temat skutków bomby atomowej nadesłał pewien lekarz duński, który znajdował się w obozie jeńców wojennych w Nagasaki i przeżył moment bombardowania. W obozie, liczącym 200 jeńców,

zostało zabitych czterech, czterech dalszych zmarło później. Lekarz potwierdził tezę japońską, według której wiele osób, nie wykazujących początkowo żadnych oznak choroby, umierało w kilka tygodni po bombardowaniu.

„Początkowo myślałem — pisze Duńczyk — że to był zrykły teżec. Obrętek tylnej ściany gardła, przekrwienie skóry, gorączka i bardzo przyspieszone tętno. Następnie zauważyłem gwałtowny zanik białych ciałek krwi... W końcu krwotok wewnętrzny przewodu pokarmowego...”

W zestawieniu z tymi wiadomościami groteskowym wydaje się oświadczenie amerykańskiego pułkownika Stafford L. Warren, który po dziesięciodniowym badaniu bombardowanego obszaru Nagasaki stwierdził, iż „radioaktywność nałosforyzowanej tarczy zegarka jest tysiącrotnie większa niż przestrzeń poddana bombardowaniu”. Wiele osób zostało porażonych radioaktywnymi promieniami w momencie bombardowania, lecz mogły się wyleczyć — twierdzi pułkownik — jeśli ich ogólny stan zdrowotny był dobry.

II. Ciąg dalszy olimpiady

UTOPIA KONTROLI MIĘDZYNARODOWEJ. Miesiąc temu pisałem o „najważniejszej z olimpiad” t.j. o wyścigu laboratoriów, poszukujących gorączkowo rozwiązania problemu wojnej broni. Zwyciężyły państwa sprzymierzone. Lecz czy ostatecznie? Czy bomby rzucone na japońskie miasta były finałem atomowych igrzysk? Napewno nie. Finał mamy przed sobą. Mimo ożywionej dyskusji na temat poddania nowego wynalazku kontroli międzynarodowej, co ma rzekomo zapobiec zastosowaniu strasznej broni w przyszłej wojnie, mimo zapewnień ze strony Stanów Zjednoczonych, iż nie mają zamiaru używać energii atomowej dla celów wojennych, świat patrzy ponuro w przyszłość. Świadomość istnienia agresora, rozbudowana fiaskiem londyńskiej konferencji pokojowej, powoduje brak zaufania do międzynarodowych instytucji kontroli. Smutne doświadczenia „współpracy” różnego rodzaju międzysojuszniczych komisji, pusty dźwięk szumnej nazwy „Organizacja Narodów Zjednoczonych”, wspomnienie iluzorycznego porozumienia w San Francisco, wszystko to składa się na sprowadzenie wszelkich instytucji międzynarodowych do rzędu utopii. I jakkolwiek 17000 członków liczące brytyjskie Stowarzyszenie Pracowników Naukowych, jakkolwiek 400 amerykańskich uczonych, którzy brali udział w pracach nad wykryciem bomby atomowej, domaga się natychmiastowego poddania niszczytelnej siły międzynarodowej kontroli, obowiązują i prawdopodobnie długo jeszcze obowiązywać będą słowa prez. Trumana wypowiedziane w kilka dni po ujawnieniu istnienia wynalazku:

„Bomba atomowa jest za nadto niebezpieczna by ją oddać na użytek temu nie szanującemu prawa świata. Dlatego Wielka

Brytania, Kanada i Stany Zjednoczone, które posiadają tajemnicę produkcji nie zamierzają jej ujawnić, póki nie znajdą sposobu jej kontroli w takim stopniu, by nas i resztę świata mogły obronić przed niebezpieczeństwem całkowitego zniszczenia.

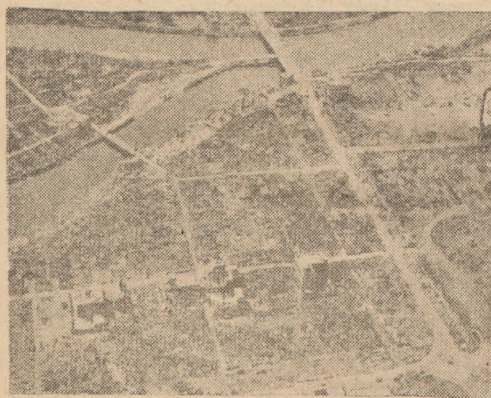
Musimy się sami ustanowić opiekunami nowej siły — aby zapobiegać jej nadużyciu i skierować ją na tory służby ludzkości”.

Słowa te pozostają w mocy. Potwierdziły je późniejsze oświadczenia.

W specjalnym orędziu do Kongresu w dniu 4.X.45, prezydent oznajmił, że wkrótce odbędą się konsultacje rządu amerykańskiego z rządem angielskim i kanadyjskim, celem ustalenia norm regulujących produkcję bomby atomowej. Równocześnie prezydent zawiadomił Kongres, że rząd amerykański w porozumieniu z rządami angielskim i kanadyjskim postanowił utrzymać ściśle tajemnicę wynalazku.

Nie nastąpiła również żadna zmiana tego stanowiska w obszernej mowie Trumana w dniu 28.X.

HISTORIA UCZY... Nie ulega wątpliwości, że troska o poddanie energii atomowej skutecznej kontroli jest wyrazem strachu przed jej straszliwymi skutkami. Drugim przejawem tego — jak bardzo ludzkiego — uczucia jest pytanie, czy istnieje możliwość obrony. Instynkt samozachowawczy ludzkości każe jej szukać środka obrony. Doświadczenia wszystkich wojen wykazują, że wynalezienie nowej broni powodowało prawie automatycznie odkrycie przeciwśrodka. Zagrożona w swym istnieniu ludzkość niecierpliwi się i oczekuje od ludzi nauki zapewnienia możliwości wyeliminowania niebezpieczeństwa w małym bodaj procencie.



(U.S. Army Air Forces International)
Widok Hiroszimy po bombardowaniu.
Tygodnik „Time” zamieścił pod tą fotografią następujący napis: *Hiroszima, 1945 — Chicago, 1970?*

Associated Press doniosła 27.IX.45 z Rio de Janeiro, że inżynier brazylijski, Cortez, wynalazł podobno środek, umożliwiający neu-

tralizację bomby atomowej. Chodzi tu podobno o aparat, który wywołuje eksplozję bomby przed zrzutem.

Swego rodzaju sensacją może być wiadomość podana 1.X.45 przez United Press o wynalezieniu przez uczonych instytutu badań fundacji Crosby środka przeciw bombie atomowej. Szef tej fundacji p. Larry Crosby zaznaczył, że wyda sekret właściwym władzom pod warunkiem, że wynalazek zostanie użyty „dla skłonienia innych narodów do uczciwego postępowania (fair play) ze Stanami Zjednoczonymi”.

„Uczeni zapewniłi mnie — powiedział p. Crosby — że istnieje obrona przeciwko bombie atomowej i że już obecnie można spowodować jej eksplozję, nawet bez dokładnego oznaczenia miejsca, gdzie się bomba znajduje. Wynalazek ten może rzucić jasne światło na wiele czarnych perspektyw, lecz co najważniejsze, powinien przekonać inne narody, że byłoby bezużyteczną stratą czasu, energii i funduszy usiłowanie odkrycia tajemnicy bomby atomowej”.

Jeśli tę wiadomość zestawimy z faktem, który miał miejsce parę dni przed oświadczeniem p. Crosby, zrozumiemy lepiej sens jego słów. W czasie zwiędzania przez dziennikarzy złożonej blendy uranowej w Kanadzie, nie zaproszono korespondentów Tassa. Gdy później zapytano jednego z nich, co myśli o tym pominięciu, odparł pytaniem: „Chyba nie traktujecie poważnie przypuszczenia, że bomba atomowa stanowi dla Rosji tajemnicę?”

Z drugiej strony inne oświadczenie o istnieniu możliwości obrony przed bombą atomową wyszło z bardzo autorytatywnego źródła, bo od komisji dla spraw morskich amerykańskiego Kongresu:

„Istnieją dane, wskazujące, iż zostały wynalezione i opracowane skuteczne środki obronne przeciw bombom atomowym. Powodują one eksplozję bomb w pewnej odległości od przedmiotu bombardowania, bez konieczności określania ich położenia. Ostatnie zdobycze wiedzy wskazują na możliwość powodowania detonacji bomb na wielkich odległościach przy pomocy radia. Tę obronę prewencyjną może wykonywać z powodzeniem na największe odległości nasza marynarka”.

Dyskusję na temat obrony przed bombą atomową zdaje się ucinąć oświadczenie wspomnianego na wstępie tego artykułu gen. Groves'a:

„Jest niesłychanie ważne, by obywatele Stanów Zjednoczonych zrozumieli, że nie mamy środków obrony przeciw bombie”.

Jedynym sposobem obrony — według słów generała — jest wstrzymanie aparatu niosącego bombę w czasie jego drogi do celu.

Te sprzeczne oświadczenia nie muszą jednak prowadzić do wniosków negatywnych. Historia uczy... że niczego się nie można nauczyć. Nie, tak nie jest. Historia uczy, że badania nad wykryciem bomby atomowej otoczone były przez szereg lat najściślejszą tajemnicą.

CZY ANGLOSASI SPOCZĘLI NA LAURACH? Wiele wiadomości prasowych i oświadczeń amerykańskich mężów stanu wskazuje na to, że Stany Zjednoczone nie ustają w pracy nad wszechstronnym wykorzystaniem energii śródatomowej zawartej nie tylko w uranie, lecz i w bardziej powszechnych substancjach, jak woda, gleba, sól kuchenna itp. Cele tych poszukiwań są na razie strategiczne i strategicznymi pozostaną tak długo, póki świat nie zdobędzie najważniejszej z wolności — wolności od strachu.

Poważni uczeni amerykańscy, pracujący nad produkcją bomb ostrzegają, że obecna supremacja Stanów Zjednoczonych w dziedzinie energii śródatomowej jest „czasowa”. W każdym razie — stwierdza tygodnik „Newsweek” — Anglosasi są w nowym wyścigu zbrojeń o dwa lata w przodzie.

Płk. Mathias, dyrektor zakładów produkcji bomb atomowych w Richland (w stanie Washington) oświadczył 17.VIII., że zakłady, którymi kieruje nie zaprzestały działalności.

W wywiadzie udzielonym po powrocie z Ameryki korespondentowi *United Press*, znakomity fizyk prof. Niels Bohr powiedział, że obecnie Stany Zjednoczone produkują dziennie trzy kilogramy uranu, przeznaczonego do budowy bomb atomowych. Jak wiadomo, prof. Bohr należy do „wielkiej szóstki” uczonych, którzy wynaleźli i udoskonalił bombę atomową.

Amerykański minister marynarki oświadczył, że po wojnie Stany Zjednoczone muszą zapewnić sobie możliwość kontrolowania wszystkich mórz, używając do tego „potężnej floty, która mogłaby w każdej chwili i w każdym kierunku zadać miazdzący cios bombami atomowymi”.

Tych kilka wiadomości prasowych wskazuje wyraźnie, iż słowa Trumana o olbrzymiej odpowiedzialności, jaka zaciążyła nad państwami posiadającymi tajemnicę bomby atomowej, zostały zrozumiane w Ameryce dosłownie. Wojskowe i polityczne sfery amerykańskie nie łudzą się co do możliwości współpracy narodów nad stworzeniem nowego świata bez poparcia siłą najśluszniejszych choćby żądań. Zbrojenia Stanów Zjednoczonych nie wskazują na ich dążenia do wojny. *Si vis pacem para bellum* — mówi stare przysłowie zrodzone na ziemi, po której stąpamy.

Nie zasypia też gruszek w popiele Wielka Brytania.

Prem. Attlee zapowiedział, że rząd brytyjski przystąpi wkrótce do budowy potężnych zakładów eksploatacji energii atomowej. W pierwszej fazie zatrudnionych będzie w tych zakładach 140 uczonych na stanowiskach kierowniczych.

W przeciwieństwie do opinii niektórych uczonych, rząd brytyjski uznaje konieczność zachowania tajemnicy bomby atomowej. Zdaniem Londynu, rozpowszechnianie ostatnich wiadomości technicznych o metodach wyzwiania energii atomowej mogłoby tylko przybliżyć niebezpieczeństwo nowej wojny.

Brytyjski uczony dr. Robert Wilson, przemawiając w imieniu swych 400 kolegów, których praca i odkrycia w dziedzinie fizyki atomowej i chemii przyczyniły się do skonstruowania bomby atomowej, oświadczył, że eksperymenty przy budowie nowej super-bomby są już na ukończeniu. Siła wybuchowa nowego pocisku przewyższa tysiąckrotnie bombę zrzuconą na Nagasaki.

Równocześnie agencja *International News*



(Acme — Time)

Japońskie dziecko poparzone przy bombardowaniu Nagasaki

Service doniosła z Wiednia, że władze alianckie są na tropie innego, niemniej strasliwego wynalazku. W tym wypadku chodzi o tzw. promienie śmierci, których odkrycie przerodziło podobno legendę w rzeczywistość. Władze alianckie posiadają jakoby dowody, że wynalazca, pewien uczony austriacki, zabijał swoimi promieniami myszy i szczury na odległości 300 metrów.

ZMIERZCH „WIELKICH NARODÓW”?

Pytanie takie stawia główny doradca brytyjski od spraw bomby atomowej, Sir James Chadwick. Biorąc za punkt wyjścia możliwości wyprodukowania bomby atomowej przez każdy kraj posiadający odpowiednie surowce, Chadwick stwierdza:

„Kwestia czy Stany Zjednoczone mają możliwość produkcji większej ilości bomb, nie gra roli, skoro 500 bomb atomowych może mieć ten sam efekt, co 50.000.

Nie gra też roli cena, bo czym były 2 miliardy dolarów wobec rocznego budżetu wojennego? Drobną cząstką. A więc na ten wydatek pozwolić sobie mogą nie tylko „wielkie narody”. Dlatego średnie i małe państwa zbliżyły się potencjalnie do poziomu Stanów Zjednoczonych. Mało tego, państwa te przez możliwość „błyskawicznego uderzenia”, a więc przez klasyczne zaskoczenie, z piorunującym tym razem skutkiem są zdolne pokonać największe potęgi.

Wyższość Stanów Zjednoczonych mierzo- no dotychczas cyframi takimi jak 100 tysięcy samolotów, a więc o wiele więcej niż suma reszty samolotów na świecie, 737 miliardów ton przez milę transportu kolejowego (połowa tonażu kolejowego świata), 60 milionów ton transportu kolejowego, t.j. dwie trzecie wodnego tonażu świata itp. Cyfry te nie mają już dziś tej samej wymowy”.

Obawy te są o tyle słuszne, o ile możliwe jest istnienie na świecie „małego” lub „średniego” państwa, na którego terenie nie dzia-



(Low Co All Countries — Time)

Wymowny rysunek, symbolizujący „być albo nie być” ludzkości. Znaczenie na pisów: Live or death — życie lub śmierć, humanity — ludzkość.

łałby wywiad, czy to brytyjski, czy amerykański.

Niemniej jednak nie jest wykluczone, że w którymś z owych „małych” lub „średnich” państw mogą być robione w wielkiej tajemnicy próby wyprodukowania potężnej broni.

Agencja International News Service doniosła, że w różnych miejscowościach Hiszpanii powstały w ostatnich miesiącach laboratoria, w których technicy niemieccy pracują nad budową bomby atomowej według metody niemieckiej. Ekspertymenty mają być podobno finansowane przez władze hiszpańskie, które ponadto dostarczają do laboratoriów uranu ze złóż austuryjskich. W kilku wypadkach doświadczeniem tym towarzyszyły potężne eksplozje, które od- czuto w promieniu kilkuset kilometrów.

Wiadomość ta — o ile jest prawdziwa — potwierdza czułość czynników zainteresowanych. Należy więc raczej sądzić, iż „wielkim” narodom nie grozi niebezpieczeństwo ze strony „małych” lub „średnich”. Wprawdzie do produkcji bomb atomowych, nie koniecznie przy użyciu uranu, lecz innymi sposobami są zdolne dzisiaj trzy państwa: Francja, Szwecja i Szwajcaria, mające odpowiedni sztab fachowców, wiadomości techniczne, elektryczną energię i surowce, należy wątpić, czy światu grozi agresja z ich strony, nawet w wypadku 10-krotnego prześcignięcia amerykańskiej produkcji bomb. Nie możemy — niestety — zdobyć się na ten optymizm w stosunku do..

CZY ONI JUŻ WIEDZĄ? Teoretycznie Rosja może doścignąć Stany Zjednoczone w produkcji bomb atomowych w ciągu dwóch lat. Warunkiem jest skoncentrowanie odpowiednio dużego zespołu uczonych, tudzież potrzebnych surowców. Nie ulega dla nas wątpliwości, że bomba atomowa da (jeśli już nie dała) wolność wielu wtrąconym przez bezwzględny reżim do więzień i obozów uczonym, oskarżonym niegdyś tak masowo o „trockizm”.

Większość, jeśli nie wszystkie z odkryć Joliot-Curie są znane Rosji, trzeciemu po Ameryce i Anglii państwu mającemu potrzebny do produkcji bomby atomowej uran.

Warto przy tym wspomnieć, iż żaden z więźniów polskich pracujących w czasie obecnej wojny w sowieckim „Uchto Iżemskim Łagrze” nie potrafi zaręczyć, czy rad wydobywany z rzeki Uchty („Wodopromyśł Uchta 10”) był przeznaczony dla czysto leczniczych celów.

Trudno jest twierdzić stanowczo o posiadaniu lub nie tajemnicy bomby atomowej przez sowieckich uczonych. Możemy tylko odnieść się z zastrzeżeniem do pewnych wiadomości na ten temat i do nie zawsze to samo oznaczających reakcji Kremla.

Bardzo charakterystyczny był stosunek pras socieckiej do pierwszych wieści o użyciu bomby atomowej. „Time” — tygodnik amerykański — w ten sposób pisał na ten temat:

„Wydarzenie potraktowano bardzo lekko w 74 wierszowym zaledwie artykule na ostatnich stronach sowieckich gazet, lecz stolica Rosji huczy od komentarzy na temat bomby. W Waszyngtonie zauważono, że Józef Stalin przyspieszył o cały tydzień ustaloną datę wypowiedzenia wojny Japonii. Uważane to jest za oficjalne sowieckie uznanie zdawania sobie sprawy, w jakim stopniu bomba mogła zakończyć wojnę”.

„Izwestia” pisały jednak, iż zasługę zwycięskiego zakończenia wojny należy przypisać nie „sensacyjnym cudom” lecz „wspólnym wysiłkom wszystkich sprzymierzonych”.

„Dzielnieś zaryczał lwie!” — chciałoby się powiedzieć, wspomniawszy broń amerykańską sprzedawaną w czasie wojny Japończykom przez Rosję oraz 2-dniowy wysiłek „bohaterskich zmagających armii czerwonej z japońskim agresorem w Mandżurii”.

Pomimo jednak lekceważącego stosunku prasy sowieckiej do „sensacyjnych cudów”, wojska rosyjskie na wiele miesięcy przedtem pośpieszyły się skwapliwie z opanowaniem wyspy Bornholm, nie tyle chyba dla zamknięcia cieśnin duńskich, ile dla zdobycia istniejących tam niemieckich zakładów poświadczonych badaniami — a może nawet produkcji — bomb atomowych. Uczony francuski M. Paul River ogłosił niedawno w Paryżu, że Rosjanie wywieźli do Rosji grupę niemieckich uczonych ujętych na duńskiej wyspie. Uczni ci byli „w przededniu uwięzienia powodzeniem ich badań nad bombą atomową”. Rosjanie zdobyli wszystkie zapiski oraz sprzęt laboratoryjny. Bomba, nad której wykryciem pracowali Niemcy miała być 60 razy potężniejsza od rzuconej na Hiroszimę. Cztery bomby starczyłyby do starcia Paryża z powierzchnią ziemi.

Podobne do bornholmskich zakłady zajęli Rosjanie w Szwynoujściu.

Według informacji agencji *Assosiated Press* rząd rosyjski zaangażować miał ponadto na świetnych warunkach kilku uczonych niemieckich, którzy pracowali w Niemczech nad wynalezieniem bomby atomowej. Ta sama agencja doniosła, że władze sowieckie przewiozły do Rosji wszystkie urządzenia zakładów *Kaiser Wilhelm Institut* w Berlinie, w którym odbywały się eksperymenty nad wyzwalamieniem energii atomowej.

Radio Londyn doniosło 30.X. 45 o postępach osiągniętych przez uczonych rosyjskich wspólnie z niemieckimi w pracach nad wyzwalamieniem energii atomowej. Eksperymenty odbywają się pod kierownictwem Niemców i przy użyciu urządzeń technicznych przewiezionych do Rosji z Niemiec.

Interpelowany w tej sprawie dyrektor instytutu fizyki doświadczalnej *Kaiser Wilhelm* w Berlinie, prof. Guner Hilman, oświadczył, że Rosjanie mogliby skonstruować własną bombę atomową nie przedziej jak za dwa lata. Prof. Hilman zauważył jednak, że najwybitniejsi uczeni niemieccy wyspecjalizowani w dziedzinie fizyki atomowej i rozbijania atomów, znajdują się obecnie nie w Rosji, lecz w Stanach Zjednoczonych i w Anglii.

Jak z powyższego wynika, tajemnica produkcji bomby atomowej nie wydaje się być niedostępna dla Rosji. Snucie dalszych domysłów jest ryzykowne. Z zachowania się Mołotowa na konferencji londyńskiej można wyciągnąć równie logicznie wnioski zupełnie przeciwnastwne, jak i z dyplomatycznej czy też prawdziwej choroby Stalina.

Według informacji radia Ankara z 10.X.1945 deklaracja prezydenta Trumana, że mocarstwa zachodnie nie ujawnią tajemnicy bomby atomowej, wywołała w Moskwie reakcję, więcej niż negatywną. Niezadowolenie Kremla staje się tym bardziej zrozumiałe po rewelacjach tegoż radia Ankara, które doniosło, że rząd sowiecki uzależnił podjęcie współpracy z mocarstwami zachodnimi od następujących warunków: 1) udział

ZSRR w okupacji Japonii; 2) pożyczka amerykańska dla Rosji w wysokości 6 miliardów; 3) ujawnienie tajemnicy bomby atomowej.

W osiem dni później ukazała się wiadomość *International News Service*, pochodząca z międzynarodajnych sfer rosyjskich w Londynie, że w wyniku ostatnich eksperymentów uczeni sowieccy wynaleźli jakobą nową metodę wyzwalamienia energii atomowej, znacznie praktyczniejszą od metody amerykańskiej. W konsekwencji, Rosja nie będzie już żądała ujawnienia tajemnicy amerykańskiej bomby atomowej.

Odnosnie amerykańskiej tajemnicy produkcji, należy zanotować ogłoszoną w dniu 10.X.1945 w Waszyngtonie wiadomość o zniknięciu prof. Wernera Heissberga, jednego spośród 6 wynalazców bomby atomowej. Prof. Heissberg opuścił swoje mieszkanie w Waszyngtonie po południu 7.X.br. i od tej chwili brak o nim jakiegokolwiek wiadomości. Amerykańskie ministerstwo wojny wdrożyło energiczne śledztwo.

III. Era atomowa

DIABELSTWO CZY POSTĘP?

8.VIII.45. „Ogłoszone przez samego prez. St. Zjednoczonych ostatnie diabelstwo (*diavole-ria*) wolny przyczynia się do spolegowania strachu, upadku i zniszczenia, właściwych końcowi świata. Energia atomowa, wyzwalamająca tajemne siły stworzenia wszechświata, została opanowana przez człowieka po to, by królestwo życia stało się niezaprzeczoną łupem śmierci”.

9.VIII.45. „Nie było Włocha o przeciętnej kulturze, któryby po pierwszej wiadomości o odkryciu bomby atomowej nie pomyślał o Henryku Fermi, odznaczonym nagrodą Nobla. „Nowy postęp w opanowaniu sił przyrody odpowiada powołaniu człowieka, jakie nań włożył Bóg w chwili stworzenia”.

Obie przytoczone notatki, dotyczące oceny odkrycia bomby atomowej ukazały się dzień po dniu w jednym z popołudniowych dzienników włoskich. Jeśli to samo pismo ocenia w sposób biegunowo odmienny największy z wynalazków XX wieku, czego możemy się spodziewać od ludzi o różnych zapatrywaniach?

Potępienie „diabelstwa” miesza się z zachwytem nad postępem nauki. Gdy jedni widzą lepszy świat w erze atomowej, inni zagładę. Nie sposób cytować tu wszystkich opinii. Ograniczymy się do przytoczenia utrzymanego w spokojnym tonie komentarza „Time” z 20 VIII. 1945.

„Najokrutniejsza i największa z dotychczasowych wojen zakończyła się tak wielkim wydarzeniem, iż w zestawieniu z nim zmalało jej znaczenie. Świadomość zwycięstwa została przepełniona zarówno radością jak i troską. Tragiczna odpowiedzialność zaczęła więcej na zwycięzcach niż na pokonanych. Ludzie — bez względu na to, czy są to żołnierze czy uczeni, mężowie stanu, czy zwykli zjadacze chleba — oślepili z wrażenia i znajdują się jeszcze w stanie wstrząsu, właściwego po odniesieniu cięż-

kiej rany. Lecz w głębi swych uczuć i myśli zdają sobie sprawę z faktu, że wielkie wydarzenia czyni ich Tytanami wyrastającymi z chaosu wieku, w którym słowo „zwycięstwo” było tylko dziecinnyim okrzykiem ulicy”.

„Świat znajdował się w chaosie. Nagła obietnica zwycięstwa była łaską, nie mniej dla Japończyków, niż dla zjednoczonych narodów, lecz łaską wypływającą z najbardziej w historii ludzkości bezlitosnej siły. Wygrano zwycięg; nowa broń została użyta przez tych, od których cywilizacja ma prawo spodziewać się najwięcej, lecz zastosowanie niszczącej siły do żyjących istot, miało do przedmiotów marnotrawnych, stworzyło w sumieniu ludzkości głęboką ranę. Wiedza odniosła największe z prometejskich zwycięstw nad przyrodą, oddając na usługi człowieka potęgę zaklętą w słońcu.”

„Czy człowiek jest godny zdobyczyć?”

„Los człowieka kształtował się zawsze w imadłach rozumu i ducha, będących raz w współdziałaniu, innym razem w konflikcie ze sobą. Teraz rozum i duch spotkały się u kresu. Jeśli oba, lub cokolwiek z nich ma się ostać, muszą znaleźć drogę nierozłącznej współpracy”.

„Obietnica dobra i widmo zła stykają się w jednym punkcie nieskończoności, który możemy określić, biorąc pod uwagę fakt, że ludzkość pogrążyła się w materializmie właśnie w okresie pokoju i ten tragiczny paradoks może łatwo spowodować zniszczenie tak wielkie, jak wielkim jest zło”.

DLA CELÓW POKOJOWYCH... Zastosowanie energii atomowej do celów pokojowych — poza ewentualnym zastraszaniem agresorów — może mieć miejsce według przewidywań specjalistów nie wcześniej niż za 10 lat.

Sprawa ta nie wszystkim wydaje się tak skomplikowana. Pewien farmer amerykański wysłał do nieistniejącej jeszcze „Atomic Bomb Company” następujący list

„Mam na moim polu szereg pni, które chciałbym usunąć. Czy jesteście w posiadaniu bomb atomowych o odpowiednich dla tego celu wymiarach? Jeśli macie, dajcie mi znać odwrotnie, oraz ile będą kosztować. Moim zdaniem są one lepsze od dynamitu”.

Groteskowe dzisiaj żądanie farmera może stać się realne za lat kilka. W „Sunday Times” z 14.X.45 ukazał się obszerny artykuł na temat możliwości wykorzystania energii atomowej w transporcie. Przewiduje się, iż Ameryka będzie posiadać w ciągu 2 lat lokomotywę o silniku atomowym. Energia śródatomowa zostanie zastosowana w pierwszym rzędzie do transportu ciężkiego (koleje, okręty), a to ze względu na olbrzymie gorąco wytwarzane przez silnik atomowy. Zbudowanie małego silnika będzie wymagało — ze względu na trudności chłodzenia — bardzo wielu wysiłków.

Według obliczeń brytyjskich koszt przeprowadzenia odpowiednich badań nad zastosowa-

niem energii śródatomowej do celów pokojowych wyniesie na — wraz ze zgromadzeniem surowca — 100 milionów funtów. Od sumy tej odjąć należy 35 milionów potrzebnych na budowę zakładów wytwarzających z surowca odpowiedni materiał (np. uran).

Fachowcy amerykańskiego lotnictwa nie wykluczają możliwości, że era atomowa pozwoli na stworzenie aparatu o silniku atomowym dostarczającym 8 milionów razy więcej energii, niż silnik typu 1945. Energia zawarta w „paliwie” wielkości cegiełki, pozwoli samolotowi przyszości na kilkakrotne okrążenie świata. Wyeliminowałoby to potrzebę zakładania potężnych składów benzyny i olejów, lecz z drugiej strony podwyższyłoby koszty produkcji samolotów, ze względu na konieczność użycia do ich budowy szczególnie wytrzymałych, a równocześnie lekkich metali, które — jak wiemy — są bardzo drogie.

Dr R. M. Langer, asystent kalifornijskiego Instytutu Technologii, jest zdania, że wykorzystanie potężnej energii atomowej pozwoli ludzkości prowadzić „lepsze życie” pod ziemią, gdzie mieszkania będą ogrzewane i oświetlane przy pomocy radioaktywnych pierwiastków. Gotowanie strawy nie zajmie więcej jak kilka minut czasu. Łatwość i szybkość transportu spowoduje rozproszenie mieszkań, a kwestia odległości od miejsca pracy nie będzie grała roli. Oczywiście czas pracy ulegnie poważnej redukcji.

WOJNY TWORZY CZŁOWIEK. Jeśli chodzi o wojny, historia uczy nas — twierdzi dr Langer — że wynalezienie straszniejszego środka walki nie zapobiega im, a odwrotnie, pobudza do odkrycia jeszcze okrutniejszych, bardziej skutecznych rodzajów broni. Kto wie, czy w odpowiedzi na bombę atomową nie zostanie wynaleziony środek, powodujący detonację 10



(Dublin Opinion — reprod. Time)

Bomba atomowa w wersji z epoki kamiennej „... Ta nowa broń potoży kres wszelkim wojnom”.

mil szczęśliwych powietrza, w którym znajduje się samolot lub rakietą, wiozące bombę atomową.

W tych rozważaniach należy mieć ponadto na uwadze, że nie maszyny, lecz człowiek jest twórcą wojen. Maszyny są tylko środkami, którymi dysponuje człowiek.

Trudno odmówić słuszności przewidywaniom dr Langer'a, nawet tym dotyczącym życia podziemnego. Nie są to rzeczy niemożliwe. Fantazje Wells'a okazały się najzwyczajszą prozą. Możemy tylko ubolewać, że do czasu realizacji fantazji dr Langer'a przejdziemy do lepszego życia pod ziemią, posługując się bardziej powszechnym środkiem transportowym i w innych zgoda zamiarach.

Perspektywy wojny atomowej nie są różowe. Fachowcy twierdzą, iż nie jest wykluczone skonstruowanie bomby atomowej z wodoru. Jeśli weźmiemy pod uwagę, że jest to najbardziej powszechny w przyrodzie pierwiastek, musimy dojść do przekonania, że pierwszy wybuch tego typu bomby zapewniłby kuli ziemskiej przekształcenie się w płonącą jak słońce planetę. Jakkolwiek moglibyśmy mieć tę satysfakcję, że oświeciłibyśmy część kosmosu, lecz nie wiem, czy wielu jest dzisiaj entuzjastów tak „słonecznej” przyszłości.

Z drugiej strony przeczy tym obawom oświadczenie dr Ernesta O. Lawrence'a wydane 5 lat temu.

„W rzeczywistości nie ma tak wielkiego niebezpieczeństwa, gdyż strzec nas będą przed nim wrodzone właściwości neutronu... Jak wicie, powolne atomy mają wielką siłę rozbijania. Użyjemy tej siły do wyzwolenia energii ładu atomowej. Lecz w miarę trwania eksplozji, elementy podlegające rozbiciu stawać się będą gorące do białoci. Równolegle ze wzrostem temperatury wzrośnie szybkość neutronów.

W miarę wzrostu szybkości, neutron utraci na sile rozbijania, a zyska na sile penetracji. Wkrótce też wszystkie wyzwolone neutrony przechodząc będą przez atomy bez rozbijania ich, dzięki czemu proces eksplozji ulegnie naturalnemu wymarciu. Lecz w międzyczasie zdążymy uzyskać dość energii, trwającej przez dobrą chwilę”.

Niestety, chodzi o tę „dobrą chwilę”, w czasie której może zginąć pół miliona ludzi. To też świat nie ma podstaw do jasnego spojrzenia w przyszłość. Wojny tworzy człowiek, nie wynalazek.

Nowa era polityczna, rozpoczęta nad Hiroszimą dzielić się będzie na dwa okresy:

- 1) lata, gdy bomba pozostanie wyłączną własnością Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Kanady, w którym to okresie — ufamy — wojny atomowej nie będzie i
- 2) lata, gdy inne narody zdobędą tajemnicę produkcji i wtedy — jesteście pełni obaw — rozgorzeć może najokrutniejsza, jakkolwiek krótkotrwała, super-błyskawiczna wojna atomowa.

Są ludzie, którzy są skłonni uwierzyć, że bomba atomowa nie będzie narzędziem przyszłej wojny, podobnie jak narzędziem minionej nie były gazy. Analogia ta nie wydaje się słuszną. Jeśli weźmiemy pod uwagę trudności praktyczne wojny gazowej i nieskomplikowany sposób walki bombą atomową, zagadnienie to w innym przedstawi nam się świetle.

PRZYSZŁOŚĆ? Jaką więc przyszłość gotuje światu atom?

Czy stanie się on dlań zagładą, czy błogosławieństwem?

Gdyby atom pozostał w rękach narodu wolnego — a naród wolny to ten, który nie ma niewolników — ludzkość mogłaby rozpocząć budowę szklanych domów. Jeśli jednak nad światem zawisła groźba opanowania tajemnicy przez niewolników — a niewolnikiem jest ten, który uciska innych — ludzkość tkwić musi w niskich ziemiankach i czekać zagłady, lub decyzji ludzi wolnych uczynienia z atomu błogosławieństwa. Lecz nawet wtedy, w chwili tej wielkiej decyzji, atom stać się może narzędziem wojny.

K. Zamorski

Z ł u d y

(Miesięczny przegląd wydarzeń)

„Atomistyka”

Chodzi oczywiście o atomistykę polityczną. Tygodnik amerykański „Time” pokusił się o zebranie zasad atomistyki politycznej, tak jak je widzi publiczność amerykańska i amerykańscy politycy. Oto one:

1. Broń oparta o zastosowanie energii atomowej mogą z łatwością być zastosowanie energii atomowej, przynajmniej do czasu, gdy świat nie nabierze przekonania, że posiada dostateczną kontrolę tej broni. Materiały używane w zakładach opartych o zastosowanie energii atomowej mogą z łatwością być zastosowa-

wane do produkcji bomb atomowych.

2. Nie należy oczekiwać żadnej obrony: ani naukowej, ani wojskowej.

3. Jedyną praktyczną możliwością obrony jest porzucenie miast. Przeprowadzenie planu dystrybucji ludności i kluczowych gałęzi przemysłu amerykańskiego w myśl tej zasady kosztowałoby 250 miliardów dolarów.

4. Należy oczekiwać znacznie potężniejszych „ładunków atomowych”.

5. Broń atomowa może uśmiercić 20% ludności państwa w ciągu godziny. Żadne państwo nie straciło dziesięciu procent swej ludności w wyniku działań wo-

jonnych w ciągu wszystkich lat drugiej wojny światowej.

6. Żadna wielka tajemnica nie osłania bomby atomowej. Stany Zjednoczone znają jedynie niektóre szczegóły produkcyjne; inne narody mogą je poznać w ciągu kilku lat.

7. Wszystkie większe mocarstwa mają dostęp do potrzebnych surowców. Uran jest dostatecznie szeroko rozrzucony po świecie, a broń atomowa oparta o inne bardziej pospolite surowce należy zapewne do możliwości w przyszłości.

8. Koszt bomby atomowej również nie chroni jej. Każde państwo, które może pozwolić sobie na wielką armię czy flotę — może pozwolić sobie także na bombę atomową.

9. Prześcignięcie nieprzyjaciela w wyścigu produkcji bomb atomowych nie daje przewagi. Dwieście bomb może być czymś znacznie lepszym, niż 100 bomb. Lecz 10.000 bomb to nic lepszego od 5.000, gdyż 5.000 bomb może zniszczyć wszystkie ważne obiekty w danym państwie. W rezultacie małe, stosunkowo biedne państwo może pokonać większe, bogatsze.

10. Broń atomowa zachęca do agresji, gdyż pomnaża korzyści z zaskoczenia.

11. Kontrola międzynarodowa będzie trudna. Eksperci będą musieli śledzić za tym, co się dzieje z surowcami na każdym etapie produkcji, co będzie rzeczą niemal niemożliwą w kraju, który zechce uniknąć kontroli.

12. Ogłoszenie danych o postępach badań atomowych zmniejszy wzajemny brak zaufania, lecz nie jest możliwa całkowita narodowa czy międzynarodowa kontrola badań atomowych.

Nie brak w prasie amerykańskiej głosów, że w Stanach Zjednoczonych nie można mówić o rozważaniach na tematy bomby atomowej, a tylko o „błądzeniu po omacku” (groping).

Wśród głosów o bombie atomowej padła również przestroga znanego uczonego Russella, że znacznie mniejsze będą straty, o ile wojna z użyciem bomby atomowej rozpocznie się przed jej.

Bez wzajemności

Polityka sowiecka uczyniła z wydania Rosji tajemnicy bomby atomowej problem nr. 1. Sowiecki komisarz, ten sam, który jest współodpowiedzialny za najbardziej bezwstydną gwałt rej wojny, napad na Polskę do spółki z Niemcami, twierdził: „Użycie bomby atomowej wykazało jej ogromną siłę destrukcyjną. Lecz nie wypróbowano dotychczas energii atomowej jako metody zapobieżenia agresji i zabezpieczenia pokoju”.

W polemice anglosascy mężowie stanu odwołali się do argumentu, że wszystkie dotychczasowe ustępstwa na rzecz Rosji okazały

się nieskuteczne, a ujawnianie Rosji tajemnic wojskowych nie spotkało się z wzajemnością. Mówił Churchill: „W czasie wojny oddaliśmy Rosji tajemnicę radaru i wielu innych wynalazków. Nie było jednak godnej uwagi wzajemności ze strony nauki rosyjskiej... Toteż nie możemy dopuścić Rosji do tajemnic arsenałów anglosaskich, bo gdyby okoliczności się odwróciły i gdybyśmy my lub Amerykanie prosili



(Newsweek)

Ulica warszawska jesienią 1945 r.

o podobny dostęp do arsenałów sowieckich — nie udzielonoby go nam”.

Podobnie na brak wzajemności sowieckiej narzekał Bevin.

W momencie wyjazdu premiera Attlee na rozmowy z prezydentem Trumanem należało przyjąć, że cała opinia brytyjska stoi na stanowisku potrzeby zachowania tajemnicy bomby atomowej jako narzędzia polityki i przewagi anglosaskiej nad nielojalnym partnerem.

Demokracja i demobilizacja

Rozważając siły sowieckie i anglosaskie, prasa amerykańska i angielska ustawicznie podkreśla upadek prestiżu sowieckiego w Europie na skutek demoralizacji armii sowieckiej. „Żadna armia okupacyjna nie jest popularna, a grubiańska, żyłwata armia czerwona jest nieprześcignionym ambasadorem niechęci. Im dłużej gdzieś Rosjanie pozostają na okupacji, tym ich obecność i polityka budzi większą odrazę.

nnie
cia.
amy
na-
em-
nie
ów
ró-
sili

Ciągle podkreśla się, że „syberyjscy myśliwi, uzbecki rolnicy, kozacy z Kubania w Europie poculi się jak dzieci, które odkryły zabawki, jakich nigdy nie było w ich komunistycznej wylegarni”... „Wielu z nich chciało mieć naraz wszystkie te zabawki, więc zdezerterowało. W jednej strefie berlińskiej tysiące uciekały każdego miesiąca”.

Te „dzieciaki” przeważnie jednak nie uciekają, lecz rabują „zabawki” widziane po raz pierwszy w burżuazyjnych krainach czarów. Dla zabawy te „grzeczne dzieciaki” również gwałcą itd.

Fakt demoralizacji armii czerwonej naogół nie budzi znaczniejszych sporów wśród obserwatorów anglosaskich. Natomiast coraz częściej pojawiają się powątpiewania na temat demobilizacji armii czerwonej. Niezależnie od niepewnych danych cyfrowych coraz częściej powątpiewa się, czy istotnie Rosja demobilizuje

w tempie katastrofalnym przy braku nowego określonego planu odnośnie sił, któreby wyrównały zmniejszenie się potencjału wojennego na skutek dokonywanej w gwałtownym tempie demobilizacji.

Amerykański „Nesweek” podaje reportaż z 15. armii amerykańskiej: „Niemieccy cywile pomagają we wszystkim. Nie robią tylko pobudki i nie podpisują dziennych raportów... Pełni pułkownicy czekają ciągle jeszcze na gwiazdkę generalską. Szeregowcy siedzą, gwarzą, liczą swe punkty i wysłuchują wzajemnych utyskiwań... Nawet Niemcy są zaniepokojeni... Niektórzy uciekają do strefy francuskiej... z obawy, że „Rosjanie przyjdą”.

Na alarm z powodu tempa demobilizacji armii amerykańskiej a przede wszystkim z powodu psychicznej demobilizacji narodu amerykańskiego uderzył szef sztabu armii amerykańskiej gen. Marshall: „W chwili obecnej, w wyniku rozległego kryzysu psychicznego narodu amerykańskiego, demobilizacja stała się w rezultacie rozpadem (desintegration), rozpadem nie tylko sił zbrojnych, ale wszelkiej koncepcji naszej odpowiedzialności w stosunku do świata. Jeżeli mamy wypiełgnować nowe dziecko — organizację narodów zjednoczonych — i w ten sposób ustalić możliwość jakiegoś przyzwoitego porządku przyszłego świata, muszą być natychmiast określone przynajmniej podstawowe zasady naszej powojennej polityki w skowej... Dziś jeszcze jesteśmy silni, lecz przestaniemy być siłą w ciągu kilku miesięcy, jeżeli nie przedsięwziemy pozytywnych i zdecydowanych kroków...”

Groźby

Polityka sowiecka, nie potrzebująca ustalać „podstawowych zasad powojennej polityki woj-skowej” ani przedsięwziąć „pozytywnych i zdecydowanych kroków” świetnie wykorzystuje nadal, mimo całej przewagi atomowej Anglosasów, swą pozycję gracza wiedzącego czego pragnie. Cofając się w miarę potrzeby na drugorzędnych odcinkach — stawia stale coraz to nowe żądania streszczające się ostatnio w dwu zasadniczych: wydanie tajemnicy bomby atomowej i dopuszczenia Z. S. R. R. do kontroli nad Japonią, przy równoczesnym ponawianiu żądań w basenie Morza Śródziemnego.

Doprowadziło to do znanego stwierdzenia Churchilla, że Rosja Sowiecka podchodzi pod gardło brytyjskiego imperium, gdy w dniu 8 listopada mówił on w Izbie Gmin: „Nie można nie stać się podejrzliwym, gdy jedno z wielkich mocarstw chce dobrać się do samego gardła brytyjskiej wspólnoty narodów... Sądzę, że musimy położyć kres tym żądaniom zmian terytorialnych”.



(Time)

„Dziecko europejskie” symbol zimy
1945 — 46 r.

gruntownie swą armię, czy raczej ją tylko przeorganizowuje i uzupełnia armiami krajów podbitych, jak np. jugosławiańską, czeską, polską.

Równolegle z tym pojawia się szereg zastrzeżeń czy demobilizacja armii alianckich, szczególnie amerykańskiej, nie posuwa się naprzód

Prezydent Stanów Zjednoczonych zapewnił, że Stany Zjednoczone traktują posiadaną tajemnicę bomby atomowej i swą potęgę militarną jako „święte powiernictwo” i że użyją swej potęgi wojennej dla utrzymania pokoju.

Do serii grózb Molotow wniósł zapewnienie, że „bomba atomowa nie może być utrzymana w tajemnicy” i że „my (Rosjanie) również będziemy mieć energię atomową i wiele innych rzeczy”.

W takiej atmosferze pierwszych grózb i pierwszych alarmów mających na celu psychiczną mobilizację społeczeństw rozpoczęły się rozmowy waszyngtońskie wielkiej trójki anglosaskiej: prezydenta Trumana, premiera Attlee i premiera kanadyjskiego Mackenzie Kinga. Poświęcone są one problemowi energii atomowej. Wg. Reutera punktem wyjścia mają być trzy sformułowania premiera brytyjskiego:

1. Wielka Brytania, Stany Zjednoczone i Kanada wspólnie powinny zgodzić się na oddanie całej tajemnicy bomby atomowej i jej produkcji w ręce Rady Bezpieczeństwa Narodów Zjednoczonych.

2. Zależy to jednak od równoległego układu z innymi wielkimi potęgami, które powinny zapewnić, że zarówno obecnie jak i w przyszłości oddadzą tajemnicę swych własnych ważnych odkryć naukowych Radzie.

3. Rosja powinna złożyć wyczerpujące oświadczenie odnośnie ostatecznego planu swego bezpieczeństwa, tak, by można go wzajemnie przedyskutować i przyjąć.

Dalecy jesteśmy od wyciągania z depeszy Reutera ostatecznych wniosków, nie mniej jednak zwracamy uwagę czytelników na te rysy wspólczesnej atmosfery politycznej, które ciągle jeszcze przypominają atmosferę Monachium.

Ciąży nadal złuda, że może mieć jakąś wartość „ostateczna” oświadczenie rosyjskie!

Nasuwa się oczywiście pytanie, co będzie, gdy Rosja nie określi swych „ostatecznych” żądań, lub gdy żądania „ostateczne” okażą się nie do przyjęcia.

Popatrzmy, jaką na to pytanie daje odpowiedź amerykański tygodnik „Newsweek” swym czytelnikom: „Idea jednego świata ciągle jeszcze dominuje w myśleniu prezydenta Trumana, sekretarza stanu Byrnesa i innych współtwórców amerykańskiej polityki zagranicznej. Realizacja idei jednego świata ciągle jeszcze jest celem rządu amerykańskiego. Lecz oficjalni rzecznicy dopuszczają już obecnie możliwość podziału świata powojennego na dwa wielkie bloki: jeden — anglosaski, drugi — rosyjski i cały szereg podbloków. Bloki te nabiorą większego znaczenia, niż Organizacja Narodów Zjednoczonych. To, że prezydent Truman w swym ostatnim przemówieniu poświęconym polityce zagranicznej nie potępił, jak to zwykle czyni, bloków i polityki równowagi potęg, jest rzeczą znaną, ale nie znaczy to, że polityka Stanów Zjednoczonych nagle zmieniła kurs. Rząd

Stanów Zjednoczonych nadal żywi nadzieję, że Organizacja Narodów Zjednoczonych będzie bazą powojennej struktury świata, a bloki państw będą jej podporządkowane. Jednakowoż o ile Rosja utrwali swój blok wschodnio-europejski przez spreparowanie polskich i bałkańskich wyborów i opanowanie tamtejszych rządów, Stany Zjednoczone przypuszczalnie poprą brytyjski plan organizacji bloku zachodnio-europejskiego. Z kolei, o ile blok sowiecki będzie działał w ramach Organizacji Narodów Zjednoczonych, również anglo-amerykański blok pozostanie w jej ramach, w przeciwnym razie bloki pozostaną poza Organizacją Narodów Zjednoczonych.

Dramatycznie bronił swego prawa do stosunków dobrosąsiedzkich i organizacji ich w blok zachodni — brytyjski minister spraw zagranicznych Bevin, wołając: „czyż jestem zbrodniarzem, gdy twierdzę, że Wielka Brytania winna zawrzeć przyjaźń ze swoimi sąsiadami?”

Więc — blok zachodni w odpowiedzi na ekspansję sowiecką. Ale do czego ten blok będzie zdolny, na co zdecydowany? A co z narodami poza wschodnią granicą bloku?

Prezydent Truman w dwunastu punktach, w których formułował wytyczne swej polityki, przyrzekał: „Wierzmy w odzyskanie suwerenności i własnego rządu przez wszystkie narody, które zostały tego pozbawione siłą... Nie zatwierdzimy zmian terytorialnych w żadnej części świata... o ile zmiany te nie zostały dokonane przy pomocy swobodnie wypowiedzianego życzenia zainteresowanego narodu”.

Wybory i plebiscyty

Szukajmy proberzu dla słów „suwerenność” i „własny rząd”. Jak powstał taki „własny” rząd w Polsce — wiadomo. Można na to odpowiedzieć: „Na Węgrzech przez nacisk anglosaski i groźbę nieuznawania rządu węgierskiego stworzono warunki, w których pomimo okupacji sowieckiej w ostatnich wyborach partia drobnych właścicieli zdobyła 58 % głosów, socjaliści 22 %, a komuniści tylko 14 %”. Wybory węgierskie były pierwszymi z serii wyborów w krajach pod okupacją sowiecką. Po nich kalendarzyk przewidywał wybory w Jugosławii, Bułgarii, Austrii, Rumunii. Względna swoboda dana wyborcom węgierskim posłuży zapewne do osłonięcia oszustw wyborczych w Jugosławii i w innych krajach. Wybory jugosłowiańskie bez udziału opozycji, z jedną listą Tita, były zwykłą szopką, w której nie zabrakło typowo sowieckich ucił i radosnych pochodów w dniu wyborów, czy głosowania rodzinnej wioski Tito w stu procentach za tyranem Jugosławii. Cofnięcie przez króla pełnomocnictw radzie regencyjnej i pozbawienie podstaw prawnych samego rządu Tito nie dało żadnego echa w postawie mocarstw anglosaskich, natomiast nawet „Stars and Stripes” pośpieszyły z „demokratycznym” komentarzem —: „Po przytłaczającym zwycięstwie Tito przypuszczalnie ostatnia przeszkoda do ogłoszenia republiki została usunięta, a król Piotr pozostanie na wygnaniu bez tronu”. „Nie było żadnych incy-

dentów w dzień wyborów (kto miał je robić: pomordowani, więzieni czy sterroryzowani?), chociaż, jak donoszą korespondenci, entuzjazm dla Rosji był widoczny w postawie wielu głosujących". W tym obłędzie korespondent „Stars and Stripes” nie omieszczał pocieszyć czytelnika, że „korespondenci byli witani okrzykami na cześć Stanów Zjednoczonych i W. Brytanii”.

Wielka Brytania i Stany uznały rząd narzucony Albanii, zobowiązując go do przeprowadzenia wolnych wyborów. Komentarz do uznania: „Chociaż reżim Hodja jest opanowany przez komunistów, ale są w nim również niekomuniści i nie jest to rząd narzucony krajowi z zewnątrz”.

W wyborach na Zachodzie narody potwierdzają swą wolę gruntownych reform społecznych przez szukanie zadośćuczynienia potrzebie realizacji sprawiedliwości społecznej, uruchamiają nowe siły, nowe ruchy. Jak cię towarzyszy temu widmo bolszewickiej demagogii i wykorzystania dążenia do sprawiedliwości społecznej dla celów sowieckich.

Wybory municypalne w Wielkiej Brytanii oddają miasto za miastem socjalistycznej większości. Naród angielski w ten sposób ponownie aprobuje program społeczny Labour Party i już dokonane reformy z upaństwowieniem banku angielskiego na czele.

Wybory francuskie zakończyły się plebiscytem aprobującym politykę de Gaulle'a. W wyniku ich trzy partie: komunistyczna, socjalistyczna i katolicko-postępowa M.R.P. zdobyły w przybliżeniu równą ilość głosów.

Wybory w Danii były wyjątkiem. Dały zwycięstwo ugrupowaniom prawicowym.

Wojna nie-domowa

Wojna na Dalekim Wschodzie miała dla Chin skończyć się nie tylko rozbrojeniem wojsk japońskich, ale i przywróceniem chińskiej suwerenności na całym obszarze Chin, jak również w Mandżurii. Tę zasadę potwierdzał m.in. układ zawarty przez Soonga w Moskwie. Moskwa oczywiście „ze znaną skrupulatnością przestrzega zaciągnięte zobowiązania”. Na teren Mandżurii nie wpuściła 8-ej komunistycznej armii chińskiej. Natomiast w Mandżurii pojawia się coraz więcej komunistów uzbrojonych, ale „cywilnych”. Wojska chińskie rządu marszałka Czang-Kai-Szeka, które z amerykańskich okrętów 7-ej floty rozpoczęły lądowanie po obu stronach Wielkiego Muru nie mogły skorzystać z neutralnych portów w Port-Arturze i Dairen z powodu sprzeciwu sowieckich władz okupacyjnych. Wojska Czang-Kai-Szeka posuwając się wzdłuż linii kolejowych od rzeki Żółtej na północ i od wybrzeża napotykały na opór 4. i 8. komunistycznych armii. Niezależnie od toczących się stale a raczej nieprzerwanych pertraktacji rozpoczęła się w Chinach regularna wojna, którą przewódcy komunistyczni zapowiadają nawet na 10 lat, „o ile będzie potrzeba”. Wojnę prowadzą komuniści chińscy według metod sowieckich włącznie z zasadą pozostawiania nieprzyjacielowi gołej ziemi i narażenie przez

zniszczenia torów kolejowych opóźnili posuwanie się wojsk Czang-Kai-Szeka na północ ku Mandżurii, gdzie tymczasem rozmontowuje się przemysł mandżurski w myśl zasady, że Rosji Sowieckiej należy się sowita rekompensata w postaci nowoczesnych urządzeń przemysłowych



Obszar pomiędzy rzeką Żółtą i Wielkim Murem jest opanowany w dużym stopniu przez komunistów i strzeżony przez 8-mą armię komunistyczną. Wschodnia część obszaru pomiędzy rzeką Żółtą i Yangtse jest obszarem penetracji komunistycznej i działalności 4-ej armii komunistycznej.

Mapka z pisma amerykańskiego „Time” z okresu przed wybuchem otwartego konfliktu — przedstawia obszary okupacji i penetracji komunistycznej w Chinach północnych, jak również planowane ruchy marszałka Czang-Kai-Szeka i floty amerykańskiej, które miały na celu rozbrojenie Japończyków i przywrócenie władzy rządowi chińskiemu nad prowincjami Chin północnych.

Mandżurii za tak skuteczny kilkudniowy udział w wojnie na Dalekim Wschodzie. Stawka, której bronią komuniści z Jenanu, to Chiny północne, opanowane częściowo przez ich armie, Mandżuria, zapobieżenie konsolidacji całych Chin.

Nie można znaleźć fałszywszej nazwy dla obecnej wojny w Chinach jak wojna domowa, choć w chińskim domu i chińskimi rękoma toczy się ona o sowieckie wpływy i ich utrzymanie w Chinach, pomimo moskiewskich układów Szoonga.

Znacznie bardziej skomplikowane jest podłożo walk na Jawie. Wewnątrz wyspy podobno gromadzi się 100.000 armia Indonezjan, przewodca nacjonalistów indonezyjskich Soekarno zdaje się tracić panowanie nad własnymi masami, łądają poważne siły brytyjskie, Amerykanie zachowują neutralność. Holenderskie projekty statutu dominialnego dla Jawy narazie zostały przez nacjonalistów jawańskich odrzucone.

Okupacja, demokracja i śmierć.

Wbrew wszystkim wysiłkom propagandy sowieckiej, pomimo pomieszanania się w nowotworzonym Polskim Stronnictwie Ludowym potrzeby N.K.W.D. ujawnienia polskich ośrodków aktywnych i naturalnej w społeczeństwie tendencji do znalezienia jakiejś formy walki o własne prawa, sytuacja w Polsce pozostaje jasna. Jej najlepszym wyrazem jest zaproszenie przez agenturę Bieruta sowieckich wojsk do otwartej okupacji. Walka z bandytyzmem służy jako pretekst. Niemożność opanowania sytuacji w Polsce przez agenturę Bieruta, bez stałej pomocy sowieckiego terroru, oto istotna przyczyna.

Dopuszczając tam, gdzie jest potrzebne dla N.K.W.D., pewną opozycyjność, równocześnie nie zapominają sowieccy pełnomocnicy w Polsce o potrzebie wychowania narodu polskiego w duchu sowieckiej „demokracji”. Sam Gomułka tłumaczył, że Polsce nie jest potrzebna demokracja typu zachodniego, która przez mnogość stronnictw rozбивa jedność obozu demokratycznego. Ostatnio nadchodzące z Polski wiadomości wskazują na zwrócenie przez okupantów specjalnej uwagi na młodzież a nawet dzieci, które nagminnie zabiera się do specjalnych obozów na edukację.

Mnożą się raporty cudzoziemców, którzy zetknęli się z polską rzeczywistością, o stosunkach w Kraju. Ostatnio Szef U.N.R.R.A. w Polsce brygadier Dewey oświadczył m.in.: „Widziałem większość krajów dotkniętych wojną w Europie. Według mojej opinii z nich wszystkich Polska najbardziej potrzebuje pomocy U.N.R.R.A.... Wśród Polaków mnoży się gruźlica... W niektórych okęgach co trzecie dziecko umiera w pierwszym roku życia”.

Pod okupacją, za mgłą całej maszyny blagi sowieckiej „demokracji”, zdziesiątkowany potwornym żniwem śmierci obu okupacji — niemieckiej i sowieckiej, Kraj patrzy na nas, jego żołnierzy za granicą i żąda, żąda ofiarności na jego miarę i wytrwania w walce, którą za siebie i za skrepowany Kraj prowadzić musimy.

J. 2.

Na ziemi włoskiej

Na tej ziemi — malowanej tęczą
Już niczego oczom nie braknie,
A więc czemu pieśni nie dźwięczysz
Horacjańskim, pogodnym taktem?!

Tutaj struny słoneczne trącał
Tenerorum lusor amorum —
Jeszcze dzisiaj nuty się płaczą
Pośród białych strzaskanych kolumn.

Ziemio włoska, kraino urody,
Czemu smutku nie zdejmiesz z duszy? —
Przechodzimy przez twoje ogrody
Ludzie obcy, — ślepi i głusi.

Choć tak blisko tutaj do Boga,
Że modlitwa jest tylko zachwytem —
Twarz kryjemy w wspomnieniach, jak w dłoniach
Pełnych lez bolesnych i skrytych.

Jan Ołochowski

Na Mickiewiczowskim szlaku

Idąc przez Włochy Mickiewiczowskim szlakiem trudno nie zawadzić o Bolonię. Wiedzie on tamteady i tam też pozostało stosunkowo najwięcej śladów o głębszym znaczeniu. Czytelnikom wiadomo już niewątpliwie, jakie to węzły zostały zadzierżgnięte przez wielkiego wieszczę z tym miastem, już choćby z artykułu pt. „Akademia im. Mickiewicza w Bolonii”^{*)}

Poeta i polityk wiódł w r. 1848 zastęp polskich legionistów do boju o wolność Włoch, manifestując w ten sposób żywotność praw swego kraju do niepodległego bytu. Ciekawe jest więc prześledzić, jak się ten nurt patriotyczny wówczas połączył z tradycjami Bolonii i jak naniesiony druga falą dziejów splata się on z dniem dzisiejszym.

Bolonia bowiem stanowi od wieków spłot dwóch własnych tradycji. Jednej naukowej, dziś może przysypanej trochę pyłem zawieruchy wojennej, i drugiej handlowej, napewno dziś nieco płytszej niż kiedykolwiek przedtem, ale w porównaniu z innymi ośrodkami kraju wyglądającej wcale zasobnie, wręcz rozkwitającej. Te dwa nurty też wyraźnie przeplatają ulicami miasta podcieni, galerii i arkad nieskończonych, które sprawiają, iż jest to pod względem klimatycznej wygody przechodniów jedno z może najrozsądniej zbudowanych skupisk miejskich. I słońce nie przypiecze, i deszcz nie zleje do nitki. To jakby zmowa rozsądku kupca z rozumem uczonego, która zmusiła architekta do tych niekiedy niezwykłych się tunelów pod filarami, które na przyszłość walęśającym się w poszukiwaniu charakteru miasta robią wrażenie koszmarnego labiryntu. Raz zaplątawszy się w nim nie ma z niego ani wyjścia, ani powrotu do własnego domu.

Otrzasnąwszy się z tego przelotnego wrażenia każdy szybko uchwyci subtelniejsze cechy charakteru życia miejskiego Bolonii. Jeśli bowiem pod arkadami na ul. Zamboni, wiodącej od Dwóch Wież do gmachów uniwersyteckich, przecieła strunyk trochę wymizerowanej młodzieży studenckiej i skromnie wyglądających luminary wiedzy wszelakiej, to pod galeriami sąsiadującymi z placem Niepodległości, Wiktora Emanuela, czy ul. Farini — tej całej dzielnicy w cieniu katedry św. Petroniusza — w godzinach handlowych przetacza się gęsty tłum przechodniów, zacinając się tu i ówdzie o wypełnione wystawy sklepów z towarami łokciowymi, konfekcjami, zegarkami, perfumami czy nawet delikatkami. W tych ostatnich króluje symboliczne balerony, mortadele i salami. Takiemu spacerowi akompaniują wrzaskliwy ruch kołowy pojazdów motorowych na jezdni, w którym dudnienie wielkich wozów wojskowych konkuruje z nieznośnym turkotem cywilnych trójkółek, nie mających najmniejszego względu dla majestatycznej ciszy, panującej wewnątrz wielkich miejscowych księgarni wydawniczych.

Raz po raz wylaniający się z tego koryta życia miejskiego zabytek architektury co najmniej z epoki renesansowej, odrodzienia, wieża, kościół, pałac, czy też zwykłe — na tutejszy stan — historyczne kamienice czynszowe są znów w takim — chciałoby się powiedzieć — nadmiarze, iż wydają się najoczywistszym zdarzeniem w tym niedocenionym dla swej urody budowlanej mieście. W nim to klasyczny smak estetyczny idzie w parze z wybrednym a żarłocznym gustem kulinarnym, któremu Bolonia zawdzięcza niewątpliwie swą słynącą na cały świat kuchnię. Osobny akcent dodają do tej całości urodziwe boloniantki, które przy właściwej rasie śródziemnomorskiej drobnej figurze wykazują wielką różnorodność typów i sposobów obejścia.

Stosunkowo dyskretnie, ale nie mniej bardzo bolesne ciosy zadane przez wojnę śródmieściu sprawiają, iż niejeden zabytek architektoniczny, jak kościół św. Franciszka, czy gmach biblioteki zw. Archiginnazjum, jest mocno zniszczony, w wielu kościołach i pałacach cenniejsze fragmenty jeszcze pozakrywane, galerie sztuki nadal niedostępne, a pierwszy pokaz malarstwa historycznego zapowiadziany był dopiero na październik. Nie więc dziwne, jeśli w tych warunkach uwaga załtakanego w tym mieście urlopowicza tym energiczniej zwróciła się ku odszukiwaniu tego, co było tu związane z Polską i czego właściwie już nie ma, lub czego ledwie pozostały drobne ślady zdane na niechybną zagładę i wszystko ścierający zab czasu.

Nie mniej dobra to była pora do przypomnień, bo niemal zbiegła się z wielkimi uroczystościami, które się tam odbyły z okazji nadania Dowódcy 2. Korpusu gen. Wł. Andersowi obywatelstwa honorowego miasta, a żołnierzom polskim różnych odznaczeń. Doskonale odpowiednik dla tych spotkań z polskimi żołnierzami na wyżynach bohaterstwa znaleźć można było w dawnych spotkaniach ducha, których symboliczny skrót każdy może znaleźć w przedśionku do Wielkiej Auli uniwersytetu. Tam bowiem na honorowym miejscu po obu stronach wejścia, stoja dwa popiersia dwóch największych chlub bolonńskiej Alma Mater: Dantego, który tam studiował, i Mikołaja Kopernika, Polaka (Polacco), jak to niedwuznacznie stwierdza napis, tak dziś, jak i przedtem, pomimo wszystkich rewindykacji niemieckiego okupanta podczas wojny i miejscowych fluktuacji politycznych za poprzedniego reżimu faszystowskiego. To świadczy, że Bolonia jest jednym z tych miejsc, gdzie najbezpośredniej zetknął się ze sobą geniusz narodu włoskiego i polskiego i gdzie to

^{*)} „Na szlaku Kresowej” nr. 7(25) z sierpnia 1945 r., str. 41—47.

materialstwo ducha nie po raz pierwszy przypieczętowane zostało „wyzwolenczym mieczem” żołnierza polskiego.

Nie miejsce tu i czas, by przypomnieć wszystkie te zetknięcia. W tym względzie wystarczy zasygnalizować tu istnienie artykułu Carlo Malagola pt. „I Polacchi in Bologna” w „Bologna — Album Storico”. Na razie ograniczyć się chcemy do podzielenia się naszą wersją o końcowych losach Akademii im. Mickiewicza, pozostawiając na przyszłość odbycie pielgrzymki po tych wszystkich miejscach, które w jakikolwiek sposób związane zostały z dziejami tej instytucji. Wersja ta pochodzi od ostatniego posiadacza spadku materialnego i duchowego po akademii, jej ostatniego sekretarza, mecenasa



Archiginnazjum w Bolonii

Witolda Olszewskiego, znanego prawnika bolońskiego, zapisanego na liście obrońców najwyższego trybunału kasacyjnego w Rzymie, doradcy prawnego konsulatu francuskiego przez długie lata, gdzieś aż spod Witebska rodem.

Los ponadspodziewanie przychylny pozwolił wydobyć z niepamięci ludzkiej i to nazwisko i jego adres. Właśnie w związku z odszukiwaniem co najmniej katalogu do księgozbioru przekazanego przez Akademię Biblioteczce Archiginnazjum, dyrektor jej Serra—Zanetti przypomniał sobie popularna postać sędziwego adwokata i odnalazł adres jego biura w śródmieściu. Ale nic nie było wiadome nikomu, czy biuro to jeszcze istnieje, pomimo częściowego zniszczenia domu przez bombę i czy senior Polonii bolońskiej w ogóle żyje jeszcze.

Bo okazało się, że do biura od dawna nie zachodził, że chorował i dalsze drogi wiodły do jego mieszkania prywatnego, położonego gdzieś na skraju miasta. Wkrótce jednak szczęśliwy zbieg okoliczności pozwolił skrócić wszelkie dalsze poszukiwania i przekonać się, iż pomimo swoich 70 lat mec. Olszewski trzyma się jeszcze wcale dziarsko i z radością wspomina dawne dzieje Akademii im. Mickiewicza, z której istnieniem w ostatnim okresie związane były jego lata młodości i wiek męski.

Spotkanie nastąpiło w lokalu kasyna oficerskiego, do którego jak mu tylko siły dopisywały, chętnie przychodził. Nie długo trwały formalności zapoznania się dwójga nieznajomych sobie przed chwilą ludzi, a po godzinie czy półtora rozmowy — niby dwójga bliskich sobie przyjaciół. Rozmowa potoczyła się w szybkim tempie, bo zaraz okazało się, że mec. Olszewski włożył — jak to się zwykło mówić — pół życia w bezskuteczne zresztą starania, aby Akademię utrzymać przy życiu. O rzeczach tak bliskich sobie chętnie i dużo się mówi chciwemu słuchaczowi.

Nie pomogły nalegania, aby dać rosółowi i pieczeniu pierwszeństwo przed Akademią — pieczeń raczej stygła, a pytaniom, odpowiedziom i zwłaszcza dygresjom nie było końca. I nie starczało nawet czasu na wytechnienie, czy otarcie kropki sosu krwawymi plamami znaczących nieposzlakowanej białości śnieżną brode.

Trudno jednak było wyczerpać temat choćby w najogólniejszych zarysach, jak trudno jest streścić pół życia 70-letniego starca. Wreszcie w opustoszałym kasynie rozbrzmiewał już tylko głos zapalonego oratora, który trochę zaniedbaną chwilami polszczyzną odtwarzał sytuację z przyszłości, sypał datami, nazwiskami, recytował całe przemówienia, przeżywał raz jeszcze to, co mogło mu się wydawać już zdane raz na zawsze na zatrącenie — martwą literą, przysypaną kurzem zapomnienia, czymś, co już dla nikogo nie ma żadnej realnej wartości.

Przekonawszy się, że dzieje pierwszych 5 lat Akademii są swemu rozmówcy dostatecznie znane, jak są one znane też i czytelnikom „Na szlaku Kresowej” ze wspomnianego na wstępie artykułu, adw. Olszewski tak mniej więcej przedstawił dalszy ciąg istnienia i wreszcie zgon tej jednej z nielicznych wówczas instytucji w swoim rodzaju na świecie, poza Rapperswillem, lub Biblioteką Polską w Paryżu. Ten ostatni etap istnienia łączył się z osobą prof. Santagata, który był nie tylko twórcą, ale i całą duszą Akademii.

Nie był to bynajmniej historyk, ani lingwista, jak by to można sądzić z jego zainteresowań. Nie był to też filolog, ani polityk. Był to — powiedzmy — „tylko” chemik, profesor chemii, który na studiach u uczniów Lavoisiera w Paryżu spotkał się za młodu z Adamem Mickiewiczem, z kolonią polską i ze sprawą polską i ożywiony wolnościowymi tendencjami swej epoki przejął się dogłębnie losem kraju maltretowanego pod trzema zabarami. Był zaledwie o kilkanaście lat młodszy od naszego wieszczą, bo urodził się gdzieś ok. 1810 r. i przeżył go o całe 45 lat, dosięgając Matuzalemowego wieku 90-ciu lat.

Spotkanie to mogło mieć miejsce po roku 1830, gdy Santagata jako student liczył zaledwie dwadzieścia-kilka lat. Ale wężyl rządzie-rznięte wtedy mógł zacieśnić i odświeżyć zarówno w korespondencji, na której ślady dotychczas nie udało się natrafić, jak i potem, podczas drugiego pobytu Mickiewicza we Włoszech, w r. 1848.

Wspomnień z tych czasów i wzbudzonego wówczas zapachu starczyło Włochowi na długie lata, skoro niepożyty profesor chemii pod 60-tkę miał jeszcze dość zapachu i iniekcji, aby założyć Akademię im. Mickiewicza w Bolonii w r. 1879 i stać się jej duszą aż do końca śmierci. Ślady jego czynnej działalności sięgają 75 roku jego życia i zachowały się w postaci broszurki z jego przemówieniami, wydanej w r. 1885.

Pomimo sędziwego wieku wykładał jeszcze na uniwersytecie aż do r. 1892. Wówczas musiał dopiero kapitulować, gdy został złożony długoletnia obłożna słabością, tak iż ani nie wychodził z domu, ani potem nie mógł w ogóle wstawać z łóżka. Na te prawie 10 ostatnich lat zabrał do domu z Uniwersytetu cały księgozbiór Akademii, który był właściwie w całości przez niego ufundowany.

Do ostatnich dni życia nie dawał za wygraną i zachęcał p. Michalinę Olszewską, matkę mecenas, docentkę prywatną literatur obcych na uniwersytecie bolońskim do dalszego prowadzenia Akademii. Co roku więc zapraszano różne sympatyzujące ze sprawą polską osobistości ze świata naukowego do prezydium Akademii, a czynności sekretarskie spadły szybko na barki młodego prawnika, syna docentki, którego pierwsze prace w Akademii sięgały lat studenckich; wspomnienia o prof. Santagata datują się od najmłodszych lat dzieciennych.

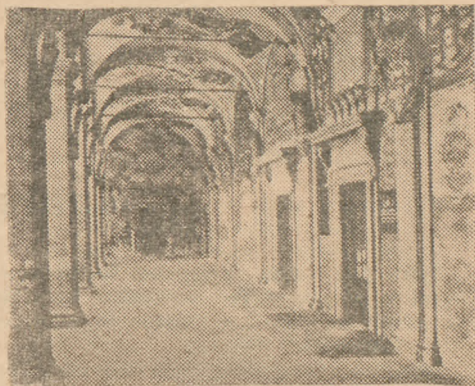
I z tych to lat mecenas pamięta do dzisiaj, jakie to były trudności z utrzymaniem formalnej ciągłości istnienia instytucji, i z uratowaniem księgozbioru Akademii. Okazuje się bowiem, iż największym wrogiem jej był nie kto inny, jak tylko pani Santagata, żona czcigodnego profesora, kobieta dużo od niego młodsza, pochodząca z ludu. Nie miała ona w ogóle żadnego zrozumienia dla całej działalności naukowej i ideowej swego męża, która jej zdaniem odводziła go od zadań życia praktycznego, zadań ojca rodziny i pana domu, sprowadzających się — w jej oczach — do zdobywania tylko jak największej ilości pieniędzy.

Znając usposobienie żony stary profesor prosił, aby Olszewscy zabrali jak najprędzej z jego domu książki o Polsce do siebie, gdyż uważał, iż grozi im od gospodyni największe niebezpieczeństwo. Nie chcieli jednak robić starcowi przykrości, ze względu na jego wielkie przywiązanie do tych zbiorów, i starano się o ile możliwości udobruchać (wówczas nie używano popularnego dziś terminu — appeasement) złowroga niewiasty. Udało się to aż do zgony profesora, po czym książki szybko powędrowały do domu państwa Olszewskich, gdzie pozostały do r. 1925.

Pogrzeb prof. Santagata nie obył się bez znamienitego incydentu, związanego z jego polonofilską działalnością. Mianowicie zgodnie z protokołem uroczystości żałobnych mowa pożegnalna u bram miasta wygłaszał jego następca na katedrze chemii, prof. Ciamecian. Był to jego największy wróg. I z tego powodu, iż Santagata był przez długie lata wierny szkole swego wielkiego mistrza Lavoisiera i niechę-

tnie widział różne nowinki, jak to byśmy dziś powiedzieli — modernistyczne. Traktowano go więc jako zacofańca. Ale wrogiem był Ciamecian i z tego też powodu, iż Santagata był idealistą, a jego następca — pozytywistą.

Dość, że na pogrzebie następca czcigodnego profesora rąbnął bardzo nietaktowną mówkę, w której z pobłażliwością wspominał działalność pedagogiczną swego poprzednika, twierdząc, iż czegoś tam się nauczył za młodu od uczniów Lavoisiera i coś z tego potem propagował wśród swoich studentów, nie zadając sobie trudu śledzenia postępów najnowszej nauki. Natomiast zajmował się sprawami krajów obcych.



Krużgunek bolońskiego archigimnazjum

Słyszał to 25-letni Witold Olszewski, już sekretarz Akademii, który pomimo silnej gorączki zwiłkł się z łóżka, aby osobiście pożegnać szanownego i umiłowanego przez siebie starca. Zapalał szlachetnym oburzeniem i w następnej części uroczystości pogrzebowych zabrał w imieniu Akademii głos nad grobem zmarłego, choć to nie było przewidziane programem.

Ze łzami w głosie, do dziś to dobrze pamięta, podkreślił moralną wartość altruizmu, który ożywił przez całe życie działalność zmarłego profesora. Wyraził żal, że tych wyższych stron duszy ludzkiej prof. Ciamecian nie widział w swym poprzedniku. I wreszcie z filozoficzną wyższością i nie bez zgrzytliwej ironii mówca zauważył, że widocznie w tym wypadku słuszną była zasada, iż każdy widzi w innym tylko te szlachetne cechy duszy, które sam posiada. Pamięć zmarłego została w ten sposób całkowicie pomszczona. Nie mniej razem z prof. Santagatą również i los Akademii schodził do grobu.

Co prawda idea Akademii przeszła w ręce matki mecenas, ówczesnej wielkiej znakomości naukowej na terenie Włoch, gdyż p. Michalina Olszewska, razem z znakomitym poetą Carduccim i jeszcze trzecią osobą powołaną była do przeprowadzenia reformy nauczania w kraju. Sławę zdobyła sobie świetną znajomością obcych języków i literatur. Z wielu katedr uniwersyteckich miała możność krzewić wiedzę o literaturze polskiej, wśród innych

ślowiańskich, choć były to czasy, gdy powszechna uwaga skupiała się na literaturze niemieckiej. Była też tłumaczką, przekładając m. in. Kraszewskiego na włoski. Gdy Michalina Olszewska zmarła w r. 1925, coraz trudniej było utrzymywać już prawie zupełną fikcję istnienia Akademii, pozostał bowiem wówczas tylko jej permanentny sekretarz, syn Witold Olszewski, a z dawnej liczby 300 członków, kto wie czy jeszcze 10 pozostało przy życiu.

Nie mniej powołując się jeszcze niekiedy na ten swój tytuł mec. Olszewski w ciągu pierwszej wojny światowej ogłosił coś ok. 300 przemówień politycznych na rzecz przystąpienia Włoch do walki z państwami centralnymi (Niemcy i Austro-Węgry) u boku aliantów. Został nawet raz za zbyt ostre akcenty antyniemieckie aresztowany. Potem pochłonęła go praca zawodowa i polityczna. Rodzina zaczęła się powiększać. Księgobiór Akademii zaczął

w zbyt ciasnym mieszkaniu coraz bardziej zawadzać. Postanowiono wówczas przekazać go gminie miejskiej. I faktycznie w roku 1925, jak o tym świadczy data na protokole darowizny, nastąpił akt przejścia księgozbioru przez bibliotekę Archigimnazjum. Kamień na grobie tej instytucji został ostatecznie przywalony.

Ostatnim echem działalności Akademii im. Mickiewicza w Bolonii była tu bodaj szczupła notatka - artykuł prof. Cantoniego o dziejach tej instytucji, ogłoszony w drukowanym biuletynie Archigimnazjum, gdzieś w latach 1925-28. Artykułu tego jednak przy pobieżnym wertowaniu roczników tego pisma nie udało mi się odnaleźć. Do losu resztek księgozbioru Akademii przysypianych gruzami rozbitej przez bomby dawnej auli anatomicznej w Archigimnazjum i do stanu obecnego innych miejsc związanych z Akademią wypadłoby powrócić innym razem.

On

Garść myśli

Życie jest walką. Żyje, kto zwycięża, a zwycięża silniejszy. Tak już jest i kto chce żyć, musi walczyć, kto walczyć chce zwyciężyć, musi zdobyć siłę.

Zdobycie — i utrzymać. Bo siła nie jest z nieba spadła manna — jest czymś, nad czym trzeba pracować, co trzeba stworzyć, co trzeba ciągnąć pracą nad sobą pielegnować.

Jest czymś, co trzeba w walce z sobą wykuć.

Dwa są składniki siły: rozum i wola. Rozum i wola w ciągłej ze sobą współpracy, w ciągłej walce wewnętrznej rodzą charakter i wiedzę.

Dają świadomość do celu wiodących środków, dają pewność w działaniu, prawie nieomyślność, dają odwagę, wytrwałość w realizowaniu planów.

Brak wiedzy, brak woli jej zdobycia, brak woli wprowadzenia w życie wniosków z niej płynących — to słabość, to z góry na siebie wydany, własną podpisaną ręką, wyrok śmierci.

Godną uwagi jest rzeczą, że w wieku złota i stali, w wieku, w którym jak echo rzeczy minionych brzmiały słowa o woli, rozumie — w tym właśnie wieku potężna, najstrasliwsza bronią jest ta, co w wole godzi: propaganda.

Jest rzeczą dziwną, że w wieku stali i złota nie kuznie i kopalnie, nie fabryki, nie rąboły — ale pracowni ludzi myślących i twórczych, niezonych, dyplomatów, pisarzy, są źródłem, ośrodkiem siły.

Siła się rodzi w człowieku, pochodzi z wewnątrz, nie z zewnątrz, z nizin wynosi na szczyty.

Siła nie szuka narzędzi, siła narzędzia tworzy, żywi się sama sobą.

Nie ma tak trudnych warunków, tak trudnej sytuacji, w których by praca nad sobą była niemożliwa.

Naród, który by i charakterem swoich synów i ścisłością oraz twórczością ich myśli górował nad swymi wrogami, nie może się dać zdławić, zwyciężyć — przemożenie, przewyższyć innych.

Pozycja wyjściowa, siła odziedziczona, bogactwa — znaczą dużo, lecz nie wszystko.

Myśl, wola bogactwa tworzą; myśl, charakter są rekojnia ich właściwego użycia. Bezmyślność, brak woli marnują je bezpowrotnie.

Wielkość rodzi się w walce, rodzi się w trudnościach. Z wielkich tego świata — wielkich ludzi i wielkich narodów — wielkaza częściej swą wielkość w cierpieniu poczęła.

Nie łatwość początków, lecz wielkość wysiłków jest miarą przyszłych osiągnięć.

Życie i współżycie nie są rzeczą łatwą. Marzenia o pokoju na ziemi, trwałym, sprawiedliwym, są snem, pięknym snem — bez wysiłku, bez twardego, żelaznego wysiłku nigdy się sen w rzeczywistość nie zmieni.

Po pełnym optymizmie śnie winien nastąpić okres pełnej wiary pracy.

Kto jest silny? Ten, co życiem swoim, swą pracą, działalnością, innym, nawet wrogom swoim jest potrzebny, kto nie siebie tylko, lecz i innych tworzy, buduje.

Silnym jest, kto wspiera innych — słabym kto wsparcia potrzebuje.

Siła życia — to wiedza i charakter.

Siła życia, prawo życia — to moc tworzenia, moc, którą daje wola i rozum, moc, którą daje miłość je łącząca, miłość rzeczy, o które się walczy, dla których się żyje.

Zdzisław M. Thurhaus — Tańkowaki

Wiersze Zofii Górskiej

Zofia Górka byłaby prawdopodobnie w normalnych czasach uroczym paniątkiem, które ukończywszy edukację w szkołkach Przytyka i Radomia, ku wielkiej dumie rodziców wyprawiliby się na polonistykę do Warszawy. Tam by okrutnie narzekała na gramatykę i inne starocerkiewnoślwiańskie cudactwa (poco to komu?), a ukradkiem pisywałaby swe gładkie liryki do jakiegoś „Bluszczu”, może do jakichś akademickich pisemek. Z łatwością prowadziłaby rozmowy o Norwidzie, o współczesnej poezji polskiej, ba, o Rimbaudzie, o Aragonie, o Valerym. Nareszcie wyszłaby za mąż.

Tu na emigracyjną glebę — niezależnie od przyszłych losów dwudziestoletniej panny, przypominającej sobie dziś z mozołem arkana sinusów i cotangensów w liceum — upadło to dziecko polskie jak okazałe, rasowe nasienie kultury polskiej. Napewno — nie wyrosła zeń ni egzotyczna orchidea, ni wyrafinowana kamelia, ni niewymierna Victoria Regia. Wyrósł skromniutki, uroczy, pięciwy mieczyk albo irys albo najlepiej — niezapominajka. Tak najlepiej — niezapominajka. Na dowód, że wyrasta samoswoja, z Bożej łaski, gdzieś na błotach, na leśnych polanach, nie wiedząc co to cieplarnie. Że prostotą równa jest kolorowi nieba. Że niezapominajkami dla umęczonej ziemi są jej wszystkie wiersze. I czy Zofia Górka wyrośnie na sławną poetkę (w jej poezji jest wiele tajemnic talentu), czy nie, stała się już tu u nas na emigracji maleńką gwiazdką na poetyckich niebiosach, na której rozpoznawaniu w ciemności ludzie próbują siły swego wzroku.

Zofia Górka, jako dziecko prawie, aresztowana została wraz z ojcem i gromadą dziewcząt i żołnierzy Podziemnej Polski przez Niemców za pracę w polskiej organizacji wojskowej w Radomiu. Ojca rozstrzelano. Zosia odbywała polską Drogę Krzyżową przez więzienia: Radomia, Kielc, Pińczowa, aż znalazła się na Kalwarii Polaków — w niemieckim obozie koncentracyjnym. Tam właśnie w Ravensbrück i przedtem w więzieniach w Polsce powstawały jej wiersze, nie na piśmie, ale w pamięci. I otóż w tym jest tajemnica ich czaru. Życie uderzyło różdżką w szyby dusz i wytrysnęły źródła poezji. Poezja płynie w wszystkich duszach, jak nurt podziemny wody pod glebą. Wielkie dzieje, wielkie wypadki wyzwalają te ukryte źródła. To tak samo, jak w poezji żołnierskiej. „Bo poezją — pisze Tymon Terlecki — jest raz to, co przedstawia najdoskonalszy, jedyny kształt wzruszenia i idei, to znowu to, co stanowi ich wyraz najbardziej zwykły i powszechnie zrozumiały. Raz poezja, właśnie ta mistrzowska, jest świadoma wszystkich mocy swoich, sposobów i uroków, drugi raz, jak ta żołnierska, jest świadoma instynktu, niejako organicznym wstrząsem uczucia”. Taka odmienna, instynktowna, przyrodzona, potrzebna sercu i stamtąd wypływająca jest poezja Górskiej.

Melchior Wańkowicz, który swoim przemysłem znalazł gdzieś i wziął w opiekę tulającą się Zofię Górską i rozmiłował się we wdzięku niezniszczalnej siły polskiego odrastania, pragnie wydać drukiem tomik poezji Górskiej. Wyjmujemy z niego trzy wiersze, pisane kiedyś w pamięci w więziennej udręce i tęsknocie. Górka pisze też piękną prozą (opowiadanie „Tomuś” w „Orle Białym”). Na pełny tomik wierszy jest chyba jeszcze za wczes. Ale na serdeczne wzruszenie przy czytaniu wierszy Zofii Górskiej czekać nie trzeba.

Jan Bielatowicz

* * *

*Żal mi mojego ciała, które w nędzy swojej
Więdnie i schnie, jak badył rosnący przy płocie —
Tak mi go bardzo szkoda i tak się go boję,
Że mi może zniecałka zaszkodzić w powrocie.*

*Że może nie potrafi, że może nie umie,
Że może nie podcią, może nie dobiegnie,
A wówczas bez litości zdeptają je w tłumie,
Jak żołnierza na polu, kiedy ranny legnie.*

*Wiem, że nikt mnie nie wesprze, bo i cóż tu znaczy
Czyjeś obce, nieznanne, sąsiednie istnienie,
Czyjeś oczy, co kogoś znowu chcą zobaczyć,
Czyjeś ręce, co kogoś chcą opleść ramieniem?*

*I czyjeś słowa, komuś potrzebne nad miarę
I czyjeś serce komuś najbliższe na świecie?
Lękam się swego ciała, że się pod ciężarem
Zalamię i mnie sobą do ziemi przygniecie...*

Krag

Krag wokół się zaciesnił
Lwich klów, niedźwiedzich pazurów —
Oto błądzimy boleśni
Pod czujną strażą murów.

Straszna się pęta zaciska,
Ciemna nas powódź zagarnia —
Nie ma żadnego nazwiska
Nasza męczarnia...

Ptaków w sidła chwytanie,
Sarn zapadanie we wnyki —
Oto nasz straszny taniec,
Oto nasz przestרח dziki!

Dziś, kiedy śnieg topliwy
Radośnie gra na rynnie,
Żyjemy jeszcze żywi
Zwierzęco i roślinnie.

Zwierzęco: gdyż dzień bliski
Przepełnion jest cierpieniem,
Słysz: ptaków ostre piski,
Chrapliwy ryk jeleni.

Roślinnie: gdy o brzasku
Świt w szybach się ukaże,
Grzejemy w jego blasku
Nasze piwniczne twarze.

Krysi

Będę w sukni jak niebo niebieskiej,
A ty w sukni jak niebo różowej —
Niskie słońce nam twarze rozświetli
I jak ręka nam spocznie na głowie.
Wśród ogrodu, gdzie płoną mieczyki
I gdzie szumią jesiony surowe
Przystaniemy — ja w sukni niebieskiej
A ty w sukni jak niebo różowej.

Przez łzy widzę to: cisza nadpłynie,
Świerki oddech wstrzymają przy
bramie,

W domu miłym zapalą się szyby,
Gdy się zachód w nich tęczą załame
Siedmiobarwnie, soczyście i cicho
Wieczór legnie na trawie, jak owoc,
Wietrzyk suknie nam muśnie wargami
Mnie niebieską, a tobie różową.

Przez łzy widzę to: zamknij powieki,
Niech się także przed tobą wyłoni
Dom spokojny, błyszczący szybami,
W drzew zieleńi ukryty, jak w dłoni.
Może także zobaczysz ten wieczór,
Słońca senną, chylącą się głowę,
A na ścieżce nas w sukniach z muślinu:
Mnie w niebieskiej, a siebie w różowej.

Zofia Górską

Otwarcie Art-Clubu w Rzymie

Nie będąc w stanie zamieścić w bieżącym numerze oryginalnej recenzji z otwarcia i wystawy Art-Clubu w Rzymie ze względu od nas niezależnych, ograniczamy się do podania kompilacyjnego sprawozdania, złożonego z wyjątków z kilku recenzji piór polskich i obcych. Redakcja czyni to w przeświadczeniu, że pozwoli to czytelnikom wyrobić sobie niezależne zdanie o tym aktualnym wydarzeniu kulturalnym, do którego powstania wydatnie przyczynili się polscy artyści-plasty, żołnierze 2. Korpusu.

Teraz w stolicy Włoch rzucono przed oczy publiczności pokaz o zupełnie swoistym obliczu pod względem zasięgu i charakteru. Po mniej więcej półrocznych wysiłkach organizacyjnych, z niepoślednim udziałem Polaków, zawiązało się w Rzymie międzynarodowe stowarzyszenie artystyczne pod nazwą „Art-Club”. Wkrótce po powstaniu tej instytucji wystąpiła ona z inauguracyjną wystawą pod wezwaniem „Ciągłość”

(Continuità). Chodzi zarówno o ciągłość pracy galerii, w której ją urządzono, jak i o ciągłość historyczną reprezentowanych kierunków.

Urządzono ją mianowicie w Galeria San Marco, która stała się siedzibą „Art-Clubu”, na ulicy del Babuino pod nr 65, i obeszło kilkudziesięciu dobranymi płótnami olejnymi, rysunkami i rzezbami 36 artystów (5 kobiet), reprezentujących 11 różnych narodowości europejskich. Na czoło wysuwają się nie tylko li-czebnością Włosi (17 artystów - plastyków). Są bowiem wśród nich takie nazwiska jak Severini, Prampolini, Guzzi, de Pisis, Morandi itd. Bezpośrednio przy nich stoją Polacy w dobrze nam znanym gronie Jaremy, Westwalewicz, Turkiewicz, Kościłkowskiego, Domańskiej, Haara, Gletta i nowo-przybyłego Mariana Szyszko-Bohusza, który wystąpił z serią portretów rysunkowych, wykonanych w obozach jenieckich. Dalej idą przedstawiciele innych narodowości jak Bułgar A. Peikow, Austriacy G. K. Beck, i A. Fiedler, Szwajcar E. Huber, Węgier



Martwa natura

(Mal. Józef Jarema)

A. Tot i dwaj Rumuni Dragutescu i Iliu. Wśród kobiet, oprócz Polki Krystyny Domańskiej, znajdują się: Słowenka Bara Remec, Rosjanka Lidia Franchetti, Holenderka van den Brandeler i Szwedka S. Hammar. Zupełnym przypadkiem brak Francuzów w tym zespole z powodu nieobecności w Rzymie przedstawicieli awangardowego modernizmu.

Na wystawie tej zebrane zostały dzieła o dość jednolitym charakterze i dojrzałości pod względem nowoczesnego pojmowania zadań artystycznych. Wszyscy są modernistami, choć gama kierunków waha się od żywo nawiązujących do Cezanna przedstawicieli szkoły rzymskiej, operującej przede wszystkim stosunkami tonalnymi w malarstwie, poprzez postimpresjonistów spośród Polaków aż do bardzo dojrzałych kontynuatorów kubizmu i innych odmian tzw. futuryzmu. Jest więc wyraźny przekrój tego, czym jest naprawdę współczesne malarstwo europejskie, choć dla szerokiej publiczności jest ciągle jeszcze tworem niezrozumiałym, spornym i zaledwie niechętnie tolerowanym.*)

Hasłem samej wystawy inauguracyjnej jest „Continuita” — ciągłość w czasie i przestrzeni dynamizmu twórczego sztuk plastycznych. Ruch ten jednocześnie opowiada się za zdobyciami formalnymi ostatniego pół wieku walk a więc za zdobyciami sztuki naprawdę nowoczesnej — od postimpresjonizmu do kubizmu. Stowarzyszenie ma organizować życie artystyczne w skali

światowej przy pomocy kontaktów bezpośrednich między artystami ze wszystkich krajów, utrzymywanych poza ramami urzędowymi przy pomocy rozrzuconej sieci analogicznych klubów w różnych ośrodkach europejskich i pozaeuropejskich. Pracę tę ożywiać ma duch solidarności artystów i braterskiego porozumienia powszechnego. Członkami są już artyści i pisarze o sztuce następujących państw: Ameryka, Austria, Bułgaria, Czechosłowacja, Anglia, Włochy, Jugosławia, Holandia, Polska, Rumunia, Szwecja, Szwajcaria i Węgry — przebywających w Rzymie.

Charakterystyczne znamiona nowoczesnej plastyki w płaszczyźnie ponadnarodowej stara się ująć Jarema w swym artykule wstępnym. Odrzuwając się od nowinek ostatniego dnia jak np. czysty surrealizm, dopatruje się on cech sztuki prawdziwie modernistycznej na przestrzeni całej historii sztuki poczynając od pewnych przejawów sztuki staroegipskiej, aż do czasów odrodzenia.

Tylko dzięki takim ponadczasowym, bezwzględny wartościom odpowiadającym najgłębszemu poruszeniu duszy ludzkiej nowoczesność w sztuce może się ostać wobec działania czasu. Ostateczna bitwa o byt „nowoczesności” tak pojętej została wygrana w XIX w. przez malarstwo zachodnio-europejskie z francuskim na czele. Zdobywcą polega na zrozumieniu istoty malarstwa, na pewnym zintelektualizowaniu procesu twórczego, który daje podstawy do nadejścia epoki estetyki powszechnej.

*) *Ze sprawozdania Pena z „Ochotniczek”.*

Malarz Guzzi w swym artykule wskazuje, że kosmopolityczny charakter organizacji czy nawet ruchu artystycznego nie musi bynajmniej przynosić uszczerbku tradycjom narodowym w sztuce. Tradycja wymagająca nieustającej uprawy, jest bowiem nieodzownym punktem wyjścia dla wszelkiego ruchu szerszego jako mery. Inaczej powstają pseudo-kultury groźne dla kultury



Linoryt

(A.To)

istotnej. Droga właściwego rozwoju natomiast powstały dzieła takich artystów jak Picasso, Modigliani, Chagall, Braque, Bonnard, Matisse itp., których twórczość razem wzięta składa się na to, czym jest rzeczywiście nowoczesna sztuka europejska.

Severini natomiast, ten rzec można dożywni awangardzista, szuka odpowiedzi na pytanie, jakim winno być malarstwo w przyszłości. I odpowiedź widzi w dążeniu do „szukania formy dla własnej intuicji na możliwie jak najwyższym poziomie życia poetyckiego”, na arystotelesowym haśle „pogodzenia” człowieka z „artystą”, dalej na „szukaniu wyrazu przez konstrukcję” przy pomocy odpowiadającej naturze artysty „poetyki” malarzkiej, wysiłkiem umysłowym dającym rzeczywiste zadowolenie umysłowe. Ponadto wysuwa hasła maksymalnej poetyczności w znaczeniu przełamywania realizmu, wyzwolenia się artysty i agresywności, wydobywania wartości poetyckiej z samej barwy, a nie z tonów lokalnych czy światłocienia. Twierdzi, że sztuka winna naśladować przyrodę nie w jej wynikach, owocach, lecz w jej procesie tworzenia, rodzenia. Nawołuje więc do przeprowadzenia kubistycznej analizy elementów malarzskich w malowanym przedmiocie, wykorzystywania praw „poetyki” plastycznego kontrastu, i pracowania zawsze mając na względzie tylko istotne wymagania sztuki, a nie jakiejś postu-

laty zewnętrzne, przemijające, gdyż bodaj nigdy sztuka współczesna nie wyraża w pełni swej epoki.

Tak w wielkim skrócie wygląda pierwszy ładunek ideowy Art-Clubu zawarty w jego katalogu. Nim scharakteryzujemy czytelnikowi samą wystawę, wypada jeszcze powiedzieć parę słów o ramowym statucie Clubu, który przewiduje zrzeszanie się plastyków i pisarzy o sztuce w dążeniu do zapewnienia niezależnego rozwoju sztuce współczesnej wszelkimi możliwymi środkami organizacyjnymi, jak wystawy, odczyty, wydawnictwa i wszelkie inne formy wymiany artystycznej dokonywanej w atmosferze apolitycznej. Przewiduje on dalej różne typy członków i zebrań, różne rodzaje władz, zjazdy co dwa lata, wydawnictwo Almanachu, organizowanie szkół artystycznych, podróże, sklepy itd. Statut ramowy przewiduje też dostosowanie postanowień administracyjnych przez poszczególne kluby lokalne do ich warunków miejscowych. Do obecnego zarządu Art-Clubu rzymskiego wchodzi: J. Jarema, V. Guzzi, U. Blaettler, P. Fazzini, S. Hammar, Iliu, I. Kljakovic, L. Montanerini i E. Prampolini.*)

* * *

Zarówno dla krytyka, jak i dla publiczności istotne znaczenie na wystawie ma tylko dzieło, twór, który bądź wibruje życiem, bądź zamiera, bądź też jest już trupem. Autor i jego poprzednicy, jako artyści lub malarze, w momencie zetknięcia się i porozumienia między dziełem i krytykiem, nie mogą ani interesować, ani też narzucać się — kimkolwiek by oni byli. W obliczu dzieła artysty należy zapomnieć, że jest on autorem poprzednich prac, niezależnie od tego, czy były one arcydziełami, czy tylko „kiczami”. W danej chwili istnieje tylko jedno, jedyne dzieło artysty. Wszelka myśl uboczna jest źródłem zakłóceń, przeszkodą. Artysta jest odpowiedzialny za swe ostatnie dzieło, które może być wyrazem postępu w jego rozwoju lub cofnięcia się, a lepsze lub gorsze dzieło z jego przyszłości nie może mieć żadnego wpływu na sąd, który urabiamy sobie o dziele, jako tworze samym w sobie. Uwzględnianie innych rzeczy będzie nieodzowne przy zastanawianiu się nad samym artystą, nad jego osobowością, ale każdy artysta znaczy zawsze nieskończenie mniej od zjawiska sztuki, którego się dopracował.

Lepiej odrzucić powiedzenie prawdę — a mianowicie że jeśli sama inicjatywa jest godna uwagi i pociągająca, to realizacja, o ile chodzi o pierwsze wystąpienie, wypadła, z powodu różnych okoliczności, raczej niezbyt zachęcająco. Trzeba więc przyznać, że jeśli moment psychologiczny był ze wszech miar dobrze wybrany, nie jest on teraz sprzyjający ze względu na trudności komunikacyjne, wymiany wzajemnej i spotkań. Szkoda, bo sama myśl w swym zarodku zasługiwała na bardziej wspaniały chrzest. Nie mniej mam nadzieję, że niezadługo doczekamy się jej realizacji z pełnym po-

*) Z korespondencji Jana Jordana.

gdymy
wej
ła-
ka-
ma
ma
duje
w
oju
od-
wy-
ar-
cz-
ów
nie
ta-
ta-
ne
ch.
go
er.
L.

wodzeniem. Na razie więc musimy poprzestać na nadziei, jaką budzi zapowiadana i przyrzeczona „ciągłość”.

Pierwszym czynnikiem nierównowagi na wystawie jest przeważająca większość eksponatów włoskich. Drugim czynnikiem, o jeszcze większym znaczeniu ujemnym, jest wystawienie znanych już płócien malarzy włoskich, więc „powtórek”, gdy natomiast malarze zagraniczni przysłali rzeczy na ogół świeże, ale niewiele. Po trzecie, Włosi przeważają nie tylko ilością, ale i jakością, odnosząc łatwe zwycięstwo, skoro mogli przeprowadzić wybór drogą eliminacji, czego obcokrajowcy nie mogli dokonać.

Przystąpię teraz do omówienia prac znajdujących się na wystawie, przestrzegając wiernie zasady eliminowania tego, czego nie uważam za sztukę i do rozważenia dzieł sztuki jako takich, nie cofając się do rzeczy je poprzedzających, więc do tradycji danego artysty.

Większość Włochów rekrutuje się spośród malarzy, którzy osiągnęli swój cel i to od dłuższego czasu.

Gino Severini jest pociągający przez coraz bardziej artystyczne wysubtelnienie się jego kultury artystycznej, która w końcu mogłaby zagrozić istotnej wartości wyrazistej jego dzieł, gdyby nie wibrowała ona dzięki jego nieustającej ciekawości i poszukiwaniom, w których unerwienie mózgowe nie przytłumia wartości uczuciowych. Jego trzy płótna — które wykazują nie tylko obycie się, ale i tęsknotę do coraz większych przestrzeni oraz tendencje dekoracyjne — nie mówią nic nowego. Są raczej potwierdzeniem poważnej pracy w przeszłości, pracy namiętnej i szczerej.

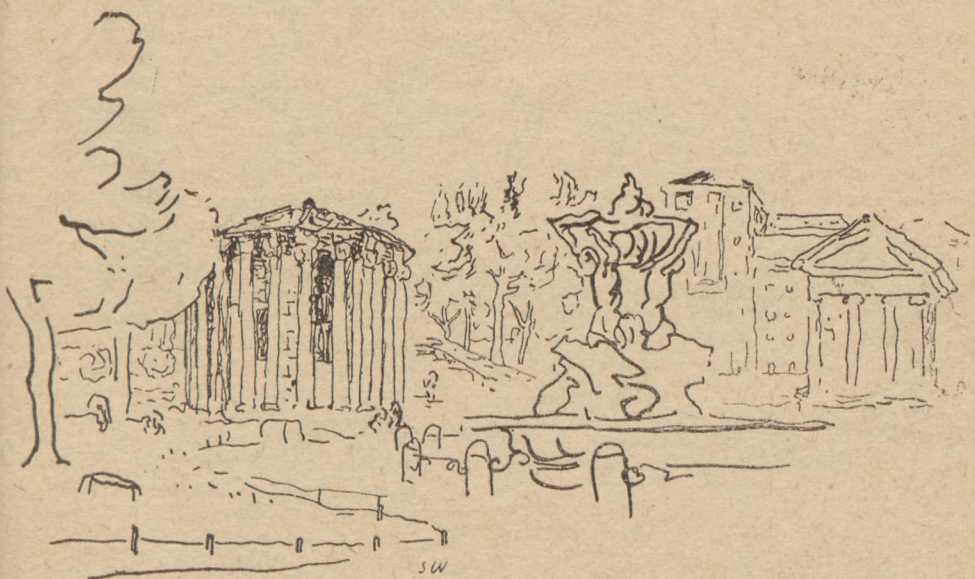
Filip de Pisis, źle obsłużony przez organizatorów, wystawia raczej swe nazwisko aniżeli swe prace. To, co wystawił jest wła-

nie przykładem jego maniery, z której nie może się on wyzwolić, aby przekonać się, że znajduje się w obliczu prawdziwego zjawiska artystycznego. Jest to powtórzenie, i to nie najlepsze, w postaci obrazu, o którym można wszystko powiedzieć, tylko nie to, że jest świeże.

To samo mniej więcej można powtórzyć i o Franco Gentilini, pomimo, lub właśnie ze względu na przesubtelnione „Portret Markizy”.

Urzekającym, przekonywującym, dynamicznym artystą wydaje się Luigi Bartolini. Zbyttna jednostajność bieli w jego „kuchni gazowej”, która mogłaby być pogłębiona i doprowadzona do stanu doskonałego dzieła, a to przy pomocy minimalnej vibracji tonów bardziej intensywnych i urozmaiconych, o ile chodzi o pociągnięcia pędzlem, zbyt teraz szerokich i zbyt jednostajnych w światłach, co przeszkadza osiągnięciu logicznego rozwiązania. Osiągnięciem natomiast w sposób uderzająco kompletnym w sobie jest „Krajobraz”, dzięki głębszemu opanowaniu pomysłu przez przewodnią jego logikę i dlatego cennym. Natomiast liryzm w tym obrazie wydaje się zakłócony przez wewnętrzny niepokój o zgodność pomiędzy pomysłem i jego realizacją.

Eleuterio Riccardi jest artystą, wobec którego przykro mi, że znam tylko jeden jego „Krajobraz” (?), pokazany na wystawie. Nie znam niczego z jego poprzednich prac. Jeśli płótno to nie przekonywa jeszcze w zupełności i pozostaje jeszcze dziełem malarza, przedstawia ono coś więcej, aniżeli postawienie i rozwiązanie zagadnienia i zbliża się do czegoś istotnego, więc przekracza to, co jest tylko rozwiązaniem czegoś odczuwanego poprzednio, jako zagadnienie. Częste i wyraźne nasze waha-



Rysunek z Rzymu

(Rys. St. Westwalewicz)

nia każą myśleć, że znajdujemy się w obliczu osobowości jeszcze nie świadomej swoich możliwości.

Nie wiem, czy Fausto Pirandello naprawdę zaniepokoił się zastanawiając się nad wyzyskiwaniem tego, co jest niedokończony w malarstwie, jako środka wyrazu. Przychodzi na myśl raczej fotografia pomysłu nie zupełnie jasnego, aniżeli transpozycja realnej wizji w zjawisku artystycznym. Jest to więc poszukiwanie w sztuce, co znaczy już dość dużo.

Przygnębiające, zniechęcające wrażenie spr-



(Rys. K. Domańska)

wia Mario Mafai, autor — powiadam — dwóch płócien pokazanych na wystawie. Są to płótna martwe, bez wiary w swoje odrodzenie. Identyczne zagadnienie czysto malarskie występuje zarówno w „Ludziach Sandwich”, jak i „Zeschłych kwiatach”. Są to wizje, które nie osiągają stanu istotnego nasycenia. Więć echo okrzyku Pawła Valéry (w jego „Colloque dans un etre” — „Rozmowa w jakiejś istocie” — powtórnego w katalogu): „Biada, mnie nie ma...”.

Rozpaczliwy jest Carlo Carra w swym krajobrazie wód i gór, które są lirycznym nonsensem. Powtarza się zaś, uczciwie i pogodnie, w krajobrazie plaży i morza z gładkimi, geometrycznymi, różowymi motywami architektonicznymi, gdzie zaczyna wibrować skupienie i liryzm stanu duchowego artysty.

Pociągający jest Angelo Savelli. Zwłaszcza w „Martwej naturze”, w której nale-

ży potępić, jak w „Krajobrazie”, nadużycie błękitu i czerni, służące za rusztowanie, niepotrzebne zresztą, które na szczęście podpira pomysł i wizję malarza o niezwyklej wrażliwości. Zbliżyliśmy się do niego lepiej podczas jego własnej wystawy, która odbywa się obecnie (od 7. do 21. XI).

Spośród Polaków Józef Jarema nie może ująć uwagi szukającego bardziej przekonującej osobowości, niejednokrotnie przechodzi obok właściwego osiągnięcia, nie zdając sobie z tego dobrze sprawy: przykładem tego jest jego „Martwa natura”, która świadczy także o jego niepokoju i niepewności. Między poszczególnymi częściami obrazu, traktowanymi każda w sobie samej, brak jest związku wewnętrznego, co utrudnia wydanie ostatecznego sądu. Mały „Akt” wykazuje lepiej, jakie są możliwości malarza, (który jest także subtelnym teoretykiem), o ile uda mu się nie ograniczać swego malarstwa jedynie do poszukiwań.

Powaga w traktowaniu swej pracy u Stanisława Westwalewicza, który ma wycucie materiału, ale pozwala mu się narzucać w dążeniu do tego, aby pozostać mu wiernym, osiąga wynik ograniczony do pierwszego planu, bez przestrzeni i głębi, o ile sądzić z tej jedynej pracy, którą znamy.

Marian Kościółkowski jest młody, odważny i zastrasza pewny siebie. Są to zalety, które z góry przychylnie uspasabiają do niego i pozwalają być dobrej nadziei. Ten młody malarz opanował rytm i umie rozkazywać linii. Naprawdę pięknymi są jego rysunki, będące jakby płomiennymi kompozycjami, które, gdyby zostały wystawione, może usprawiedliwiłyby jego dwa płótna („Kompozycja” i „Jarmark”), które są okrzykiem młodości, wydanym z arogancką pewnością siebie. Ale u niego, jako malarza, nie ma problemu, a więc nie ma i jego rozwiązania. Nie ma też i poszukiwań, a zatem nie ma również postępu. Z młodzieńczą nonszalancją chełpi się swą pogardą dla natury, ale, twierdząc, że wie czego chce, nie zdaje sobie sprawy z tego, iż nie wie w jakich granicach i do jakiego celu należy chcieć. Podobny jest do tych dzikich rumaków, które dają się okiełznać dopiero wówczas, gdy są zupełnie wyczerpane, gdy wędziło dobrze pokrowało im pysk. Cała sprawa obecnie polega na tym, aby wiedzieć, czy okiełznany przez życie i męczeństwo sztuki potrafi zachować swój rozmach w całej czystości i jego liryzmie. Dziś jest on najlepszą zapowiedzią w grupie polskiej, ale powinien trochę zastanowić się nad skromną zasadą Baudelaire’a: „W barwie znaleźć można harmonię, melodię i kontrpunkt... Harmonia jest podstawą teorii barw. Melodia domaga się konkluzji...”. Nasz malarz nie dochodzi do konkluzji, podobnie jak nie dba wiele o istotne postawienie zagadnienia malarskiego. Sądzę, że nie osiągnie tego celu dopóty, dopóki nie „poterminuje”, choć przez jakiś czas, w kontakcie z naturą.

Zygmunt Turkiewicz w swej „Martwej naturze” wykazuje raczej talent dekoracyjny, aniżeli malarski, przy bardzo dobrej harmonii kompozycyjnej, co przy dużym wysiłku w zakresie poszukiwań kolorystycznych ujawnia rozbieżności między wynikami w zakresie szarmonizowania form i kolorów.

Spśród dzieł innych cudzoziemców wyraża osobowość i nerw naracyjny mają krajobrazy Rumuna Iliu, a także jego akt, który uważam za bardzo charakterystyczny dla niego. Predylekcja do świata tonów głębokich i ciemnych świadczy o jego lirycznym usposobieniu, które mogłoby się ujawnić z większą swobodą przy mniejszej trosce o opanowanie przestrzeni i materii, za pośrednictwem pewnego rodzaju ponurej magii kolorystycznej.*).

* * *

Domańska nadzwyczaj szybko dopracowuje się własnych osiągnięć kolorystycznych np. w swych owocach żółto-pomarańczowych, może jeszcze jednak niedość odważnie skontrastowanych i uporządkowanych. Haar zatrzymał się na swej jaskrawej gamie gwałtownej w widokach architektury miejskiej, a portrety rysunkowe Szyszko-Bohusza o bardzo wyszukanej fakturze liniowej i płaszczyzn oraz subtelności efektów graficznych odbijają swym realizmem tematycznym od naprawę modernistycznych bardziej formalnych poszukiwań. Rzeźbiarz Glett swój coraz bardziej krzepki talent zaprezentował w bardzo interesującym akcie chłopięcym, w którym przejawia się duża świadomość tworzywa plastycznego przy wydobywaniu efektów młodzieńczej dysplastyki.

Pierwszy głos prasy ukazał się w organie partii czynu „Italia Libera” z 21. X. 1945 r. Pismo cieszy się, że Galleria dell'Arte odebrała „pompięrom” służyć będzie teraz sztuce współczesnej. Stwierdza, że wojna, przy wszystkich swych okropnościach, miała co najmniej tyle dobrego, że pozwoliła Włochom na nawiązanie żywszego kontaktu ze światem. Temu też zadaniu służyć ma dalej Art-Club, przy czym recenzent podkreśla, że:

„Polacy należeli do najbardziej zapalonych inicjatorów Art-Clubu, wykazując naprawdę godne podziwu zrozumienie zagadnień i potrzeb sztuki współczesnej”.

Bardzo rozpowszechniony tygodnik literacko-artystyczny „Domenica” z 28. X. 1945 ogłosił artykuł znanego krytyka Fortunato Bellonzi, który w powstaniu stowarzyszenia widzi następstwo wojny, której koniec wzbudził chęć jak najszybszego otwarcia granic, a przynajmniej granic ducha dla osiągnięcia większego zbliżenia między ludźmi. Nie mniej autor przestrzega przed posuwaniem kosmopolityzmu w plastyce do tych granic, które osiągnął on np. w architekturze, gdzie nie zważając na warunki historyczne poszczególnych krajów, wszędzie zaczęto propagować jednakowe budownictwo funkcjonalne. Teraz już autor narzeka na brak

dostatecznych różnic między twórczością plastyczną przedstawicieli różnych narodowości, upatrując przyczynę tego nie w jakimś ich podobieństwie do pierwszych chrześcijan, ożywionych wspólną wiarą, lecz „w tym ubóstwie życia wewnętrznego ludzi współczesnych, do którego przyznanie się sprawia nam tyle trudu i przykrości”. A po omówieniu dzieł artystów włoskich tak pisze:

„Mniej wysoki wydaje się nam poziom uczestników zagranicznych, ale nie należy zapominać, że jest to pierwsze wystąpienie „Art-Clubu” i że większość wystawiających niedawno dopiero odłożyła na bok broń po latach zupełnej przeważnie bezczynności artystycznej, tak iż wiele prac jest tylko czymś w rodzaju biletu wizytowego. Weźmy np. Polaka Szyszko-Bohusza, niedawno uwolnionego z obozu jeńców, którego rysunki świadczą nie mniej o artyście subtelny i wrażliwy. Jego rodaków znamy po większej części: Jarema, Turkiewicz, Westwalewicz, Harr, wszyscy są wierni „żywej tradycji” i kulturze francuskiego impresjonizmu czyniąc stałe postępy. Sam jednak jestem zdania, że oni powinni mniej patrzeć oczyma Francuzów”.

„U Jaremy np. wolę „Piazza del Popolo” (fragment Placu Ludowego), a także „Akt kobiecy” od jego „Martwej natury” (jakkolwiek uznaję, że ostatni obraz ma piękne wartości kolorystyczne), sądząc jednak, że wszystkie je przewyższa „Lungarno Fiorentino” (Florenckie wybrzeże nad Arno), które oglądałem w pracowni artysty, gdyż tam rzeczywistość jest bardziej bezpośrednio czytelna, tak, że wizja zyskuje na szerokości oddechu i w otoczeniu jasnego, czystego powietrza rzeczy wyglądają monumentalnie i uroczyste, będąc rytmicznie przecięte przez cienie, co nie zachodzi (oczywiście moim zdaniem), gdy np. Bonnard staje między malarzem i jego pracami”...

„Wszyscy pozostali utrzymują się na chwalnym poziomie: młody Glett, który znacznie się rozwinął, Domańska, Kościakowski i inni”.

Są to uwagi bardzo interesujące, nie bez skusności, choć nie pozbawione również cech subiektywnego stanowiska, więc przez to tylko względnie obowiązujące. W każdym razie już to pierwsze głosy prasy wskazują, że inicjatywa Art-Clubu liczyć może na duże poparcie i da realne wyniki.

„Sprawiedliwość sowiecka” w języku włoskim

Ukazała się już w tłumaczeniu włoskim „Sprawiedliwość sowiecka” — „Giustizia sovietica” (Mabi—Spinetti, Editori. Roma 1945).

Książka jest do nabycia w wojskowych punktach sprzedaży oraz w księgarniach włoskich. —

*) Z recenzji Carlo Verdianiego dla „Irydionu”.

Święto Lwowskiej Brygady

Północ Włoch jest jakaś bliższa sercu Polaka niż południe. Wydaje się, że czuć już zapach polskiej ziemi, gdy oczy wyzwoliły się z oglądania dotychczasowych krajobrazów, gdzie na jałowych, żółtych wzgórzach nędznie wegetuje uszerogowana roślina, gdzie tkwią osmętniałe cyprysy, zakurzone palmy, gdzie rzeki są puste a niebo jest tępe swą niezmiennością pocztówkowego lazuru. Jedziemy na północ — na święto Lwowskiej Brygady. Jedziemy asfaltem. Powietrze jest tu rzeźkie złotą jesienią, a niebo jest rozmaite chmurami i obłokami. Wody i lasy szumią, a pola równo zorane chwytają za serce podobieństwem dawno nie oglądanym w długiej wędrówce po skwarnych krainach. Wreszcie dobijamy do Vittoria Veneto, położonego u stóp Alp Juliskich. Tu odbędzie się uroczystości.

Vittorio Veneto, stary, rzymskich czasów sięgający punkt strategiczny — broni wejścia z przełęczy Seravalle na lombardzką dolinę. Miejsce sławne z wojny europejskiej. Tu przecież w październiku 1918 roku włoska ofensywa, która wyszła z nad Piave, zadała Austriakom cios ostateczny. Vittorio Veneto jest sporym miasteczkiem, utrzymanym wzorowo, gdzie zieleni i ogrody, wspaniałe aleje i piękne gmachy publiczne tworzą malowniczą całość z podalpejską panoramą gór i wzgórz, których szczyty uwieńczone są kościołami i ruinami zamków obronnych. Miasto żyje swym życiem współczesnym i pamięta o dumnej przeszłości, której pamiętki i pomniki rozsiane są po całym rozległym osiedlu. Mieszkaniec odnosi się do Polaków życzliwie i obiektywnie, choć nie widział ich w czasie działań wojennych, a słyszał tylko co najgorsze od Niemców. W święcie brygadowym bierze udział, obserwuje z zainteresowaniem przygotowania, próby apelu i defilady, przyjazd gości i ciężarówki z przybyłymi delegacjami innych oddziałów Kresowej Dywizji.

* * *

Święto 6. Lwowskiej Brygady Ple-

choty rozpoczęto modlitwą za poległych towarzyszy broni. Msza św. żałobna odprawiona została w katedrze. Chór kleryków miejscowego Seminarium Duchownego śpiewał gregoriańską mszę żałobną „Requiem”.

W godzinach przedpołudniowych odbywały się na strzelnicy brygadowe zawody strzeleckie. Pierwsze miejsce zajął 18. L. B. S. zespołowo i indywidualnie. O zmierzchu przeszedł ulicami miasta capstrzyk, a wieczorem odbył się uroczysty apel poległych.

Na pięknym placu miejskim, bogato udekorowanym flagami i emblematami, ustawiły się oddziały brygady; liczni goście i delegacje zajęły szczerbnie ogromne schody prowadzące do gmachu magistratu, którego trzy wielkie okna świeciły witrażami z orłem polskim, korpusową syreną i krzyżem VIII-ej armii. Tłumy publiczności zapełniły resztę placu. Pośrodku wolnej przestrzeni, utworzonej przez czworobok oddziałów, spływa z wysokiego masztu zakończanego orłem — flaga narodowa. Od niezabudowanej strony placu, od strony alei i ogrodów, krzyżują się kolorowe ramiona potężnych reflektorów, tworząc zamknięcie placu, pograżonego w mrok. Niebo jest czarne. Panuje głębokie milczenie.

Nagle rozlega się głos komendy. Suchy, równy chrzęst prezentowanej broni. Orkiestra gra generalskiego marsza. Z-ca d-cy Korpusu gen. dyw. Zygmunt Szyszko-Bohusz w towarzystwie d-cy 5 K. D. P. gen. bryg. Nikodema Sulika i d-cy 6 L. B. P. plk. dypl. Witolda Nowiny-Sawickiego odbiera raport i przechodzi przed frontem oddziałów. Wita się z brygadą.

„Do dekoracji wystąp”! Oficerowie i szeregowi ustawiają się w szeregu. Adiutant odczytuje dekret Prezydenta R. P. o nadaniu odznaczeń bojowych uczestnikom walk Lwowskiej Brygady. Gen. Szyszko-Bohusz przypina krzyże. Dziesięć „Virtuti” i jedenastie „Walecznych”.

„Te krzyże, to jest wszystko, co może Wam dać teraz Polska — mówi generał — ale zażąda od Was znacznie więcej, niż to, coście dali z siebie dotychczas. Droga jest jeszcze długa i ciężka. Wymagać będzie od wszystkich wielkich poświęceń i wielkich ofiar.”

Po złożeniu gratulacji odznaczonym zwrócił się generał do całej brygady, składając jej w dniu święta, życzenia żołnierskiego szczęścia i dając wyraz przekonaniu, że Lwowska Brygada, która zawsze wypełniała po żołniersku swój obowiązek i swe zadania bojowe — przetrwa ciężki okres obecny i tak jak dotychczas maszerować będzie twardo w drodze do wolnej Ojczyzny i dojdzie zwycięsko do miejsca, którego nazwę nosi.

Białe ramiona reflektorów kierują się w czarną noc. Błądzą po koronach drzew, wydobywając nagle z mroku ich olśniewającą zieleń. Chodzą po wzgórzach, po halach, po żłebach i usypiskach, jakby czegoś szukając. Wreszcie ześrodkowują się na odległej, stromej łące górskiej i gasną. Jednocześnie poczynają się tam zapalać jedne po drugich dalekie ognie. Dziesiątki, setki ogni w krętej i łamiącej się linii. Linia gęstnieje, staje się ciągłą i oto przybiera kształt znany, swój. Kształt granic polskiej dziedziny. Bezgwiazdne niebo zlewa się z górami i tworzy jednolite czarne tło, na którym płonie, drży i migoce dalekimi ogniami zawieszony w powietrznej dali, obraz Ojczyzny.

Głucho warczą żałobne werble. Przed zapalonymi zniczami adiutanci baonów i kompanij Lwowskiej Brygady odczytują nazwiska poległych. Co trzydzieści nazwisk odzywają się werble i nieruchome szeregi skandują: „Poległ na polu chwały”. Dalekie, głuche detonacje w górach jakby powtarzają ziemi włoskiej tę żołnierską prawdę.

Czytanie trwa długo, trwa bardzo długo. Jest ich przecież tylu, co zostali po drodze. Jest ich blisko pięciuset. Zostały ich mogiły pod Cassino, pod Piedimonte, pod Centofinestre, Ankoną, Predappio, nad rzeką Senio, pod Bolonią. Słabe refleksy światła ślizgają się po

helmach i lufach, w czerwonych, krwawych smugach reflektorów zwijają się i kłębią dymy zniczów. Całkowita nieruchomość ludzkiego tłumu stojącego w głębokim mroku, jednostajne głosy czytających, werble i chóralna odpowiedź pomnażają wrażenia jakiegoś misterium. Pełni się na ziemi żałobna ofiara, a w górze płoną dalekie, dalekie ognie Ojczyzny.

Marsz szopenowski i wspólna modlitwa kończą żałobną uroczystość.

* * *

Rozdzwoniły się dzwony w kościołach, gdy na plac katedralny wkraczał poczet sztandarowy Kresowej Dywizji, gdy szły kompanie za kompaniami. U wejścia katedry wita generalicję i oficerów ordynariusz diecezji Vittorio Veneto, ks. biskup Giuseppe Zaffonato. Następnie przemawia do żołnierzy. Mówi o Łasce Boskiej, która ich doprowadzi do uwolnionej Ojczyzny, do domów i rodzin. Mówi o uczuciach Italii dla polskiego żołnierza, mówi o wspólnocie wiary i myśli. Olbrzymia katedra S. Maria Assumpta wypełniła się tłumem żołnierskim. Ks. biskup udziela wszystkim ze stopni ołtarza swego błogosławieństwa, po czym rozpoczyna się msza św. Podczas nabożeństwa śpiewa chór brygady i gra brygadowa orkiestra.

Defilada odbywa się na placu miejskim. Przyjmuje ją gen. Szyszko-Bohusz w towarzystwie d-cy dywizji i d-cy brygady. W rytm „Warszawianki” idą oddziały za oddziałami z poczetem sztandarowym na czele. Idą starzy żołnierze jeszcze z Tocka i Syrii, idą młodzi chłopcy, co dopiero od paru miesięcy są w Korpusie. Ale jednakowo trzaskają równym krokiem o asfalt, jednakowo mocno trzymają karabiny, jednakowo mocno i z jednakową wiarą patrzą w oczy generała. Publiczność włoska i nasi biją brawa, pogodnie niebo i białe obłoki patrzą z góry przyjaźnie na maszerującego polskiego żołnierza.

Obiad żołnierski jest w koszarach, w obszernym garażu, gdzie gęsto ustawione stoły obsiada wiara, by po emocjach i trudnościach uroczystości zawiązać z żołnierskim apetytem żołnierski obiad.

Od stołu głównego wstaje płk. Nowina-Sawicki, d-ca Brygady. Wita przybyłych gości i wyraża w imieniu Brygady żal, że obowiązki służbowe nie pozwoliły dowódcy Korpusu przybyć na święto. Wymienia nadesłane depesze, a wśród nich życzenia od dawnego dowódcy 6. Lwowskiej Dywizji, której tradycje przejęła Brygada, od gen. dyw. Michała Tokarzewskiego-Karaszewicza, oficerów i żołnierzy dawnej 6. L. D. P. Mówi dalej płk Sawicki o święcie brygadowym i jego znaczeniu dla duszy żołnierskiej.

Przemawia dowódca dywizji. Przypomina dzieje Lwowa, grodu-symbolu, który tyle razy przeżywał chwile ciężkie i krwawe i zawsze wychodził z nich w końcu zwycięsko, jeszcze dumniejszy i jeszcze bardziej polski. „Wierzimy — mówił gen. Sulik — że i z obecnej okrutnej doli Lwów wyjdzie do nowej szczęśliwej przyszłości w wolnej Ojczyźnie. Brygada Wasza, która herb Lwowa obrała za swe godło, nie składa się dziś z samych tylko lwowiaków. Dużo jest w niej kresowców z innych kresów, z kresów zachodnich. To braterstwo zachodnich i wschodnich kresów musi wydać owoce. Składam Wam życzenia, byście wszyscy wkroczyli z bronią w rękę do wolnej Polski. Jesteście twardzi i uczciwi w swej pracy żołnierskiej. Jesteście żołnierzami, których słowa przysięgi nie były rzucone na wiatr. Prowadzi Was Wódz, który walczy z Wami nieustępliwie, bez kompromisów i szacherek o całość i wielkość Polski. Pan Generał Anders niech żyje!”

Gdy uciszyły się okrzyki i zamilkła orkiestra, mówić począł gen. Szyszko-Bohusz. Przypomniął zebrany inna defiladę, która odbyła się przed gen. Andersem przed czterema laty w Tocku. Lwowska Dywizja szła wtedy w obszarpanych mundurach i łachmanach. Szła bez orkiestry, wybijając bosymi nogami rytm żołnierski. Ten równy, zdecydowany, twardy krok mówił o uporze i woli żołnierza, że taki żołnierz będzie szedł twardo do Polski i że do niej dojdzie. Potem 15.000 wynędzniałych i zagłodzonych nędzarzy, co znów stali się żołnierzami, śpiewało „Boże coś Pol-

skę”... I choć nie było orkiestry, śpiew szedł tak równo, jakby go jeden śpiewał człowiek. Tą zgodnością śpiewu wypowiadała się siła serca i siła duszy polskiej. Zaczątki polskiej siły zbrojnej tworzyli ludzie starsi, ale w nich widzieliśmy Polskę młodą, wierzyliśmy, że ich synowie dojdą do szeregów. I tak jest. Większość tych z Tocka wykruszyła się w trudach i bojach. Na ich miejsce przyszli nowi, przyszli młodzi. Przyszły silne dzieci naszej Ojczyzny i przyniosły tę samą wiarę w połączenie się z Krajem, który dziś walczy i cierpi. Teraz przeżywamy podobne tamtym chwile. Znowu są utrudnienia, znowu przeszkody. Ale mimo to wojsko polskie jest i będzie. Wyroki Boże mocniejsze są od polityków. Jak tamten w Tocku śpiew — nieść będziemy w sercach naszych Polskę, choć nie uznaje Jej dzisiaj świat. „W dniu święta Waszego — kończy generał — jako znak naszej wierności dla Ojczyzny, jako znak, że mamy jedną tylko drogę, jedną wiarę i uczucia — wznieśmy okrzyk na cześć Pana Prezydenta R. P. i Naczelnego Wodza!”

Na tym kończy się część oficjalna obiadu. Teraz głos ma orkiestra, chór i artyści czołówki rewiiowej, która zjechała na święto. Miło płyną chwile przy skocznych melodiach, wiara bije brawo do opuchnięcia rąk p. Werze Ignatowicz za jej piosenki i zmusza do ciągłych bisów lwowskiego batiara, Józka Bielawskiego.

Po południu na stadionie sportowym obserwujemy pokazy gimnastyczne i mecz piłki nożnej między reprezentacją brygady a miejscową drużyną włoską. W przerwie meczu zostają rozdane nagrody zwycięzcom zawodów strzeleckich. Wieczorem we wspaniałych salach „Palazzo Carlo” Brygada podejmowała gości kolacją, a w miejskim teatrze odbyło się przedstawienie czołówki K. Krukowskiego p.t. „Wielka Trójka”.

Ostatni punkt programu święta miał miejsce w odległej o kilkadziesiąt kilometrów Wenecji, gdzie na placu św. Marka koncertowała w godzinach podwieczornych doskonała orkiestra brygadowa. Uczestnicy święta i niezwykle

liczne tłumy międzynarodowej publiczności oklaskiwały żywo program, złożony wyłącznie z utworów kompozytorów polskich. Chyba po raz pierwszy brzmiały tony moniuszkowskiej „Hal-ki”, mazurki, oberki i kujawiaki, tańce góralskie i polska piosenka żołnierska w dostojnych murach Wenecji. Słuchały tych dźwięków złożone koronki Św. Marka, marmurowy Palazzo Ducale i wyniosła Campanilla, słuchały kolumnady Prokuracji i rumaki Aleksandra Macedońskiego, które przed półtora wiekiem na rozkaz Francuzów ściągaly z wysokich piedestałów polskie Bartki i Maćki z pierwszej Legii Kniaziewiczów...

* * *

W uroczystościach 6. Brygady brali udział także delegaci W. J. Korpusu, brygad i pułków Kresowej Dywizji, liczni goście oraz delegacje oficerów bry-

tyjskich z bryg. Phillips'em. W czasie święta d-ca 6. L. B. P. wręczył d-cy Kresowej zebraną wśród oficerów i szeregowych Brygady kwotę 140.157 lirów na pomoc dla rodzin polskich na obczyźnie. Gen. Sulik oświadczył, że pieniądze te, podobnie jak zebrane sumy podczas święta Kresowej Dywizji — przekaże do dyspozycji Dowódcy Korpusu.

Zaszczyt i trudy gospodarza święta spoczywały na barkach 18. L. B. S. z ppłk. Al. Florkowskim na czele. Organizacja uroczystości doskonała. Wszyscy uczestnicy święta przeżyli wiele podniosłych chwil i wynieśli najmiłsze wrażenia serdeczności i gościnności. Lwowiacy — to nie tylko dobre, ale bardzo miłe i kochane wojsko.

Tadeusz Kubalski

RECENZJA

Dramat ghetta i dramat o ghetcie

Osobną kartę w historii Warszawy w czasie minionej wojny stanowią dzieje ghetta warszawskiego.

Ghetto założone zostało przez Niemców w sierpniu 1940 r. Od września tegoż roku zostało ogrodzone i odseparowane od reszty miasta. W okresie największego nasilenia liczba jego mieszkańców przekraczała pół miliona ludności żydowskiej z Warszawy, prowincji i zagranicy. W lipcu 1942 r. rozpoczęła się likwidacja ghetta przez masowe wywożenia mieszkańców w nieznanym kierunku, prawdopodobnie do obozu śmierci w Treblince. Wywożono dziennie ponad 5000 ludzi, początkowo przeprowadzając selekcję — słabych i bezrobotnych, potem zabierając wszystkich bez różnicy.

Rewolta pozostałych jeszcze w ghetcie resztek ludności w kwietniu i maju 1943 r., stłumiona przez Niemców przy użyciu znacznych środków bojowych (lotnictwa, artylerii i czołgów) i z poniesieniem dużych strat w zabitych i rannych zakończyła tę likwidację żydowskiej ludności Warszawy, po której wszelki ślad został nadto zatarty przez wysadzenie w powietrze synagogi na Tłomackim i zniwelowanie cmentarza na ulicy Okopowej.

Ghetta warszawskiego nie należy mieszać z jakimiś obozami w Majdanku, Oświęcimiu czy Belsen, których tajemnice są teraz odsłaniane przez procesy. Ghetto było jedynie przedsiwzięciem tego rodzaju obozów. Było poczekalnią

kolejową w znaczeniu prawie dosłownym, gdyż stąd właśnie pociągami bydlęcymi ze specjalnie zbudowanej odnogi kolejowej na Stawkach wywożono ludność żydowską.

W historii ghetta warszawskiego należy podkreślić dwa momenty, które jej nadają doniosłość. Pierwszy jest ilościowy: liczba przeszło miliona ludzi wywiezionych z ghetta do obozów śmierci stanowi około trzeciej części mieszkańców stolicy, blisko dziesiątą część ogółu i około czwartej części polskich Żydów, wymordowanych przez Niemców. Drugi — jest moralny i polityczny: jest to powstanie zbrojne, które poprzedziło Powstanie Warszawskie.

Do lipca 1942 r., do chwili, kiedy się zaczęły masowe wywożenia, ta skupiona masa ludzka żyła w nadziei wyzwolenia, które kiedyś nadejdzie. Od tej chwili do czasu ostatecznej likwidacji żyła w oczekiwaniu swej kolejki śmierci.

Ta, właśnie historyczna już dziś, egzystencja mieszkańców ghetta warszawskiego, szczególnie w końcowym okresie, była kilkakrotnie omawiana w polskiej literaturze i publicystyce emigracyjnej. Zwłaszcza pamiętny jest, opis Tymona Terleckiego, oparty na źródłach pośrednich.

Ostatnio Oddział Kultury i Prasy 2. Korpusu w „Bibliotece Orła Białego” wydał niewielką książeczkę, poświęconą temu fragmentowi dziejów minionej wojny. Jest to: „Życie i śmierć ghetta warszawskiego” I. Lubera.

Nie wiemy kim jest I. Luber, autor omawianej broszury. Należy przypuszczać (gdyż autor tę okoliczność przemilczał), że jest to ktoś, co cały opisywany przez siebie okres czasu przeżył sam w ghetcie warszawskim, względnie ściśle powtórzył relację jakiegoś naocznego świadka. Wyczuwa się nadto, że autor (albo jego informator) doskonale jest zorientowany w stosunkach żydowskiego środowiska warszawskiego sprzed i podczas wojny.

Broszura nie ma pretensyj literackich. Napisała jest zwięźle, rzeczowo i popularnie. Unika jakichkolwiek komentarzy politycznych lub moralnych, podaje tylko fakty, cyfry, nazwiska. Oddaje nastroje, również w sposób bardzo rzeczowy, rzekłoby się — protokółarny.

Inną jeszcze, bardzo znamioną, właściwością autora jest to, że unika wszelkich akcentów cierpiętnictwa i że nie przemilcza dość licznych momentów ujemnych swego własnego środowiska, do powstania których warunki bytowania w ghetcie musiały być doskonałą i nieuniknioną pożywką.

29-stronicowa książeczka, będąca, zdaje się, pierwszą relacją z pierwszej ręki o ghetcie warszawskim, jest nade wszystko, by użyć tak popularnego dziś określenia, dokumentem, takim jak „Wspomnienia Starobielskie”. Nie wiadomo czy autor czytał Czapskiego i wzorował się na nim świadomie, ale przejął podobną powściągliwość. Czego jego praca jest dokumentem i jaka jest jego wymowa?... Każdy czytelnik sam pozna przeczytawszy broszurę.

Oto np. ustęp poświęcony Korczakowi:

„Poszli na Umschlag sierocińce i domy dziecięce, przez tyle dni chronione przed groźbą wysiedlenia. Poszedł i dom sierot Korczaka. Dzieci maszerowały przez Umschlag w swych szarych mundurkach cicho i spokojnie, nie przeczuwając, że idą na śmierć. Prowadził je Korczak. Gdy dzieci z pierwszych szeregów weszły na tory i zobaczyły wnętrze otwartych wagonów bydłowych, cofnęły się przerażone. Już Ukraińcy nastawili karabiny, gdy Korczak zaczął je uspakajać: „Jedziemy dzieci na daleki spacer, tam będzie już dobrze i spokojnie”. Dzieci powoli wchodziły do wagonów. Do stojącego obok i przypatrującego się temu Michelsena z Befehlstelle podbiegł oficer policji żydowskiej tłumacząc kim jest dr. Korczak. Niemiec skinął głową, dając niemą zgodę na zwolnienie. Korczak nie przyjął „wspaniałomyślnego” aktu łaski. „Wiem, że jadę na śmierć — powiedział — ale tam gdzie moje dzieci, tam i ja”, uchylił kapelusza żegnając tym gestem Warszawę i ghetto, po czym szybko wszedł do wagonu. Policjanci żydowscy, pełniący służbę przy wagonach, bez rozkazu stanęli na baczność, wszyscy płakali. Nawet oprawcy opuścili głowy.

Tak odszedł Janusz Korczak, wychowawca setek dzieci polskich i żydowskich, jeden z najszlachetniejszych i najlepszych ludzi”.

Ostatnia podróż doktora Korczaka, odtworzona już przed dwoma laty na podstawie różnych skompilowanych relacji przez Paulinę Appenzlakową w jerozolimskiej „W Drodze”, jest

również ubocznie wspomniana w sztuce Stefani Zahorskiej „Smocza 13” (podobnie jak i samobójstwo prezesa Rady Żydowskiej Adama Czerniakowa — inż. Lemana z dramatu).

Stefania Zahorska, w odróżnieniu od autora sprawozdania „Życie i śmierć ghetta warszawskiego”, jest pisarką doskonale znaną czytelnikom z krytyk filmowych w przedwojennych „Wiadomościach Literackich” i z essayów literacko-publicystycznych w pismach emigracji londyńskiej, w szczególności w „Wiadomościach Polskich”.

Dramat „Smocza 13” również ukazał się niedawno w wydaniu książkowym w „Bibliotece O-ja Białego” Oddziału Kultury i Prasy 2. Korpusu. Jest to udramatyzowana historia ghetta warszawskiego, zgodna w treści z poprzednio omówioną relacją I. Lubera.

Czy może uchodzić za dokument? Niewątpliwie wierność z prawdą historyczną, zaczerpnięta zapewne ze źródeł autentycznych, nadaje sztuce Zahorskiej dużą wartość dokumentarną. Nie jest to jednak ściśle mówiąc tak rozpowszechniony ostatnio w różnych literaturach reportaż teatralny, faksimontaż czy sztuka propagandowa. Jest to przede wszystkim utwór literacki, mogący być dokumentem w takim stopniu, w jakim jest i może nim być dzieło sztuki.

Kto są *dramatis personae* tej sztuki teatralnej? Jest to właściwie jedna osoba, osoba zbiorowa: półmilionowa masa zamknięta w ghetcie. Na scenie dzieje się niewiele. Właściwa akcja rozgrywa się za sceną i znajduje odbicie w dialogach i opowiadaniach.

Nie jest to zresztą jedyny aspekt antycznego dramatu w sztuce Zahorskiej. Utrzymane są nadto trzy klasyczne jednostki (poza epilogiem, który się wyłamał z jednostki czasu, ale gdzie dla jednostki miejsca autorka poświęciła nawet ściśłość historyczną, gdyż w okresie powstania żydowskiego ulica Smocza znajdowała się już poza ghettem), a nade wszystko poprzez całą akcję dramatu wyczuwa się fatalną nieuniknioną bieg wydarzeń.

Dramat rozgrywający się w jednym z mieszkań domu przy ul. Smoczej 13 w lipcu 1942 r., gdy zaczęły się masowe wywożenia z ghetta ludności żydowskiej, daje przekrój wszystkich środowisk społecznych, zmasowanych w ghetcie. Jest tam i kupiec żydowski z żoną, autochtoni mieszkania, i przesiedleni ze śródmieścia przedstawiciele zamożnego mieszczaństwa, są uświadomieni robotnicy i mało roznamiętniony tragarz, wdowa po profesorze uniwersytetu i młoda Polka, pół-aryjka po ojcu, a Żydówka po matce, przesubtelniejsi intelektualisci i groteskowa para bogobojnych Żydów z prowincji. Ta synteza różnych środowisk, przy całej swej konwencjonalnej arbitralności, odzwierciedla istotny stan rzeczy jaki panował i musiał panować w ghetcie rasowym.

Autorka, podobnie jak I. Luber, unika wszelkiej greuelpropagandy. Nie widać prawie na scenie żadnych gestapowców i żadnych okropności. Jak to wyjaśniła w przedmowie, „trzeba było, pisząc tę sztukę, tłumić napięcie, ściszać głosy, zacierać ślady zbrodni, ponieważ bieg rzeczywistych zdarzeń w ghetcie warszaw-

skim był napięty i wyostrozony ponad miarę wszelkiego dramatu, był obrosły cierpieniem, które nie mieści się w słowach, był skalany zbrodnią, której opisu nie wytrzymałby słuchacz i widz". Pisarka, zgodnie ze swym założeniem, chciała dać i dała cięń dramatu rzeczywistego.

To też nie ograniczyła się, wzorem dramaturgów antycznych, do przesunięcia właściwej akcji poza scenę. Nawet to, co zaprezentowała na scenie, nie tylko dalekie jest od Grand Guignolu, którego możnaby oczekiwać, ale nawet, przez doskonale podpatrzenie i realistyczne odmalowanie środowiska przypomina chwilami jakiś dialog z teatryków warszawskich, jeden z tych skeczów żydowskich, z heine'owskim połączeniem humoru i sentymentu, w których zwykliśmy widywać Lawińskiego, Krukowskiego czy Kalinównę.

Są w sztuce chwytty klasycznego teatralnego *qui pro quo*, np. w scenie aktu trzeciego, gdy głupi, prostoduszny Jakub przytakuje metaforom Rotmana nadając im treść dosłowną, są — na przekór zapowiedziom autorki z przedmowy — błyskotliwe repliki (np. uwaga Szlomy o rozmowach normyńskich w akcie pierwszym). „Smocza 13” jest to, do pewnego stopnia, ostatni „szmonces” literacki odżyźnionej Warszawy.

Nadto, na tym, zdaje się, debiucie teatralnym Zahorskiej widoczne jest, że autorka nie na próżno była przez długie lata jednym z najprzenikliwszych krytyków filmowych w Europie. Istotnie jej sposób eksponowania tragedii w tych uszczuplonych ramach, jakie sobie założyła — spokrewnia się z Chaplinem.

Wydanie książkowe dramatu poprzedzone jest słowem wstępnym wygłoszonym na wieczorze PEN - Klubu Polskiego w Londynie, gdzie sztuka była wykonana (lub może czytana). W przedmowie tej autorka wyjaśnia swą metodę kompozycji i uzupełnia do pewnego stopnia sztukę. Mówi między innymi:

„...Tragedie, które dziś przeżywamy — to są tragedie zbiorowe. Na ich czarnych falach płyną poszczególni ludzie. Każdy z nich wysuwając głowę z topieli ma własne myśli, czuje własny los. Lecz nie tragedia osobista wyłoni się w całej pełni, fala porywa wszystkich ku zgubie. Dramat, który dziś usłyszycie nie jest dramatem jednostek. Jest dramatem wspólnoty. Płyne czarna fala i porywa wszystkich pospołu.

Zbrodnia dokonana na ghetcie warszawskim nie jest okropnością wojny. Jest zbrodnią chciwą, świadomą, szaleńczą. Żaden plan „polityczny”, żadna „ideologia” nie mogą zatrzeć jej charakteru właściwego. Poprzez cienką skorupę cywilizacji przedarła się na wierzch warstwa spodnia, barbarzyństwa i sadyzmu. W tym sensie dzieje ghetta warszawskiego nie są odosobnione. I nie są skończone. Obłądny sabat trwa nadal. Krwawe plamy pokrywają całą Polskę i szlaki zbrodni wiodą na zachód i na wschód. Nie widać końca i nie widać dna upadku moralnego. Tragedia ogólnoludzka, która uzmysławia los ghetta warszawskiego nie leży ani w cierpieniach ani w śmierci. Leży w bezmiarze istniejącej dzikości. Leży w głębi upadku...”

Az - t

Na łamach rzymskiej prasy

Po obszernych komentarzach na temat niepowodzenia konferencji londyńskiej i ekspansji sowieckiej na Bałkanach — wiele miejsca poświęca prasa włoska w ostatnich tygodniach sprawie wyborów we Francji.

Wybory we Francji

Prasa lewicowa z „Avanti”, „Unita” i „Italia Libera” na czele widzi w wynikach wyborów, zdecydowane zwycięstwo lewicy francuskiej, podczas gdy „Risorgimento Liberale”, „Riconstruzione” i „Popolo”, uważają rezultat głosowań we Francji za tryumf stronniectw należących do centrum. Ponieważ socjaliści francuscy znajdują się w opozycji do komunistów, więc raczej będą współpracować z radykałami, którzy uzyskali zaledwie o 200 tysięcy głosów mniej od socjalistów. Dziennik „Italia Nuova” podkreśla, że rezultat wyborów francuskich należy uważać za zwycięstwo prądów antytotalnych i antydyktatorskich, zdążających do rządów prawdziwie demokratycznych.

Nenni zmienia front

Włoska partia socjalistyczna znajduje się w przededniu zmiany kursu swej polityki. Przewódca jej, Nenni, znany dotychczas jako

gorliwy zwolennik fuzji z komunistami — wezwał obecnie partię do ścisłego porozumienia z chrześcijańską demokracją.

Organ socjalistyczny „Avanti” oraz komunistyczna „Unita” w związku z tym zaznaczyły, że fuzja obu partii, a co za tym idzie — utworzenie jednolitego frontu klasy robotniczej, stanowi cel ostateczny, a nie punkt wyjścia.

Do ostatniej chwili chrześcijańska demokracja nie dała żadnej odpowiedzi na ofertę socjalistów, jedynie minister Gronchi (należący do lewicy demo-chrześcijańskiej) opowiedział się za ścisłą współpracą z socjalistami.

Dziennik socjalistyczny „Epoka” pisze, że odpowiedzialność ze strony chrześcijańskiej demokracji nabiera w tej chwili historycznego znaczenia, gdyż tak przyjęcie jak i odmowa propozycji socjalistów pociągnie za sobą nieobliczalne następstwa.

Organ niezależny „Momento” zaznacza, że możliwość współpracy i ścisłego porozumienia pomiędzy chrześcijańską demokracją a socjalistami będzie zależała od tego, czy socjaliści zdołają udowodnić faktami, że zerwali definitywnie z demagogią słowną, pracą wywrotową i rewolucyjną, przyjmując w

pełni i ostatecznie system działalności demokratycznej.

Obrady Konsulty

W obradach Konsulty — jak dotychczas — potrafiąco, mimo namietnej dyskusji, uniknąć scysji pomiędzy stronnictwami lewicowymi (komuniści, socjaliści i aktywiści), a stronnictwami centrum i prawicy (liberałowie, chrz., demokracja, demokracja pracy, demokracja włoska i koncentracja demo-liberalna). Dotychczas partie te łączyła wspólna walka z faszyzmem. Dziś ten cel znikł, pozostały tylko różnice, to też należy przypuszczać, że przy wznowieniu posiedzeń tarcie pomiędzy partiami stanie się jeszcze bardziej gwałtowne, a walka będzie stanowiła wstęp do współzawodnictwa przy wyborach.

Należy jeszcze zaznaczyć, że partie lewicowe, które dotychczas obstawały przy decyzji, aby wybory polityczne poprzedziły wybory administracyjne, zmieniły swe zdanie i przyznały pierwszeństwo wyborom administracyjnym.

Wypowiedzenie konkordatu przez „rząd” warszawski

Wielkim echem odbiło się w prasie włoskiej wypowiedzenie konkordatu ze Stolicą Apostolską ze strony „prowizorycznego rządu polskiego”.

Dzienniki rzymskie jak „*Osservatore Romano*”, „*Italia Nuova*”, „*Il Popolo*” i „*Il Quotidiano*” zareagowały ostro, umieszczając polemiczne artykuły. „*Osservatore Romano*” opublikował oficjalny komunikat precyzujący stanowisko Kościoła wobec wypowiedzenia konkordatu przez „rząd” warszawski. Komunikat zaznacza, że motywy wypowiedzenia konkordatu są nieuzasadnione, gdyż Watykan dołożył wszelkich starań, aby nie powierzać pieczy nad polskimi diecezjami niemieckim biskupom. „*Osservatore Romano*” podkreśla, że wypowiedzenie konkordatu jest wynikiem polityki polskiego „rządu” inspirowanej przez Sowiety. Podczas, gdy „rząd warszawski” twierdzi, że w Polsce panuje swoboda religijna, w rzeczywistości wielu księży katolickich zostało uwięzionych i aresztowania trwają dalej.

„*Il Popolo*” pisze, że wypowiedzenie konkordatu nie ma żadnego znaczenia, ponieważ

obecny rząd warszawski nie jest wyrazicielem woli narodu, a więc go nie reprezentuje.

„*Italia Nuova*” utrzymuje, że konkordat zasadniczo pozostaje przy życiu, gdyż Watykan w dalszym ciągu uznaje Rząd Polski w Londynie.

Zajęcie Polski przez wojska sowieckie

Wielkie wrażenie wywarła w prasie włoskiej okupacja ziem polskich przez wojska sowieckie pod pretekstem tłumienia bandytyzmu. „*Il Quotidiano*” zaznacza, że pretekst zwalczania bandytyzmu posłużył Moskwie do oficjalnego zajęcia Polski. „*L’Azione Democratica*” na równi z innymi dziennikami protestuje przeciwko temu nadużyciu ze strony Rosji Sowieckiej w stosunku do Polski. Dzienniki podnoszą, że wszystko to dzieje się w Polsce, która pierwsza chwyciła za broń przeciwko wspólnemu wrogowi w obronie wolności i niepodległości.

Nadanie honorowego obywatelstwa Bolonii Gen. Andersowi

Cała prasa włoska rozpiśała się z dużą sympatią o przyznaniu honorowego obywatelstwa Bolonii Gen. Andersowi. Zaznacza ona, że to nadanie obywatelstwa świadczy nie tylko o uczuciach wdzięczności bolonczyków dla wysiłku dokonanego przez wojska Polskie w Italii w ogóle, a w Bolonii w szczególności, celem oswobodzenia Italii od Niemców, lecz stanowi wyraz solidarności Italii z Polską w tym historycznym momencie.

Tak w mowach wypowiedzianych przez przedstawicieli włoskich, jak i w mowie Gen. Andersa dała się odczuć szczerą sympatią, która łączy Włochów z Polakami nie tylko na tle tradycji, ale również ze względu na walki, jakie te dwa narody prowadziły i prowadzą w obronie wolności.

Prasa szczególnie podkreśliła ten ustęp z mowy Generała, w którym on oświadczył: „Żołnierze 2 Korpusu Polskiego, którzy walczyli od września 1939 roku do dnia dzisiejszego w obronie wolności i niepodległości — nie wrócą do Polski, aż póki Polskę nie zostanie naprawdę oswobodzona i niepodległa, taka, jakiej pragnęli Polacy żywi i polegli w tej długiej i krwawej walce o wolność narodów”.

J. G.

Mistrzostwa sportowe Korpusu

Finaly mistrzostw Korpusu w piłce siatkowej skończyły się pełnym i zasłużonym sukcesem reprezentacyjnej szóstki 5 KDP.

Już pierwsze mecze eliminacyjne wykazały, że najpoważniejszym kandydatem na mistrza jest drużyna Kresowej. Dobre ściecia, niezła technika, spokój, ofiarność i ambicja, oto zalety, jakie cechowały naszych graczy w ciągu rozgrywanych spotkań, ukorono-

wanych wreszcie zdobyciem tytułu mistrza. A przecież do tego tytułu pretendowały jeszcze i inne doskonałe drużyny: — 2 W.D. Pancerna, w skład której wchodziło dwóch znanych jeszcze z Polski graczy, 3 DSK, zespół niezwykle ambitny, oraz technicznie doskonała grająca drużyna Bazy.

Pokonanie tych wszystkich przeciwników jest zasługą bez wyjątku całej drużyny. Oto

nazwiska reprezentantów, którzy tak wspólnie bronili barw Kresowej: Cyzyski, Sznitzer, Adamowicz, Borkowski; Romanowski, Lenc, Kubiak.

Przez eliminacje drużyna nasza przeszła gładko, nie oddając przeciwnikom nawet seta.

Rezultat — na pięć rozegranych spotkań, pięć zwycięstw. Stosunek setów 10 : 0, stosunek punktów 151 : 66.

Na drugim miejscu uplasował się najgroźniejszy przeciwnik 5 KDP. —

2 W.D. Panc	4 zwyc.	1 przegr.	stos. set.	8:3
Baza	3	2	„ „	6:5
3 DSK	2	3	„ „	6:6
Gr. Artyl.	1	4	„ „	2:8
Jedn. Poz.	0	5	„ „	0:10

W pierwszym meczu Zubry spotkały się od razu z drugim najsilniejszym zespołem — Pancernymi, bijąc ich 2 : 0 (16 : 14, 15 : 7). Po tym spotkaniu Kresowiaci uchodzący za zdecydowanego faworyta biją kolejno i pozostałe zespoły: Jedn. Pozadyw. 2 : 0 (15 : 7, 15 : 4); Grupa Artylerii — 2 : 0 (15 : 7, 15 : 4); 3 DSK — 2 : 0 (15 : 13, 15 : 10); Bazę — 2 : 0 (15 : 11, 15 : 7).

Po zakończeniu rozgrywek eliminacyjnych, cztery najlepsze zespoły a więc 5 KDP, 2 W.D. Pancerna, Baza, 3 DSK — rozegrały między sobą finał.

Do finałowych spotkań wszystkie drużyny wystąpiły we wzmocnionych składach. Można więc było liczyć się z niespodziankami: zwłaszcza ze strony Pancernych i Karpackiej.

Niestety ciche nadzieje, jakie żywiły te zespoły i masy ich sympatyków — nie spełniły się. „Zubry” nie pozwoliły wydrzeć sobie palmy zwycięstwa z rąk.

I tak się znowu złożyło, że w pierwszym meczu finałowym spotkali się dwaj najpoważniejsi pretendenci do pierwszego miejsca — Kresowiaci i Pancerni.

Mecz rozgrywany na boisku Pancernych zakończył się po niezwykle emocjonującej grze zwycięstwem „Zubrów” 2:1 (15:8, 11:15, 15:6).

Również drużynie 3 DSK. nie poszło lepiej. Wynik 2 : 0 (16 : 14, 15 : 5) rozwiał nadzieje tego ambitnego zespołu na mistrzowski tytuł.

Tym samym zdobycie mistrzostwa zostało przesadzone. Ostatnie spotkanie z Bazą miało być już tylko formalnością. O mały jednak włos, a mielibyśmy największą sensację mistrzostw. Kresowiaci, zbyt pewni siebie, potrzebowali aż trzech setów na pokonanie tej drużyny — 11 : 15, 15 : 13, 15 : 6.

Piłka nożna

Ostatnie spotkanie eliminacyjne między reprezentacjami Kresowej i Karpackiej zakończyło się zwycięstwem Kresowej 6 : 2. Miało ono specjalny posmak. Obydwa bowiem zespoły wchodziły już definitywnie do rozgrywek finałowych, to też wynik spotkania nie miał właściwie żadnego wpływu na przyszłe walki finałowe, do których zakwalifikowane drużyny przystąpiły z jednakowym startem tj. od zera.

A jednak do meczu tego przygotowały się tak „Zubry” jak i „Swierki” niezwykle starannie. Spotkanie to miało zdecydować, który z tych dwóch zespołów w finałach będzie miał większe szanse zdobycia tytułu mistrza Korpusu.

Poza tym były to stare porachunki dwóch rywali, a właściwie 4-tej Wołyńskiej Brygady Piechoty (która dała do reprezentacji 5 K.D.P. aż dziewięciu graczy), za przegrany po dramatycznej walce w początkach swej kariery piłkarskiej mecz w „Medycynie” 6 : 5.

Rewanż udał się znakomicie. Kresowiaci mieli swój dobry dzień. Przeszło pięć tysięcy miłośników piłki nożnej zebrało się na boisku, by być świadkami wspaniałego zwycięstwa młodego lecz niezwykle ambitnego zespołu „Zubrów” nad starym, rutynowanym przeciwnikiem. Był to naprawdę tryumf młodości. W łeb wzięły bowiem wszystkie papierowe obliczenia, 3 DSK. krocząc od zwycięstwa do zwycięstwa tym razem musiała przekonać nie zwykle gorzką pigułkę — przegrała i to wysoko! A przecież nie można było powiedzieć, żeby „Swierki” gorzej grały niż na meczach poprzednich — grały tak samo znakomicie jak zawsze — tylko, że tym razem „Zubry” za grały jeszcze lepiej. Był to bezwzględnie najlepszy ich mecz dotychczasowy w mistrzostwach.

Jedenastka 5 KDP była bezsprzecznie lepsza drużyną. Narzucone przez siebie tempo wytrzymała do końca, Karpaciecy pobici zostali szybkością i taktyką.

Niezwykle niebezpieczny, bramkostrzelny atak biało-czerwonych tym razem nie doszedł do głosu. Wystarczyło dodać Szewczykowi i Siłce „aniołów stróżów”, a ci dwaj najgroźniejsi gracze ataku zostawali unieszkodliwieni na przeciąg meczu.

Atak Kresowej grał tym razem doskonale. Widać było poprawę formy u Foxa, co od razu odbiło się i na reszcie graczy. Akcje były przeprowadzone płynnie pod samą bramką przeciwnika i, co najważniejsze, wykorzystane dzięki doskonałej dyspozycji strzałowej całej piątki napadu.

W ataku „Zubrów” ciągle jeszcze szwankuje prawe skrzydło — Krawczyńskiemu ta pozycja zupełnie nie odpowiada. Zakrzyński mile rozczerawał, niezwykle pracowity, był tym razem duszą napadu.

Pomoc grała doskonale. Zadanie unieszkodliwienia ataku Karpackiej w zupełności wykonała, nie zapominając przy tym o zasilaniu piłkami własnego napadu.

W obronie Terpiłowski — jak zwykle niezawodny, dzielnie sekundował mu Nowak. Wiciński w bramce poza tą jedną pechową przepuszczoną bramką grał bez zarzutu.

W 3 DSK ponad poziom wybijał się niezmordowany Jungier, który był bezwzględnie jednym z najlepszych graczy na boisku oraz Czarnecki w bramce.

W następnym numerze zamieścimy sprawozdanie z mistrzostw piłkarskich Korpusu, z mistrzostw lekkoatletycznych, koszykówki i szczypiorniaka.

K. Lamparski

S P I S T R E Ś C I

	<i>Str</i>
Walka o Niepodległość trwa	Stanisław Janikowski 3
Do Polaków	Józef Auslander (Tłum. Jan Lechoński) 5
Perfidna umowa	 7
List otwarty do członków Rządu Wielkiej Brytanii i posłanek w Izbie Gmin z Labour Party	dr Herminia Naglerowa 9
Ja jestem tutaj obcy	Artur Międzyrzecki 13
Rozmowa w wagonie	Wanda Heblewska 14
To rozśpiewany kwiat...	Włodzimierz Sznarbachowski 15
Stronnictwa polityczne we Włoszech	Arnaldo Bascone 16
Dzisiejsze Węgry	Tytus Gordon 21
Zdobycze gospodarcze niepodległej Litwy	B. Vasaris 23
Cienie	Bernardas Brazdžionis (Tłum. J. Adamowicz) 26
U progu nowej epoki	J. Moran 27
Atom — narzędzie zagłady czy błogo- sławieństwo?	Kazimierz Zamorski 29
Żłudy	J. Ż. 39
Na ziemi włoskiej	Jan Olechowski 44
Na Mickiewiczowskim szlaku	On 45
Garść myśli	Zdzisław M. Thurhaus-Tarkowski 48
Wiersze Zofii Górskiej	Jan Bielatowicz 49
Żal mi mojego ciała — Krąg — Krysi	Zofia Górską 49
Otwarcie Art-Clubu	 50
Święto Lwowskiej Brygady	Tadeusz Kubalski 56
Dramat ghetta i dramat o ghetcie	Az-t 59
Na łamach rzymskiej prasy	J. G. 61
Mistrzostwa sportowe Korpusu	Kazimierz Lamparski 62

Okładka — Alexander Werner



KSIĘGARNIA

ANTYKWARIAT



304

Nr 188097

600

